

Anna Dillon

Romans

(The Affair)

Przełożyła Dobromiła Jankowska

KSIĘGA PIERWSZA

Opowieść żony

Czy podejrzewałam?

*Zadawałam sobie to pytanie wiele razy, ale jeśli mam
być całkowicie szczerą – nie podejrzewałam.*

*Cóż... Ufałam mu. Kochałam go. Czy to oznacza
jedno? Zaufanie i miłość? Tak... Przynajmniej ja myślę,
że tak.*

*Od kiedy jednak po raz pierwszy ogarnęły mnie
wątpliwości, wszystko, co on robił, stało się podejrzone. Od tamtej
chwili nie wierzyłam w ani jedno jego słowo.
A kiedy odkryłam prawdę, znenawidziłam go.*

Rozdział 1

Czwartek, 19 grudnia

Kathy Walker podpisała zamasyżycie świąteczną kartkę.

Serdeczności od Roberta, Kathy, Brendana i Theresy.

Odwróciła kartkę, włożyła ją do czerwonej koperty, dwoma szybkimi ruchami polizała brzeg. Skrzywiła się, czując smak kleju, i wzięła do ręki długopis. Zastygła na chwilę. Jaki to był adres? Podniosła wzrok znad stosu kopert i zmarszczyła brwi: 21 coś tam Park, a może coś tam Grove?

Kathy wstała od kuchennego stołu i położyła sobie dłonie na krzyżu, próbując jednocześnie rozruszać bolący kark. Usłyszała niepokojące skrzypienie napiętych mięśni. Pisała kartki już od prawie dwóch godzin – nie znosiła tego i zawsze zostawiała na ostatnią chwilę – a teraz była zeszywniała, obolała i odrobinę poirytowana. Każdego roku było tak samo: pisała kartki i podpisywała się za nich oboje, choć oczywiście większość życzeń wysyłała przyjaciółom i współpracownikom Roberta.

W przyszłym roku będzie inaczej, obiecała bez przekonania, szukając notesu z adresami. Potem uśmiechnęła się i przez chwilę wyglądała młodziej – na pewno nie na swoje czterdzieści lat. Przypomniała sobie, że złożyła taką samą przysięgę rok temu. I prawdopodobnie także dwa lata wcześniej.

Znalazła notes pod stosem zeszlórocznych niewykorzystanych kartek. Zawsze kupowała świąteczne pocztówki w pudełkach po dwadzieścia sztuk i zawsze zostawiała trzy lub cztery na dnie, obiecując sobie, że skorzysta z nich w następnym roku, ale nigdy tego nie robiła.

Opierając się o stół, przekartkowała zniszczony czarny notes z adresami w poszukiwaniu danych kuzyna męża. Spotkała tego faceta na ich ślubie osiemnaście lat wcześniej i wątpiła, czy rozpoznałaby go, gdyby teraz stanął naprzeciw niej. Poza tym on nigdy nie wysyłał im bożonarodzeniowych życzeń. To ostatni raz, kiedy ona to robi – miała zamiar spisać listę osób, które przysyłają kartki do nich i porównać je z tymi, które pisała ona sama. W następnym roku wyśle życzenia tylko do znajomych, którzy je wcześniej odwzajemnili. Tak będzie sprawiedliwie.

Znów się uśmiechnęła, przecież to samo obiecywała sobie rok wcześniej. A teraz wysyła dwa razy więcej życzeń niż w poprzednie święta.

Spojrzała na zegarek: kilka minut po trzeciej. Zdąży wrzucić listy, zanim o czwartej przyjedzie listonosz. Potem zamówi jedzenie na wynos: hinduskie dla Roberta i dla siebie, chińszczyznę dla Brendana i Theresy. Jeśli dobrze obliczyła, dzieci wrócą ze szkoły o tej samej porze, o której przywiozą jedzenie. Nie było to zbyt świąteczne, ale szynką i indykiem objedzą się w przyszłym tygodniu.

Zostały tylko cztery kartki. Wszystkie do współpracowników Roberta. Znów usiadła przy stole i

obracała pocztówki w dłoniach. Sam powinien je napisać. Włożyła je do kopert, ale nie zakleiła. Napisała jednak adresy, żeby mąż nie miał już żadnej wymówki. Pierwsza była do szefa małej firmy multimedialnej w Quays. Druga do agencji talentów, która załatwiała statystów do scen zbiorowych. Uśmiechnęła się, pisząc adres. Nie tak dawno dostarczała kartki własnoręcznie, drepcząc przez całe miasto, żeby wrzucić je do skrzynek, bo nie mogli sobie pozwolić na znaczki.

Jak szybko wszystko się zmienia.

Walcząca o przetrwanie niezależna firma Roberta, produkująca programy dla telewizji, dostała jedno małe zlecenie – przebitkę do filmu dokumentalnego o rasizmie. Film zdobył Złotą Palmę w Cannes, a Robert świetnie wykorzystał ten sukces. Wydrukował nowe ulotki firmowe, które zdecydowanie sugerowały, że to R&K Productions sama zdobyła nagrodę. Jako że nikt nie kwapił się do weryfikowania tego faktu, małe kłamstwo pomogło rozkręcić interes. Kathy przypomniała sobie kolację, podczas której została przedstawiona jako „połowa firmy, która zdobyła Złotą Palmę za ten niesamowity dokument... „. Nie chciało jej się prostować tej wypowiedzi.

Interes kwitnął, co jednak przez wszystkie te lata odbijało się na ich związku. Rozkręcanie firmy oznaczało, że niektóre sprawy – rodzina, czas wolny, wakacje – schodziły na dalszy plan. R&K Productions robiła mało znaczące dokumenty, a ostatnio skupiała się głównie na filmach promocyjnych, filmikach szkoleniowych, czasem reklamach albo na kręceniu lokalnych przebitek do zagranicznych filmów. Kathy wiedziała, że Robert zaakceptował – choć później tego żałował – fakt, że nie będzie kręcił prawdziwych przyrodniczych filmów dla National Geographic, Discovery albo BBC. Nie martwiła się jednak – dochody mieli stałe, a z dwojgiem dorastających dzieci w domu wolała regularne wpływy niż swobodę artystyczną.

Spojrzała na kopertę, którą trzymała w ręku. „Burst Post-Production Services”, przeczytała na głos, zdziwiona, jak donośnie zabrzmiały jej słowa w cichej kuchni. Post-produkcja – co to właściwe jest? Była żoną Roberta od osiemnastu lat, ale nadal niezupełnie rozumiała jego świat. Nie rozróżniała best boya od gaffera ani ADA od AD* [ADA, AD – systemy odtwarzania dźwięku (przyp. tłum.)].

Kathy przerzuciła notes w poszukiwaniu nazwy „Burst”, ale wiedziała, że jej nie znajdzie. Zapewne była to jedna z nowych firm, z którą Robert zaczął współpracować dopiero w tym roku – nigdy nie zapisywał nowych adresów w starym notesie. Wolał je trzymać w swojej bajeranckiej komórce.

Kathy przeszła przez korytarz. To był ich drugi dom, ale mimo że miały to już być szóste święta, które w nim spędzali, ona ciągle nie przyzwyczała się do dużej przestrzeni, szczególnie w korytarzu. Ich pierwszy dom miał krótki, ciemny, wąski przedpokój, który prowadził wprost do kuchni. Ten chełpił się dużym, okrągłym holem, co jej zdaniem było marnotrawstwem. Wolałyby większe pokoje. I bardziej przytulne wnętrza; ozdobna marmurowa podłoga była śliczna, ale bił od niej chłód jak z lodówki.

– Robert!

Oparła się o zrobioną z jasnego drewna poręcz schodów i spojrzała w górę.

– Robert! – Zamiast odpowiedzi usłyszała tylko szum prysznic w ich sypialni.

Westchnęła i, stukając kartkami o balustradę, zaczęła wchodzić po schodach. Na piętrze jej stopy zanurzyły się w miękkim i niemożliwym do utrzymania w czystości kremowym dywanie. Ich sypialnia znajdowała się w jednym końcu domu, a pokoje dzieci – w drugim. Pozwalało to wszystkim na odrobinę prywatności. Weszła do sypialni, mrużąc oczy na widok niewysokiej kobiety z twarzą w kształcie serca, która odbijała się w wyłożonych lustrami drzwiach garderoby. Zatrzymała się na chwilę, przyglądając się sobie: powinna zgubić przynajmniej kilka centymetrów w pasie. Zauważyła też siwe odrosty wśród kasztanowych włosów. Cieszyła się jednak, że wygląda na czterdzieści lat – przynajmniej nie na pięćdziesiąt! Zaraz po świętach miała zamiar odwiedzić siłownię; popołudniem, kiedy wszystkie szczupłe, zgrabne i opalone młode mamusie, uczestniczące w porannych zajęciach, będą odbierały swoje maluchy ze szkoły. Prawdziwe kobiety o kobiecych kształtach, co odkryła Kathy, ćwiczyły właśnie po południu.

Dźwięk prysznic był coraz głośniejszy i widziała strumienie pary wydobywające się spod drzwi ich łazienki. Woda musiała być bardzo gorąca. Nie pojmowała, jak on może znosić taki ukrop. Robert nucił coś świątecznego – chyba *Do They Know It's Christmas* – nie była pewna, bo, mimo że kochała go mocno, musiała przyznać, że nie miał ani za grosz słuchu.

Ubranie Roberta leżało porozrzucane na łóżku. Automatycznie schyliła się i podniosła pomięty jedwabny krawat z podłogi. Dała mu go jako część świątecznego prezentu rok wcześniej. Poczula się winna, w tym roku znów kupiła mu krawat. Roberta bardzo trudno było obdarowywać – wszystko, czego potrzebował, kupował sobie sam. Koszule i krawaty były więc zawsze najbezpieczniejszym wyborem.

Kathy usiadła na krawędzi łóżka i rozejrzała się po nieprzytulnie białej sypialni – przemałuje ją w tym roku, obiecała. Biały był za zimny, za mocny, a obłożone lustrami drzwi odbijały światło, zmuszając ją do mrużenia oczu, co pogłębiało zmarszczki na czole i wokół ust. Nawet kołdra w kolorze brzoskwini wydawała się blada i sprana. Obiecała sobie, że po świętach przyniesie próbki kolorów i dodała to do listy rzeczy, które miała zamiar zrobić „po świętach”. Wiedziała oczywiście, że lista nie przetrwa nawet do drugiego tygodnia po Nowym Roku.

Rozłożyła kartki na łóżku i sięgnęła do kieszeni marynarki Roberta, rozłożonej na skraju. Wyciągnęła jego telefon. XDA był najnowszą zabawką niezbędną każdemu gadżeciarzowi. Niewiele grubszy niż przeciętna komórka był kombinacją typowego aparatu i kieszonkowego komputera, z dużym, prostokątnym, kolorowym wyświetlaczem. Kiedy Robert go dostał, siedział obok niej na łóżku przez cały wieczór i pokazywał wszystkie możliwości urządzenia. Poddał się dopiero wtedy, gdy znudzona zasnęła.

Kathy wyjęła mały rysik przymocowany z boku i włączyła telefon. Ekran zamigotał na niebiesko, a potem rozświetlił się małymi kolorowymi ikonkami. Dotknęła rysikiem ikony adresowej na dole ekranu – pojawiła się lista nazwisk i adresów. Zaczęła przewijać ją w dół aż do litery B, szukając „Burst Post-Production”.

Bryant, Edward

Burford, Kenneth

Burroughs, Stephanie

Zrobiło jej się zimno.

Burroughs, Stephanie

Przez chwilę, na jeden moment, pokój zmienił się, kolory stały się jaśniejsze, ostrzejsze, a dźwięki jakby bardziej stłumione. Przez jedno uderzenie serca jej cała uwaga skupiła się na nazwisku wyświetlonym na niebieskim ekranie.

Stephanie Burroughs

To było nazwisko, którego nie słyszała już od dłuższego czasu.

Na ekranie obok niego widniała mała czerwona flaga.

Dźwięk prysznicza ucichł, a potem zamilkł zupełnie, za to śpiew Roberta stawał się coraz głośniejszy.

Działała szybko, zręcznie przebierając palcami. Wyłączyła telefon i wsadziła rysik na miejsce. Wsunęła komórkę do marynarki Roberta i wybiegła z pokoju.

– Kathy? Szukałaś mnie?

Głos Roberta popłynął za nią po schodach, ale słyszała tylko, jak krew buzuje w jej głowie.

Stephanie Burroughs

Rozdział 2

Serce Kathy biło tak mocno, że prawie czuła drżące pod skórą mięśnie. W gardle miała wielką gulę utrudniającą oddychanie, musiała jakoś pozbyć się zadyszki.

Stanęła w drzwiach kuchni i skrzyżowawszy ramiona na piersi, wdychała chłodne, grudniowe powietrze. Zabłakane płatki śniegu spadały w ciemności i osiadały delikatnie na jej policzkach i czole. Mrugała wściekle oczami, ale nie mogła się rozplakać. Jeszcze nie. Nie teraz.

Stephanie Burroughs

I mała czerwona flaga obok jej nazwiska.

Racjonalna część jej mózgu podpowiadała, że to zwykły zbieg okoliczności. Stephanie Burroughs pracowała w biznesie telewizyjnym; Robert z pewnością miał w telefonie nazwiska prawie wszystkich ludzi, którzy się tym zajmowali. Instynkt i emocje ciągle wracały jednak do małej czerwonej ikonki obok tamtego nazwiska. Taką flagę umieszcza się tylko przy kimś ważnym, prawda? Mimo wszystko to mogło nic nie znaczyć.

Kathy wiedziała jednak, że tak nie jest.

Potrząsnęła zdecydowanie głową. Wytarła oczy wierzchem prawej dłoni, jakby chciała zatrzymać łzy, które miały zaraz popłynąć. Mogła się mylić. Chciała się mylić.

Ale nie myliła się.

Nie tym razem. Nie teraz.

Stephanie Burroughs wróciła.

Sześć lat wcześniej, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy wprowadzali się do tego domu, Robert miał romans ze Stephanie Burroughs. Kathy była pewna, że miał romans. Jeśli chodziło o stosunki Stephanie z Robertem, zawsze była trochę przewrażliwiona, a potem, kiedy dawna „przyjaciółka” zobaczyła ich razem na koncercie i radośnie obwieściła ten fakt Kathy, jej podejrzania potwierdziły się. Wszystko stało się jasne: trzy miesiące kiepskich wymówek, zbyt wiele wieczorów, kiedy wracał do domu coraz później i później, zbyt wiele weekendów i dni w tygodniu spędzanych w delegacji. Wszystko wskazywało na jeden niemożliwy do zlekceważenia wniosek – jej mąż miał romans.

Pewnego letniego wieczoru, kiedy słońce zachodziło na czerwono, Kathy odwróciła się i starła z mężem. Stał obok grilla na tyłach ogrodu, z głową w oparach pachnącego drzewem dymu, mięso skwierczało na ruszcie. Chłodno, bez zbędnych wstępów, spytała go, czy ma romans ze swoją researcherką. Kiedy spojrział na nią, знаła prawdę, jeszcze zanim zdążył skłamać i zaprzeczyć. Wyparł się grubiańsko, ze złością i oburzeniem, które miały ją zbić z tropu. Powiedziała mu o swoich podejrzaniach, a on wyjaśnił każde z nich za pomocą racjonalnej wymówki. Nigdy nie udało jej się niczego udowodnić, a potem nastąpiły tygodnie wzajemnych oskarżeń i męczarni. Później Stephanie opuściła firmę i wyprowadziła się, a wraz z jej wyjazdem

małżeński konflikt nieco przycichł. Sprawy biegły swoim torem i w końcu wszystko wróciło do normalności.

Kathy już prawie zapomniała o tamtej kobiecie. Minęło sporo czasu, od kiedy imię Stephanie przemknęło jej przez myśl, ale ciągle czuła niepokój, kiedy widziała, że mąż przygląda się ładnej kobiecie na przyjęciu albo na ulicy.

A teraz to – nazwisko Stephanie Burroughs w jego nowym telefonie, z umieszczoną obok małą czerwoną flagą.

– Hej, co jest? Przez ten dom wieje wichura! – Robert pojawił się z tyłu, kładąc ręce na jej ramionach i opierając brodę na czubku jej głowy. Pachniał świeżo i czysto, mydłem, wodą i nowym płynem po goleniu, którego nie rozpoznała.

Kathy odsunęła się, weszła z powrotem do kuchni.

– Chciałam odetchnąć świeżym powietrzem, zrobiło się tu strasznie duszno.

Zamknęła drzwi i odeszła dalej, nie patrząc mu w oczy w obawie, że dostrzeże coś w wyrazie jej twarzy albo ona w jego – po osiemnastu latach małżeństwa trudno było utrzymać cokolwiek w tajemnicy. Zaczęła sprzątać ostatnie kartki z kuchennego stołu.

– Położyłam kilka kartek na łóżku – zaczęła.

– Widziałem.

– Nie mam adresów, a poza tym to osobiste życzenia – byłoby lepiej, gdybyś sam je napisał i podpisał.

– Co się stało? – spytał szybko.

Kathy spojrzała na niego z ukosa.

– Nic.

Miał dwadzieścia cztery lata, kiedy za niego wyszła. Był wysokim, niezgrabnym młodzieńcem z czarną czupryną, która nie poddawała się grzebieniowi. Teraz miał włosy prawie nietknięte siwizną i przytył trochę, ale prawdę mówiąc, starzał się dobrze. W przeciwieństwie do mnie, pomyślała z goryczą. On dojrzewał, ona się starzała.

– Czemu pytasz? – dodała.

Robert uśmiechnął się, marszcząc przy tym kąciki ust i zwiesił głowę na jedną stronę – gest, który kiedyś uważała za uroczy, teraz ją irytował.

– Bo mówisz tym tonem.

– Jakim tonem?

– Właśnie tym – uśmiechnął się szerzej. – Tonem, który oznacza, że jesteś na mnie wkurzona.

Kathy westchnęła.

– A twoje westchnienie to kolejny dowód.

– Słuchaj, jestem zmęczona. Od wielu godzin piszę kartki. Głównie za ciebie – do twoich przyjaciół i znajomych. Robię to co roku. I co roku szukam adresów. Nie pomagasz mi.

Zobaczyła, jak uśmiech znika z jego twarzy.

– Właśnie skończyłem dziesięciogodzinny dzień pracy – powiedział jeszcze swobodnym i

rozsądnym tonem.

– Były koszmarnie korki, a rano mam prezentację. Zrób mi herbaty, a potem przejrzyj mój notes z adresami i dam ci wszystkie, których potrzebujesz.

– Już znalazłam – odparła Kathy sztywno, świadoma, że przegrała tę kłótnię, jeszcze zanim się ona zaczęła. – Musisz jedynie napisać te cztery kartki, które położyłam na łóżku.

– Klóćmy się o cztery kartki? – spytał.

– Nie, nie klóćmy się o cztery kartki – wybuchnęła.

– Klóćmy się o ponad sto dwadzieścia, które napisałam.

Bez twojej pomocy.

Robert skinął głową i wzruszył ramionami.

– Powinienem być zabrać kilka do pracy. Potem spojrział na zegar.

– Pojadę po dzieci.

Zanim zdążyła coś dodać, odwrócił się, wyszedł z kuchni i przeszedł przez jadalnię do holu. Widziała, jak ściąga z wieszaka skórzaną kurtkę i wychodzi, cicho zamykając za sobą drzwi.

Oparta o kuchenny stół słuchała, jak mąż zapala samochód i spokojnie odjeżdża. Znow to zrobił. Udało mu się. odwrócić kota ogonem, aż nagle to ona poczuła, że się myli, że klóci się o byle co, a Robert tylko stawiał na swoim i odchodził. Był w tym dobry. Przez te wszystkie lata zawsze uciekał od kłótni.

Gdyby o nią chodziło, trzasnęłyby drzwiami i odjechała z piskiem opon, wyrzucając żwir spod kół i obsypując nim ścianę domu. A Robert był zawsze po prostu cholernie opanowany.

Wsadziła świąteczne kartki do reklamówki – wyśle je jutro na poczcie, a jeśli nie dotrą do przyszłej środy, trudno. Zgarnęła czyste pocztówki i wsunęła niedbale do pudełek. Ułoży w przyszłym roku.

Wstała od stołu i włączyła elektryczny czajnik. Wsypała dwie łyżeczki rozpuszczalnej kawy do kubka, kiedy nagle przypomniała sobie, że powinna zmniejszyć dzienną dawkę kofeiny. Jednak dno kubka było mokre, więc nie mogła już wsypać kawy z powrotem do słoika. Nie udało jej się schudnąć ani odrobinę z powodu tych wszystkich świątecznych przyjęć, na które byli zapraszani – poza tym czuła się trochę winna, bo nie chciała pójść na kilka biznesowych imprez, na których, jak wiedziała, pełno będzie młodych i wychudzonych pań, ubranych w najmodniejsze ciuchy wiszące na kościstych ciałach. Robert odwiedzał te przyjęcia sam i chyba nie miał nic przeciwko.

Z rozmyślań wyrwał ją dźwięk gotującej się wody.

Zostawił telefon.

Kathy zamarła. Zostawił telefon. Wyłączyła czajnik, przebiegła przez hol i otworzyła frontowe drzwi. Samochodu Roberta nie było. Zawróciła i wbiegła na górę. Wydawało jej się, że nie miał w ręku telefonu, kiedy przyszedł do kuchni. Wiedziała, że nie cierpi nosić go w kieszeni spodni – aparat był za duży, więc zwykle przypinał go do paska, jak dzieciak zabawkowy pistolet, albo nosił w wewnętrznej kieszeni marynarki niczym wypchany portfel. Wbiegła do sypialni.

Jego marynarka leżała tam, gdzie Kathy ją zostawiła. Widziała też srebrną krawędź telefonu.

Gdzieś w środku czuła, że przyszedł moment wyboru. Była boleśnie świadoma, że decyzja, którą za chwilę podejmie, będzie miała konsekwencje na resztę ich życia.

Kathy usłyszała głos swojej matki – głośny, wyraźny, odrobinę zgorzkniały, okrutny, i ciągle irytujący, mimo że matka nie żyła już od osiemnastu miesięcy:

Nigdy nie zadawaj pytania, jeśli nie jesteś przygotowana na odpowiedź, która ci się nie spodoba.

Kathy jak przez mgłę przypomniała sobie, że jej ojciec, nieżyjący już od ponad siedemnastu lat, powtarzał podobne zdanie – czyżby matka pożyczyła je sobie od niego?

Czy była gotowa na odpowiedź, która mogła się jej nie spodobać?

Kathy Walker usiadła na krawędzi łóżka i wyciągnęła XDA. W głębi duszy już знаła odpowiedź. Teraz szukała jedynie potwierdzenia.

Dowód. Szukała dowodu. Nie miała zamiaru popełnić tego samego błędu, co poprzednim razem.

Rozdział 3

Stephanie Burroughs

Wszystkie linijki obok jej nazwiska w telefonie były wypełnione: adres, numer telefonu stacjonarnego, komórki, email, data urodzin. I mała czerwona flaga obok.

Kathy zdrętwiały palce, a dłonie trzęsły się, kiedy dotykała rysikiem flagi na ekranie. Pokazał się kalendarz, seria małych kwadracików przedstawiających dni miesiąca. Ostatnim dniem, przy którym umieszczona była flaga był piątek. Ikonka przy nazwisku Stephanie/również była, połączona z tą datą. Kliknęła na ekran, przywołując zaznaczony dzień.

Piątek był wypełniony zajęciami w R&K Productions – albo przynajmniej dla części „R”. O ósmej rano śniadanie z klientem, o dziesiątej spotkanie, a po nim sesja w studio o jedenastej trzydziści. Projekty graficzne były zaplanowane na środę, potem już nic.

Z wyjątkiem czerwonej flagi o piątek. Bez zapisu.

Kathy zmarszczyła brwi. Ostatni piątek... Robert dotarł do domu spóźniony: powiedział, że miał spotkanie z klientem. Była już prawie północ.

Świadoma, że czas ucieka, wróciła do przeglądania miesięcy i do następnej czerwonej flagi oznaczającej poprzedni wtorek, znów późne popołudnie, ostatnie wydarzenie dnia, potem nie było już żadnych spotkań. Jeszcze wcześniej zaznaczony był poprzedni piątek. Kathy szybko pokiwała głową. Tego dnia spóźnił się, ale nie mogła sobie przypomnieć wtorku. Robert często przyjeżdżał z pracy wieczorem – tak naprawdę częściej był później niż wcześniej.

Wciąż przeglądała kalendarz. Następna czerwona flaga widniała przy jutrzejszym, piątkowym wieczorze. Czerwona flaga o czwartej i żadnych następnych spotkań.

Wróciła do strony *Kontakty* i przewinęła listę nazwisk. Znalazła jeszcze tylko dwa oznaczone czerwonymi flagami, ale rozpoznała oba jako dane stałych klientów.

Nieoczekiwanie poczuła się winna. Przeszukała pozostałe kieszenie, nie całkiem pewna, co chce odkryć. Zabrał ze sobą portfel, więc znalazła jedynie kilka biletów parkingowych, resztki miętówek i rachunek z Kylemore w centrum handlowym w Blanchardstown. Dwa napoje. Rozłożyła paragon na łóżku, próbując odczytać datę.

Zeszły wtorek, siedemnasta. Co Robert robił w Blanchardstown we wtorkowe popołudnie? Nie znosił zakupów, zwłaszcza w centrach handlowych. A wyprawa na zakupy przed samymi świętami była koszmarem, powrót – jeszcze większym. Jeśli Robert chciał zrobić zakupy, wpadał tylko do Pavilions w Swords.

Nagle reflektory samochodu oświetliły sypialnię, to auto Roberta wjechało na podjazd. Kathy spokojnie wsadziła kwity parkingowe i miętówki do kieszeni marynarki. Paragon z Kylemore włożyła do własnej. Zamknęła komórkę i odłożyła rysik na miejsce, a potem wsunęła telefon do marynarki. Właśnie schodziła po schodach, kiedy otworzyły się drzwi i Robert, a za nim Brendan

i Theresa z hałasem wpadli do domu, wpuszczając do środka zimne powietrze.

– Kupiliśmy jedzenie – krzyknął Brendan, podnosząc do góry brązowe papierowe torby.

Kathy automatycznie uśmiechnęła się.

– Super. Ja też o tym myślałam.

Patrzyła na swojego męża, mężczyznę, którego, wydawało jej się, znała, i zdała sobie sprawę, że wcale tak nie jest.

Robert zauważył jej zagadkowe spojrzenie i przechylił głowę, pytając:

– Wszystko dobrze?

– Świetnie – skłamała. – Po prostu świetnie.

Rozdział 4

– Myślałam... – odezwała się nagle.

– To zawsze groźne... – zażartował.

Kathy obserwowała go przez otwarte drzwi łazienki. Stał w tych swoich śmiesznych pasiastych spodniach od pizamy, których szczerze nie znosiła, ale które on koniecznie chciał sobie kupić. Siedziała na łóżku oparta o trzy poduszki, trzymając gazetę przed oczami. Głowę miała zwieszoną, jakby czytała, ale tak naprawdę patrzyła na niego znad krawędzi magazynu.

– Ostatnio tak ciężko pracujesz...

Elektryczna szczoteczka zaczęła brzęczeć i szumieć. Robert miał obsesję na punkcie swoich zębów. Dwa lata temu, kiedy zupełnie nie mogli sobie na to pozwolić, wydał prawie dwa tysiące euro, żeby wyprostować zęby i wybielić je. Ostatnio chodził do dentysty co trzy miesiące na samo wybielanie. Wydawało jej się, że teraz jego zęby wyglądały potwornie nienaturalnie, jak sztuczna szczeka. Niedawno zaczął też wspominać coś o laserowej korekcji wzroku, mimo że okulary zakładał tylko do czytania i pracy przy komputerze.

Kathy poczekała, aż szczoteczka ucichnie, i spróbowała jeszcze raz:

– Myślę, że ostatnio tak ciężko pracujesz. Prawie w ogóle cię nie widuję. Może spróbujemy gdzieś wyjść wieczorem?

– Dobry pomysł.

– Może jutro?

I co odpowiesz, zastanawiała się. Czy zgodzisz się i zrobisz ze mnie idiotkę, sprawisz, że poczuję się winna, bo cię szpiegowałam i w ciebie zwątpiłam, czy...

– Nie mogę. Nie jutro wieczorem. Zabawiam klienta.

Świąteczne drinki.

Wyszedł z łazienki, ścierając białą pastę do zębów z podbródka, patrząc jej prosto w oczy i uśmiechając się swoimi wielkimi, brązowymi, niewinnymi oczami.

– Nic nie mówiłeś.

– Na pewno mówiłem.

– Założył bluzę od pizamy.

– Pamiętałabym.

Wzruszył ramionami i odwrócił się, żeby wrzucić ręcznik z powrotem do łazienki. Nie trafił w wieszak i ręcznik ześliznął się na podłogę, skąd Kathy będzie musiała go rano podnieść. Zobaczyła, jak Robert przygląda się sobie w lustrze – to było tylko przelotne spojrzenie, ale zauważyła coś w sposobie, w jaki patrzył na siebie, a potem skinął głową jakby z aprobatą...

Nie podnosząc głowy, przewróciła powoli strony. Udając, że czyta, podniosła wzrok i ponownie spojrzała na męża. Przyjrzała mu się dokładnie. Mówi się, że tak naprawdę widzisz

kogoś tylko wtedy, kiedy spotykasz go pierwszy raz. Potem nigdy już w ten sposób na niego nie patrzysz. Pamięć zachowuje tamto pierwsze wrażenie, które pozostaje. Kiedy ostatnio spojrzała na niego, dostrzegając w nim osobę, człowieka, mężczyznę?

Czy to tylko jej wyobraźnia, czy naprawdę był bardziej opalony i umięśniony niż kiedyś? Zawsze dbał o wagę i miał obsesję na punkcie swoich włosów. Zerkając z ukosa, przyjrzała się jego fryzurze i zauważyła, że lekka siwizna zniknęła. Jakiś rok temu zaczął siwieć nad uszami i na skroniach – pomyślała wtedy, że wyglądał dystyngowanie i przystojnie. Teraz zdała sobie sprawę, że siwizny nie było już prawie widać. Miał błyszczące, zdrowe włosy i zaczęła zastanawiać się, czy ich nie ufarbował. Wydawało jej się także, że nieco schudł; miał bardziej płaski brzuch i zauważyła – niewielki, ale jednak – zarys mięśni. Mimo że to środek zimy, a oni nie byli w lecie na wakacjach, był delikatnie opalony. Nie widziała nawet śladu po zegarku na nadgarstku. Opalenizna wyglądała zbyt idealnie jak na samoopalacz – nie było smug ani ciemnych plam. Mój Boże, chodzi do solarium! – zauważyła Kathy.

Przewróciła kartkę. Słowa wirowały jej przed oczami i przesuwają się na stronie, a ona nic z nich nie rozumiała. Próbowwała jednak poruszać głową, jakby naprawdę czytała. Dla kogo on się opalał? Na pewno nie dla niej. Nagle ta myśl – że robił to nie dla niej – zasmuciła ją. Od kiedy przestał się starać, a ona przestała go podziwiać?

– Z kim się jutro spotykasz? – zapytała od niechcienia.

– Z Jimmym Moranem – odparł Robert bez wahania. – Jemy kolację u Shanahana na Green.

Odrzucił narzutę i wśliznął się do łóżka, wpuszczając falę chłodnego powietrza pod prześcieradła.

– Nie włączyłaś koca – powiedział prawie oskarżającym tonem.

– Nie myślałam, że jest aż tak zimno.

Od kiedy zaczęła składać kawałki układanki, było jej na przemian zimno i gorąco. Rzuciła gazetę na podłogę i położyła się, naciągając kołdrę pod samą brodę.

– Nie czytasz już?

– Nie, oczy mi łzawią. Chyba mam jakiś problem ze wzrokiem.

Sięgnęła ręką i wyłączyła światło po swojej stronie łóżka.

– Cóż, ja trochę poczytam, jeśli ci to nie przeszkadza.

Wiedziała, że nawet gdyby jej to przeszkadzało, i tak nie wyłączyłby lampki. Sięgnął ręką na swoją stronę łóżka i podniósł książkę, którą właśnie czytał – *Droga mniej uczęszczana* doktora Scotta Pecka.

Czekała przez chwilę w milczeniu, potem usłyszała szelest przewracanej strony. Czytał niesamowicie wolno. Ona mogła przeczytać dwie książki tygodniowo, on czytał ostatnią już od miesiąca, a może dłużej. Nie patrząc na niego, spytała.

– Jak myślisz, kiedy będziemy mogli wyjść gdzieś wieczorem? Przed świętami?

Chwila ciszy. Przewrócił kolejną stronę.

– Może odłożymy to na po świętach? Teraz nie da się nigdzie znaleźć wolnego stolika ani

zaparkować w mieście.

Spróbował się zaśmiać i kontynuował:

– Wszystkie restauracje są pełne takich jak ja, którzy goszczą klientów takich jak Jimmy, i częstują ich winem.

Usłyszała, jak książka spada na podłogę, i jego lampka zgasła.

– Po świętach znajdziemy trochę czasu. Może nawet wyjedziemy na weekend? Co o tym myślisz?

– Byłoby miło – odparła Kathy. Przypomniała sobie, że mówił dokładnie to samo w zeszłym roku. Nigdzie nie pojechali, nigdy nie było dość czasu.

Rozdział 5

Piątek, 20 grudnia

Rose King oparła łokcie na kuchennym stole i sięgnęła przez niego, żeby ująć dłonie przyjaciółki.

– Ale nie jesteś pewna.

Kathy Walker potrząsnęła głową.

– Nie. Tak. Nie. Nie wiem.

– Podejrzewasz coś?

– Podejrzewam.

– I podejrzewałaś coś już wcześniej?

Kathy pokiwała głową.

– Tak.

– Założę się, że w całej dzielnicy nie ma kobiety, która choćby raz nie byłaby podejrzliwa w stosunku do swojego męża.

– A ty? Podejrzewałaś coś?

Rose uśmiechnęła się.

– Tak. Więcej niż raz.

Rose King była pięć lat starsza od Kathy, a wyglądała na dziesięć więcej, z powodu fryzury, która przypominała niemodną trwałą z lat siedemdziesiątych. Nieważne, co robiła ze swoimi włosami – obcinała, farbowała, prostowała – w przeciągu tygodni wracały do poprzedniego wyglądu mopa. Niska, przysadzista kobieta wychowała trójkę dzieci, z których najmłodsze niedawno wyprowadziło się z domu. Właśnie powiedziała Kathy, że to będą pierwsze od dwudziestu lat święta, podczas których będą z mężem Tommym sami. Bała się tego.

Rose i Kathy zawiązały dziwną przyjaźń, która zaczęła się dwanaście lat wcześniej, gdy Brendan, syn Kathy, zaczynał szkołę. Kathy przechodziła koło nieco niechlujnego trawnika Rose cztery razy dziennie. Krótkie „dzień dobry” zmieniło się z upływem tygodni w kilka słów, a potem w dłuższe rozmowy. Wkrótce Kathy zaczęła wpadać na filiżankę herbaty, a potem Rose odwiedzała Walkerów. Z pozoru nic je nie łączyło oprócz tego, że były sąsiadkami, ale nie miały przed sobą tajemnic. Nawet kiedy Kathy przeprowadziła się z jednego końca Swords na drugi, spotykały się często i wciąż się przyjaźniły.

– O co można by podejrzewać Tommy’ego?

Sama myśl, że Tommy – gruby, nadęty i, kiedy nie nosił śmiesznego tupecika, łysy jak kolano – mógł mieć romans, wywołała uśmiech na jej twarzy.

Rose wzruszyła ramionami. Potem uśmiechnęła się szeroko.

– Wiem, co myślisz. Myślisz, że mój Tommy nie ma najmniejszych szans u kobiet.

– Nie powiedziałałam tego.

– Nie musiałaś.

Rose sięgnęła po filiżankę z herbatą, podniosła ją do ust i odstawiła bez spróbowania.

– Mój Tommy. Gruby i łysy Tommy. Ale nie zawsze był gruby i łysy. – Potrząsnęła głową zamyślona. – Wiem na pewno, że miał jeden romans, który trwał cztery lata.

I z pewnością dwa przelotne.

Kathy patrzyła na nią oniemiała. Była zdziwiona, ale nie wiedziała, czy dlatego, że Tommy miał romans, czy z powodu spokojnego tonu Rose, kiedy o tym opowiadała. Żeby ukryć swoje niedowierzanie, wstała i sięgnęła po czajnik. Odwróciła się do zlewu i naląła wody.

– Nigdy nie myślałam... nigdy nie mówiłaś.

– To raczej nie jest informacja, którą chce się dzielić z innymi, prawda?

– Jak dawno... To znaczy, kiedy zaczęłaś coś podejrzewać? – Kathy odwróciła się nagle. – Przepraszam, nie powinnam pytać. To nie moja sprawa.

– Pierwszy raz – dziesięć lat temu. – Rose mówiła dalej, jakby nie usłyszała przeprosin Kathy.

– Nie znam jej imienia, nie chciałam wiedzieć. To była stara flama, jedna z jego wielu byłych dziewczyn. Utrzymywali ze sobą kontakt od czasu do czasu, a potem zaczęli spotykać się na drinka. Drinki zmieniły się w posiłki, a potem... cóż, nie wiem, co było potem, ale podejrzewam, że skończyli w łóżku.

Rose zakończyła beznamiętną opowieść.

Kathy potrząsnęła głową. Przez kuchenne okno widziała ponury zimowy ogród, drzewa огоłocone z liści, ozdobne oczko wodne, którego nie znosiła, kiedy pokrywało się pianistą brunatną pianą. W szybie dostrzegła spojrzenie Rose.

Odwróciła się od zlewu i znów usiadła przy stole, niepewna, co zrobić i jak zareagować. Dziś rano poczekała, aż Robert pójdzie do pracy, a dzieci popędzą złapać szkolny autobus, a potem zadzwoniła do przyjaciółki. Pomyślała, że opowie Rose swoją historię i poprosi o radę – zdecydowanie nie spodziewała się usłyszeć o romansie Tommy'ego. Zdała sobie sprawę, że znów kręci głową.

– Wiem – powiedziała Rose. – Chodzi o mojego męża, prawda? Myśl o nim nagim jest komiczna. I wiesz co, tak naprawdę jest. Ale przecież potrafi być taki uroczy, taki dobry. To mnie najpierw do niego przyciągnęło.

Zaśmiała się głośno.

– Nawet w młodości nie był ósmym cudem świata, ale mnie rozśmieszał. Gdzieś przeczytałam, że to pociąga kobiety. Daruj sobie mięśnie i dobry wygląd – większość z nas lubi urok osobisty i uśmiech. Dlatego kłamcy zdobywają wszystkie dziewczyny.

Czajnik zaczął gwizdać.

– Też o tym czytałam.

– Parę lat później – ciągnęła Rose – podejrzewałam, że romansuje z tą spod piętnastki.

Kathy prychnęła niechęcący.

– Tą wielką, z...

Rose skinęła głową.

– Dokładnie tą. Pomagał jej w rachunkach, kiedy została sama. Pamiętasz, jej mąż miał mały sklep elektryczny przy głównej ulicy? Zrobił wielką wyprzedaż przed zamknięciem, chciał się wszystkiego pozbyć, za marne grosze. Tego dnia zarobił fortunę, potem uciekł z utargiem, zawartością konta bankowego i tą małą kościstą babą, która stała za ladą.

– Teraz pamiętam. Kupiłam od niego odkurzacz.

– A ja frytkownicę. Cóż, mój Tommy zaczął tam wpadać raz w tygodniu. Potem dwa razy. Potem... nie wiem. Skończyło się, kiedy tamta się wyprowadziła.

Kathy zaparzyła świeżej herbaty i przyniosła imbryk do stołu.

– Mówiłaś, że były trzy razy... – napomknęła delikatnie.

– Jakies dwa lata temu podejrzewałam, że coś się dzieje. Zaczął się dziwnie zachowywać. Wtedy zrobił się taki czuły na punkcie swoich włosów i sprawił sobie tupecik.

– Pamiętam.

O tupeciku Tommy'ego plotkowała cała dzielnica. Peruczka wydawała się mocno przyczepiona na czubku jego głowy i nigdy nie drgnęła, nawet przy huraganowych wiatrach.

– Wiesz, on myśli, że nikt nie zauważył tupeciku – powiedziała Rose – bo nikt nigdy o to nie zapytał.

– Trochę trudno napomknąć o tym w rozmowie. Ładny chodnik. Skąd masz tę perukę? Jak się ma peruka? Gdybym tak powiedziała, wybuchnęłabym mu śmiechem prosto w twarz.

Rose zaczęła się śmiać. Miała niski, męski śmiech. Nagle Kathy dołączyła do niej i obie zaczęły chichotać. Przez chwilę wydawało się, że to jeden z tysięcy podobnych wspólnych poranków, kiedy wszystko było w porządku. Potem Kathy nagle wybuchnęła płaczem. Żaden z tych poranków nie był idealny. Rose żyła ze świadomością, że jej mąż miał romans.

– Pytałaś go kiedyś?

– O peruczkę?

– O romanse.

Rose skupiła się na nalewaniu herbaty, potem dodała odrobinę chudego mleka. Sięgnęła po cukier, ale przypomniała sobie, że miała go ograniczyć, więc odsunęła cukiernicę.

– Pierwszy raz, kiedy zaczął romansować, myślałam o tym – powiedziała w końcu. – Myślałam o tym długo i bezustannie, a potem zapytałam siebie, co zrobię, jeśli on powie „tak”.

Kathy skinęła głową. Myślała o tym samym.

– To było jeszcze w czasach, kiedy nie udzielano rozwodów. Co bym zrobiła, gdyby się przyznał? Mogłabym mu kazać odejść, ale mieliśmy jeszcze osiem lat spłacania kredytu. A gdyby oszedł? – Wzruszyła gwałtownie ramionami. Wiem, że to brzmi cholemię praktycznie, może nawet cynicznie, ale właśnie to przeszło mi przez myśl w tamtej sytuacji. A potem zastanowiłam się, co się stanie, jeśli każę mu się wyprowadzić, a on odmówi? Nie mogłam z nim zostać, prawda? Musiałabym więc

odejść, opuścić dom i pójść... dokąd? Dziesięć lat temu kończyłam czterdzieści lat. Nie miałam żadnych kwalifikacji, a moja najbliższa krewna – ciotka – mieszkała w Cork i nie przyjęłaby mnie do siebie. Nie miałam zamiaru nawet jej o to prosić. A potem, oczywiście, najważniejsze pytanie: co z dziećmi? Zdawały egzaminy, uczyły się. Co by się z nimi stało?

Kathy wzięła głęboki oddech. Przez całą poprzednią noc rozmyślała o tym samym. Zastanawiała się, czy każda kobieta w podobnej sytuacji miałaby podobne zmartwienia. Stwierdziła, że tak.

– I co w końcu zrobiłaś?

Rose spojrzała na Kathy w oczy.

– Nic nie zrobiłam. Nic.

Ostatnie słowo wstydliwie zawisło w powietrzu.

– Nic. Zdecydowałam, że miał jakiś kryzys wieku średniego i odpuściłam. Nic nie powiedziałam, nic nie zrobiłam. Miałam nadzieję, że on zda sobie sprawę, jak wiele może stracić, gdyby odszedł. Miałam nadzieję, że zmądrzeje. I tak się stało.

– Nic nie zrobiłaś.

– Czasem nicnierobienie też jest decyzją – łagodnie odparła Rose.

– Twierdzisz, że nic nie powinnam zrobić?

– Nie, tego nie powiedziałam. Mówię tylko, że ja nic nie zrobiłam.

– Ja chyba nie potrafię.

– Zanim podejmiesz jakąś decyzję, musisz być pewna. A w tej chwili nie jesteś.

Kathy pokiwała głową.

– Jestem prawie pewna.

– Przedtem też byłaś prawie pewna.

– I miałam rację. Wiem, że miałam. Tylko nie miałam dowodów.

– Więc znajdź dowody, zanim coś zrobisz – odparła Rose. – Ale nawet wtedy, kiedy będziesz stuprocentowo pewna, musisz być przygotowana na to, co stanie się, jeśli go oskarżysz.

Kathy kręciła głową to w jedną, to w drugą stronę i nagle znów zaczęła płakać, ale po raz pierwszy, od kiedy ta paskudna myśl pojawiła się w jej głowie, były to łzy gniewu.

– Gdybym wiedziała, że ma romans, i nie spytałabym o to, nie mogłabym ze sobą wytrzymać.

Rose pochyliła się i ujęła dłonie Kathy.

– Też tak myślałam na początku. Potem zdałam sobie sprawę, że Tommy każdego wieczoru ciągle wracał do domu, do mnie. Tamte kobiety były tylko rozrywką, niczym więcej. Gdybym go zaatakowała, zniszczyłabym nasze małżeństwo, ale byłam cierpliwa i w końcu wygrałam.

– Nie mogę tego zrobić.

– Wiem. Nie teraz. Ale przemyśl to. Zachowaj tę radę w pamięci jako wyjście awaryjne.

Rose odsunęła ręce i podniosła filiżankę. Nie patrząc na Kathy, zapytała:

– W łóżku... w sypialni... jak wam się układa? Wszystko dobrze?

Kathy otworzyła usta, żeby szybko odpowiedzieć, ale nie odezwała się. W sypialni... było

inaczej. Nigdy nie byli specjalnie namiętni. Kiedy tylko minęło pierwsze zauroczenie, ich stosunki stały się raczej sporadyczne. Gdy pojawiły się dzieci, były nieregularne. Sobota albo niedziela wieczorem, tylko małżeński obowiązek. Potem nawet to się skończyło. Nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio się kochali. Kiedyś podziwiała w Robercie to, że nigdy się nie narzucał. Jeśli dotykał jej, a ona odwracała się plecami, nie nalegał, nie poruszał tego tematu, całował ją tylko w tył głowy i odsuwał się. Tak było od lat.

Poczuła nagły wyrzut sumienia. Czy jej brak zainteresowania seksem to jeden z powodów, dla których oddalił się od niej?

Ale nie, w małżeństwie nie chodziło tylko o seks, małżeństwo było...

– Co? – zapytała Rose, widząc wyraz twarzy przyjaciółki.

– Coś mnie uderzyło. Coś ważnego, o czym nigdy wcześniej nie pomyślałam.

Kathy oblizwała spierzchnięte wargi.

– Czym jest małżeństwo?

Rose otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale Kathy podniosła rękę, uciszając ją.

– Czy małżeństwo to mieszkanie razem, zaangażowanie, seks, wspólne doświadczenia, zaufanie, prawda? Miłość? Co to jest?

– Kiedy byłam młodsza – odparła Rose cicho – powiedziałabym, że to wszystko razem. Teraz – wzruszyła ramionami – teraz myślę, że to może być tylko przyzwyczajenie.

Rozdział 6

Na pożegnanie Rose powiedziała jeszcze:

– Nie podejmuj decyzji, dopóki nie masz dowodów. I tym razem się upewnij, Kathy. A jeśli nie jesteś pewna, przygotuj się na konsekwencje. Nie bezpośrednio, lecz te bardziej oddalone w czasie.

Kathy stała w drzwiach wyjściowych i patrzyła, jak Rose podąża ścieżką. Przyjaciółka zatrzymała się przy furtce, podniosła rękę i uśmiechnęła się, a potem skręciła w prawo i poszła w stronę domu. Kathy obserwowała ją. To był jeden z tysięcy podobnych poranków i byłoby tak łatwo udawać, że nic się nie zmieniło... A jednak zmieniło się wszystko.

Teraz postrzegła Rose w zupełnie inny sposób.

Nie straciła zaufania do przyjaciółki, ale... coś się nieodwracalnie zmieniło i wiedziała, że stosunki między nimi nigdy już nie będą takie same, choć w tej chwili nie potrafiła jeszcze określić, dlaczego.

Znów usłyszała słowa matki: *Nigdy nie zadawaj pytania, jeśli nie jesteś przygotowana na odpowiedź, która ci się nie spodoba.*

Czy nie tak zaczynały się wszystkie romanse, ponieważ jeden z partnerów nigdy nie zadawał tych właściwych pytań? Gdzie byłeś, dlaczego się spóźniłeś, z kim byłeś? Ale tak nie można. Zadawanie ich mogło zniszczyć związek. A związek oparty jest na zaufaniu; jeśli ufasz komuś, nie musisz o nic wypytywać.

Kathy zamknęła drzwi i oparła się o drewnianą framugę. Potrząsnęła głową. Nagle zrozumiała, dlaczego stosunki między nią a Rose nigdy nie będą takie same. Kiedy Rose przyznała, że wiedziała o romansie – romansach – swojego męża i zdecydowała się nic nie robić – w tym momencie Kathy straciła dla niej szacunek.

Trzeba było coś zrobić.

Powinnaś była coś zrobić.

Nie wiedziała tylko, co można było zrobić.

Kathy snuła się z pokoju do pokoju, patrząc na dom jakby innymi oczami. Gdzieś w myślach zastanawiała się, co wzięłaby ze sobą, gdyby zdecydowała się odejść... albo co Robert wzięłby ze sobą, gdyby to on odszedł.

Odszedłby?

Kazałaby mu?

Walkerowie mieszkali w dużym domu z czterema sypialniami w starej dzielnicy, która kiedyś była wiejską częścią miasteczka Swords. Teraz jednak Swords stało się praktycznie przedmieściem Dublina. Kiedy wprowadzili się tu po raz pierwszy osiemnaście lat wcześniej, myślała, że mieszkają w środku wsi, ale nagle zaczęto budować ogromną liczbę osiedli w samym Swords i wokół Północnego

Hrabstwa, co zniszczyło rustykalny charakter tego miejsca. Cena pierwszego domu doprowadziła ich prawie do bankructwa i ledwie dawali sobie finansowo radę jeszcze kilka lat po jego kupnie. Bywały miesiące, kiedy jedli wyłącznie fasolę i grzanki, byle tylko móc spłacić kredyt za dom. Ale to były szczęśliwe czasy. Często wtedy się śmiali. Częściej niż teraz.

Do tego domu wprowadzili się przed sześciu laty. Oddalony niecałe dwie mile od poprzedniego, był większy i miał pas zieleni dokoła. Kupili dom za ledwie jedną czwartą jego obecnej wartości. Robert mówił, że to będzie doskonała inwestycja – miał rację. Zazwyczaj miał rację.

Kiedyś to właśnie w nim uwielbiała – absolutną pewność siebie i poczucie własnej wartości. Chyba nigdy nie słyszała, żeby wątpił w to, co robił, bądź wahał się, jaki kierunek obrać w ich wspólnym życiu, które przecież sam organizował. Teraz wszystko, co kiedyś uważała za pewność siebie, traktowała jak arogancję.

W bawialni nie było niczego, co należałoby do niego. Samo pomieszczenie rzadko używano – zwyczaj ten przejęła od matki – bo bawialnią miała być utrzymywana jako „porządny pokój” dla gości, dzieci nigdy się tam nie zapędzały. Masywny, czarny, skórzany komplet mebli dominował nad wystrojem i sprawiał, że pokój wydawał się mniejszy niż w rzeczywistości. Nigdy nie chciała tego zestawu, wolałaby coś lżejszego i jaśniejszego. Ale kiedy go kupowali, Robert jeszcze pracował w domu i twierdził, że skórzana kanapa sprawiała wrażenie dobrobytu i sukcesu. Kredens na porcelanę, oparty o jedną ze ścian, należał do jej matki; stały w nim także kryształ z Waterford, Cavan, Galway i Dublina. Kathy nigdy nie udało się zgromadzić ani jednej kompletnej zastawy i wątpiła, czy to się kiedykolwiek uda. W pokoju nie było telewizora – właściwie to chyba jedyne pomieszczenie w domu, z wyjątkiem łazienki, w którym go nie było.

Jadalnia, prowadząca bezpośrednio do kuchni, stała się raczej salonem. W jednym rogu, na lewo od czarnego marmurowego kominka, stał ogromny trzydziestosześciorozmiarowy płaski telewizor, a także odtwarzacz DVD, video i XBox Brendana. Obok kolumny. Kasety video i DVD wałały się na podłodze wokół telewizora. Być może Robert chciałby zabrać niektóre z nich, choć nigdy ich nie obejrzał i pewnie nigdy tego nie zrobi. Ciągle kupował DVD i książki „na deszczowe dni” albo kiedy liczył na trochę wolnego czasu. Ostatnio nie miał go w ogóle, a jeśli już, był zbyt zajęty. Coś ją zastanowiło...

Odsunęła od siebie tę myśl. Nie chciała wiedzieć, czym się zajmował.

Albo kim.

Kanapa w salonie nie prezentowała się tak okazale, miała siedzenia zużyte przez lata używania, mimo że niedawno zlecili obicie jej nową tapicerką. Kiedy to zrobiono, sofa wyglądała na nową przez jakiś tydzień. Już od miesiący Kathy obiecywała sobie, że pozbędzie się tego mebla i miała niesprecyzowany zamiar poszukania czegoś nowego na styczniowych wyprzedazach.

Na kominku stał obrzydliwy zegar z lat trzydziestych, który Robert odziedziczył po dziadku. Nienawidziła tej pamiątki, bo zegar miał żółtą, poplamioną od nikotyny tarczę, i mechanizm, który warczał i terkotał, zanim wybił godzinę, przypominając starca zgrzytającego zębami. Robert

pewnie chciałby go zabrać, a nawet jeśli nie, to i tak musiałby go wziąć, bo ona nie zamierzała tolerować zegara w swoim domu.

Kathy zatrzymała się i położyła obie dłonie na brzuchu, w którym nagle zaburczało.

Jej dom.

Jej dom.

Jej.

To ona spędzała w nim czas, dzień po dniu. Ona w nim sprzątała, dbała o niego, zmieniała pusty szkielet budynku w kochający dom dla Roberta i dzieci. Czasem mijał cały tydzień, a ona wychodziła stąd tylko wtedy, kiedy musiała wpaść do sklepu po karton mleka albo aby odwieźć dzieci do szkoły, czy też je stamtąd odebrać. Znała każdy kącik i każdą szparę, każdą skrzypiącą klepkę w podłodze, każdy odrywający się strzępek tapety; wiedziała, gdzie gnieźdzą się pajęczyny, które kurki ciekną i które okno się zacina. To był jej dom. Nie miała zamiaru go oddać. Jeśli miałoby do tego dojść, będzie walczyć.

Nagle zadrżała, czując na karku chłodne powietrze – przestraszyła się własnych myśli. Ale kiedy analizowała przeszłość i próbowała wyobrazić sobie przyszłość, musiała użyć słów takich jak „separacja” i „rozwód”. A to oznaczało patrzenie na rzeczy jako na „jego” i „jej” – słowa, których nigdy przedtem nie była zmuszona używać. Zawsze było „ich”, nawet podczas tych okropnych dni kilka lat temu, kiedy oskarżyła go o romans ze Stephanie. Wtedy ani przez chwilę nie pomyślała o rozwodzie.

Kathy wzięła głęboki oddech. Rose miała rację. Zanim zacznie rozważać rozstanie, potrzebuje dowodów. Mocnych, niezaprzeczalnych dowodów.

Stół i sześć krzeseł zajmowały resztę jadalni, jedno z nich nie pasowało do pozostałych od czasu, kiedy Robert przypadkowo przepiłował oryginalne i musieli kupić inne, podobne. Rodzina jadła tutaj przy wyjątkowych okazjach, ale ostatnio nie było takich wiele. Poprzednio siedzieli tu w ubiegłoroczne święta i znów mieli to zrobić w następną środę. Teraz na blacie leżały pozostałości ręcznie robionych przez Theresę świątecznych kartek.

Kathy wróciła do kuchni i automatycznie sprzątnęła filiżanki z kuchennego stołu. Stała przy zlewie i umyła naczynia pod kranem, zamiast wkładać je do zmywarki. Chciała – musiała – zrobić coś z rękami.

Spojrzała na zegar i zastanowiła się, o której Robert wróci dziś wieczorem. Potem przypomniała sobie, że miał być późno; spotykał się z klientem. Albo przynajmniej tak jej powiedział. Zamarła i zmarszczyła brwi. Mówił, że idzie z... kim? „Zabieram Jimmy’ego. Jimmy’ego Morana do Shanahana na Green”.

– Biuro numerów.

– Tak, proszę numer Shanahana na Green. To restauracja.

Jej własny głos zdziwił ją – był silny i pewny siebie, zabrzmiał głośno w cichej kuchni. Nie zdawała sobie sprawy, że chce zadzwonić, dopóki nie wzięła do ręki słuchawki, a palce nie zaczęły wykręcać numeru informacji.

Czy nie to właśnie robią podejrzliwe żony na całym świecie? – pomyślała z goryczą. Czy nie tak sprawdzają swoich mężów?

– Proszę mnie połączyć.

Czyż jego kłamstwo nie rozprzestrzeniło się na życie ich wszystkich? Przyjaciele kłamali dla niego, koledzy również, a teraz ona miała zamiar dodać kolejne kłamstwo do jego romansu.

– Halo, dzień dobry. Dzwonię, żeby potwierdzić rezerwację. Robert Walker, dzisiejszy wieczór, dziewiętnasta trzydzieści.

To był jej najlepszy sekretarski ton, skuteczny, lekko znudzony. Niegdyś grała tę rolę wiele razy, gdy Robert założył firmę producencką, a ona udawała jego sekretarkę, by przekonać klientów, że biznes liczy więcej niż jedną osobę.

– Tak, jestem absolutnie pewna, że to na ten wieczór.

Spierzchnęły jej wargi, a w ustach zaschło zupełnie.

W kątku prawego oka niekontrolowanie zaczął drgać mięsień.

– Może rezerwacja była robiona na firmę, proszę spróbować R&K Productions.

Kiedy odkryjesz pierwsze kłamstwo, pomyślała z goryczą, inne pojawiają się same z siebie.

– Cóż, dziękuję. Skontaktuję się z moim szefem. Na pewno istnieje jakieś proste wyjaśnienie.

Nie było rezerwacji u Shanahana na Green. Nie spodziewała się zresztą, że będzie. Mogła to być pomyłka Roberta – choć on rzadko się mylił – a może spotkanie odbywało się w innej restauracji.

Albo ją okłamał.

I spotykał się z kochanką. Tak jak we wszystkie inne dni oznaczone czerwoną flagą.

Rozdział 7

Kathy Walker stała przed drzwiami gabinetu swojego męża. Delikatnie położyła rękę na klamce, ale zwlekała, niechętna, by ją nacisnąć i wejść do jego królestwa.

Wydarzenia ostatnich kilku godzin upłynęły tak szybko, że zostało jej niewiele czasu na zastanowienie. Mniej niż dobę wcześniej zobaczyła czerwoną flagę przy nazwisku tamtej kobiety w komórce swojego męża i od razu wyciągnęła z tego prosty wniosek. Ale przecież mogła się mylić. Jej umysł desperacko próbował przekonać ją, że może to wszystko było zupełnie niewinne.

Jej serce podpowiadało jednak, że to nieprawda.

Wiedziała, ponieważ od dłuższego czasu podejrzewała, że coś jest nie tak. A kiedy już coś podejrzewasz, czyż to właśnie nie pierwszy znak, że coś naprawdę nie gra? Przecież właśnie to radziły wszystkie babskie czasopisma. Jeśli wiedziałaś – na pewno wiedziałaś, bez zastanowienia, bez wahania, bez wątpienia – że twój partner naprawdę cię kocha, nigdy nie podejrzewałaś go o romans. Ale Kathy nie była przekonana, że Robert wciąż ją kocha. Lubił – na pewno, był przyzwyczajony, ale kochał... chyba nie.

Kiedy zobaczyła tamtą czerwoną flagę, wiele drobiazgów, wiele niewypowiedzianych pytań, ciekawych przypadków, ułożyło się w niepodważalną prawdę. A teraz, dla własnego spokoju, dla psychicznej równowagi, potrzebowała dowodów. Przekonujących dowodów.

Kiedy wejdzie do jego pokoju w ich poszukiwaniu, wszystko zmieni się już na zawsze. To będzie krok, którego nie można cofnąć. Nawet jeśli niczego tam nie znajdzie, nawet jeśli odkryje coś, co go zupełnie uniewinni, nawet jeśli on nigdy nie dowie się, że tam była, nic nie będzie między nimi takie samo.

Już raz ją zdradził.

Lodowata i gorzka myśl przemknęła przez głowę. Zdradził ją z tą samą kobietą. Przynajmniej tak myślała Kathy. Wtedy nie miała dowodów, żadnych konkretów, tylko obawy i przypuszczenia.

Chciała wiedzieć. Musiała wiedzieć.

Popchnęła drzwi i weszła do gabinetu męża.

Było to drugie największe pomieszczenie w domu, sypialnia, którą w pewnym momencie chcieli przekazać Brendanowi, kiedy dorośnie. Robert zajął jednak ten pokój zaraz po przeprowadzce, postawił swój komputer, akta, półki i zestaw do montażu, więc Kathy od razu wiedziała, że Brendan nigdy się tu nie przeniesie.

Kwadratowe pomieszczenie miało duże podwójne okno na wprost drzwi, wychodzące na tyły ogrodu. Był jeszcze inny powód, dla którego to pokój idealny dla Roberta – cisza. Rząd szafek zajmował lewą stronę, a stół kreślarski stał dokładnie naprzeciw okna. Robert lubił szkicować sceny do swoich scenariuszy, dokumentów bądź reklam, zanim je nakręcił. Na prawo od okna

długi stół z jasnego drewna mieścił całe wyposażenie biura: drukarki, faksy, skanery, duży stacjonarny komputer i miejsce, gdzie zwykle stał błyszczący laptop, a także cyfrowy zestaw montażowy, za pomocą którego Robert wklejał obrazki, dialogi i muzykę do swoich reklam – codziennych zadań R&K Productions. Kiedy zakładali firmę wiele lat temu, wszystko musieli wysyłać do montażu. Teraz, dzięki nowoczesnej technologii, można go było wykonać w domu na porządnym sprzęcie.

Rzadko wchodziła do tego pokoju, to było raczej królestwo Roberta, ale zawsze uderzało ją, jak niesamowity panował tu porządek. To była część jego osobowości zupełnie mu obca na co dzień. W prywatnym życiu i w dbaniu o własny wygląd Robert był nieco roztargniony i niechlujny. Kiedyś jej to nie przeszkadzało. Nierzadko pojawiał się na randce ubrany w dwie różne skarpetki i miał ten chłopięcy zwyczaj nierównego zapinania marynarki. Ostatnio jednak – jeszcze zanim stała się tak podejrzliwa – zauważyła, że zaczął bardziej dbać o swój wygląd. Kiedy zajrzała do szafy, znalazła na wieszaku nowe koszule w wyraźne pionowe paski, a także kilka nowych, dopasowanych jedwabnych krawatów w ostrych, jednolitych kolorach. Stylowy, włoski, ciemny garnitur z wełny i jedwabiu pojawił się w tylnej części garderoby. I te regularne wizyty u fryzjera. Jeszcze nie tak dawno siadał na krawędzi wanny, a ona strzygła mu włosy krawieckimi nożycami.

Jeśli jednak chodziło o interesy, był niesamowicie dobrze zorganizowany. Ujawniał się inny aspekt jego osobowości: skuteczny, zimny i w pewien sposób bezwzględny.

Kathy stała na środku pokoju, rozglądając się. Szukała czegoś. Nie wiedziała tylko, czego. Ale jeśli to zobaczy, będzie wiedziała: kolejna czerwona flaga.

Zaczęła od papierów na biurku. Porządnie złożony stosik tkwił w drucianym stojaku na lewo od komputera. Wiedziała doskonale, że Robert na pewno zauważy, iż jakiś przedmiot zmienił swe miejsce, więc musiała ułożyć wszystko dokładnie w taki sam sposób. Odwróciła stojak do góry dnem, wysypując dokumenty na biurko. Potem, przeglądając je, odkładała pojedynczo w takim samym porządku.

Zaproszenie na pokaz produktu... list od klienta... studentka sztuki poszukuje pracy... wyciąg opłat kartą VISA... faktura z agencji sekretarek... mandat za prędkość...

Kathy zamarła. Robert nic jej nie mówił, że dostał mandat za przekroczenie prędkości. To był standardowy kwit, dwa punkty karne za jazdę trzydzieści sześć mil na godzinę na odcinku, gdzie obowiązywało ograniczenie do trzydziestu mil, w Ballymun, trzydziestego pierwszego października, o dwudziestej trzeciej dwanaście. Westchnęła, odkładając kwitek na miejsce. Zastanawiała się, czy dwa punkty wpłyną na wysokość ubezpieczenia samochodu. Wiedziała, dlaczego się nie przyznał. Jak większość facetów, był niesamowicie próżnym i pewnym siebie kierowcą, więc prawdopodobnie wstydził się tego.

Następna kartka papieru: skarga od Tony'ego O'Connora. Pamiętała go. Był jednym z ich pierwszych klientów. Miał kilka małych sklepów z dywanami i glazurą rozrzuconych po całym kraju i zatrudnił R&K do zrobienia świadomie tandetnych reklam. Zawsze narzekał, nawet jeśli już podpisał umowę i zaakceptował reklamę. Niektórzy ludzie nigdy się nie zmieniają. Kręcąc głową, położyła

kartkę na mandacie.

I znów zamarła.

Ścisnęło ją w żołądku.

Trzydziesty pierwszy października to było święto Halloween. Pamiętała dobrze ostatnie Halloween, bo w dzielnicy pojawiły się problemy. Grupa wyrostków zdobyła gdzieś niesamowicie silne fajerwerki i puszczała je do samego rana. Dobrze pamiętała, że siedzieli z Brendanem i Theresą, oglądając kolorowe eksplozje światła po obu stronach ogrodu. Huk był niesamowity, brzmiał jak połączenie wystrzałów z broni, sztucznych ogni, syków i ogromnych wybuchów. Racje wystrzeliwały gdzieś w oddali i miliony iskier spadały z nieba, nawet w sypialni przy zamkniętych oknach powietrze pachniało spaloną gumą. Zabłąkana rakietą spadła w pewnym momencie na dom, potem stoczyła się i zerwała kilka dachówek. Cała trójka aż podskoczyła wtedy w obawie, że dach się zawali.

Ale Roberta nie było. Pamiętała, że nawet się z tego cieszyła. Prawdopodobnie wybiegłby na zewnątrz, żeby kłócić się z tymi chłopcami, i Bóg wie, jak by się to wszystko skończyło. Tego wieczoru miał być w Belfaście na kolacji z klientem, został tam na noc i wrócił dopiero następnego ranka.

Więc jak mógł dostać mandat w Ballymun o dwudziestej trzeciej dwanaście?

Bo – *ty głupia* – wcale nie był w Belfaście.

Bo – *ty głupia* – jechał przez Ballymun.

Szybko przejrzała pozostałe papiery. Coś jeszcze przykuło jej uwagę. Tak. Wyciąg z karty VISA. Jak on się tu dostał? To Kathy zajmowała się rachunkami. Na początku ich małżeństwa robił to Robert, ale więcej niż raz zapomniał spłacić karty na czas i musieli płacić odsetki. Teraz ona zajmowała się rachunkami i płatnościami. Mieli dwie złote karty, w Allied Irish Banks i Bank of Ireland. Wydatki domowe szły na AIB, a służbowe na BOI.

Kathy odwróciła wyciąg VISY. Podlegał platynowej karcie MBNA. Zmarszczyła brwi – nie wiedziała, że mieli konto w MBNA i dlaczego nie widziała kwitów stamtąd. Zauważyła, że były wysyłane na Mount Street, na adres biura firmy w mieście. Wyciąg opiewał prawie wyłącznie na zakupy internetowe: książki, płyty, sprzęt komputerowy. Kathy nie miała pojęcia, że Robert kupował w sieci coś innego niż książki, a i tak były to okazjonalne tytuły związane z pracą. Nie było w tym nic nadzwyczajnego... dopóki nie spojrzała na drugą stronę. Były tam wyszczególnione trzy transakcje. Zakup w funtach z QVC – satelitarnego kanału zakupowego – opiewający w przeliczeniu na sto osiemdziesiąt euro. Bukiet kwiatów zamówiony przez Internet w Interflorze. Na siedemdziesiąt euro. Ostatnia transakcja miała miejsce w restauracji Biała Orchidea, rachunek wyniósł sześćdziesiąt dwa euro i nosił datę sprzed dwóch tygodni, z wtorku trzeciego grudnia. Wczoraj wieczorem, przeglądając kalendarz w komórce męża, zauważyła, że ten wtorek zaznaczony był czerwoną flagą.

Spojrzała na strzępki informacji, które ujawniło to pobieżne przeszukanie. Miał kartę kredytową, o której jej nie powiedział; zapłacił za posiłek w chińskiej restauracji we wtorek dwa

tygodnie temu, kiedy podobno pracował i – cholera jasna – był w Dublinie w Halloween, kiedy powiedział jej, że jest w Belfaście. No i wiedziała jeszcze, że tego wieczoru nie jadł wcale kolacji u Shanahana.

Jakich jeszcze potrzebowała dowodów na to, że miał romans?

Przekartkowała ostatnie dokumenty. Nie znalazła w nich nic, co mogłoby ją zainteresować. Robert z natury był ostrożny, więc i tak odczuwała coś więcej niż zdziwienie, że zostawił kompromitujące go papiery na biurku. Kathy zaczęła się denerwować: wyraźnie liczył na jej naiwność i głupotę albo miał do niej tak mało szacunku, myśląc, że nawet jeśli wejdzie do jego pokoju, niczego nie zauważy. Nagle zapragnęła wyrzucić wszystkie papiery z szafek, podrzeć je, a potem zebrać kupkę na środku pokoju, żeby wrócił do koszmarnego bałaganu. Chciała przypiąć mandat i wyciąg z VISY do tablicy nad komputerem.

Chciała podnieść słuchawkę i na niego nawrzeszczeć.

Ale jeszcze nie teraz.

Jeszcze nie.

Porozmawia z nim, ale w swoim czasie i na jej warunkach. Ostatnio kiedy podniosła temat jego związku ze Stephanie Burroughs, Robertowi udało się przekonać ją, że zupełnie zwariowała. Nie miała wtedy żadnych prawdziwych dowodów, tylko kobiecą intuicję, że coś jest nie tak. Drugi raz nie popełni tego samego błędu.

Czerpała pewną przyjemność z tego, że mogła użyć fotokopiarki – jego fotokopiarki – żeby skopiować mandat i wyciąg z karty. Kiedy tym razem stanie z nim twarzą w twarz, będzie miała w ręku dowody.

Ostrożnie ułożyła na powrót papiery w drucianym stojaku i włączyła komputer stacjonarny. Robert uwielbiał swoje gadżety. Jeśli miał romans z kimkolwiek, na pewno znajdzie dowody w komputerze. Jedyne problem to hasło. „Na wypadek, gdyby ktoś go ukradł”, mówił „albo gdyby dzieciaki się do niego dorwały”. Teraz zdała sobie sprawę, że nigdy nie podał jej hasła.

Kathy przypomniała sobie ostatni raz, kiedy patrzyła, jak Robert włącza urządzenie. Stała wtedy przy szafce na dokumenty, szukając kopii ostatniego listu do księgowego. Urząd Skarbowy twierdził, że nie dostał należnego podatku za zeszły rok. Robert przysiągł, że napisał do księgowego, a potem usiadł przy biurku i włączył komputer.

Kathy przeszła przez pokój, stanęła przy szafce w tej samej pozycji, co wtedy, kiedy z nim rozmawiała. Zamknęła oczy, próbując sobie przypomnieć. Robert siedział wówczas dokładnie naprzeciwko niej, z twarzą zwróconą w stronę monitora. Pojawił się niebieski ekran logowania i palce zaczęły wystukiwać hasło. Tylko że... poruszał jedynie palcami prawej ręki ułożonymi na prawym skraju klawiatury. Kathy podeszła do komputera i spojrzała na klawiaturę. Musiał wówczas używać tylko numerycznej części.

Wysunęła krzesło, usiadła przy biurku i rozejrzała się w poszukiwaniu kombinacji liter lub cyfr, na wypadek gdyby zostawił je zanotowane lub przypięte gdzieś w pobliżu. Nic nie znalazła.

Zamknęła oczy i skoncentrowała się. Właściwie nie przyglądała mu się wtedy, ale słyszała

osiem pojedynczych uderzeń, silnych i zdecydowanych. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się szeroko. Przysięgłaby, że kod był taki sam, jak do alarmu. Większość ludzi używa kombinacji liter lub cyfr, które są im dobrze znane. Kathy postawiłaby pieniądze, że hasło to data urodzenia Roberta.

Włączyła brzęczącą maszynę i czekała, aż ekran mrugnie i znieruchomieje.

Proszę, wprowadź hasło.

Zwlekąca, zastanawiając się, czy jeśli się pomyli, komputer zablokuje się i Robert będzie wiedział, że próbowała się do niego dostać. Potem odkryła, że właściwie mało ją obchodzi to, co pomyśli mąż.

Proszę, wprowadź hasło.

Robert urodził się dziesiątego października tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku. Wpisała ostrożnie cyfry: 10101962 i zastanowiła się chwilę, zanim potwierdziła. Pokiwała głową. Jej mały palec gładził klawisz *Enter*.

Światelko na obudowie zamigotało żółto, wskazując, że twardy dysk pracuje, potem komputer zagrał melodyjkę i otworzył się pulpit z ikonami.

Rozdział 8

Dwie godziny później Kathy odeszła od komputera. Wydawało jej się, że na ramionach dźwiga ołowianą belkę, a zmęczone oczy piekły i bolały. Wcześniej była przekonana – absolutnie pewna – że znajdzie dowody właśnie w komputerze.

Nie znalazła nic podejrzanego, ale to, co przy okazji odkryła, zaniepokoiło ją. Nawet przeraziło.

Najpierw zajrzała do *Moich dokumentów*, metodycznie i uważnie przeglądając folder po folderze, czytając listy i notatki związane wyłącznie z pracą. Poczula się zmęczona i odrobinę winna: nie zdawała sobie do końca sprawy, że Robert pracował tak ciężko. Teraz dostrzegła, jak niepewna była sytuacja R&K. Nic jej nie mówił o stanie firmy, ale z tego, co widziała, jeśli jeszcze nie byli w tarapatach, to wkrótce się w nich znajdą. Było coraz mniej pracy, a niezależne firmy producenckie bez przerwy obniżały ceny, podbijając sobie nawzajem klientów. Robert przyjmował coraz więcej reklamówek, większość odrzuconych wcześniej przez jedną z największych agencji reklamowych w mieście. Znalazła list do firmy fonograficznej, w którym Robert zgadzał się spuścić z ceny prawie trzy tysiące euro, byle tylko dostać od nich zlecenie. Zauważyła, że wysłał email o drugiej nad ranem. Odkryła też inne emaile wysyłane o drugiej trzydzieści, drugiej czterdzieści pięć, a nawet o trzeciej w nocy.

Robert pracował do późna zarówno w biurze, jak i w domu. Przyzwyczała się do tego przez lata. Pracował w nocy, twierdząc, że najlepiej mu idzie, kiedy w domu jest cicho, a telefony i fakсы przestają dzwonić.

Wczoraj wieczorem, leżąc w łóżku, z czerwoną flagą pulsującą w głowie i powodującą migrenowy ból w skroniach, Kathy wyobrażała sobie męża, jak romansuje przez email i telefon do późnej nocy. Jej obawy wizualizowały się w postaci urywanych snów, w których stała przed drzwiami Roberta, z uchem przyciśniętym do zimnych drewnianych drzwi, podsłuchiwała szeptane intymne rozmowy, wyciszone odgłosy seksu przez telefon i nerwowe uderzanie palców o klawiaturę, kiedy wysłał erotyczne listy.

Ale nie było nic. Nic znalazła żadnego dowodu, żadnego niestosownego listu.

Przejrzała jego *Outlooka*. Przeczytała każdy email, jaki otrzymał i jaki wysłał. Sprawdziła skasowane pliki i archiwalne foldery. I nie znalazła absolutnie żadnego dowodu, niczego niewłaściwego. Wręcz przeciwnie, wszystko wskazywało na ciężko pracującego i obowiązkowego mężczyznę. Jeśli wysłał cokolwiek do Stephanie Burroughs, z pewnością używał innego konta e-mailowego, a Kathy nie mogła tego sprawdzić. Spojrzała na puste miejsce na biurku. Chyba że trzymał dane w swoim laptopie... Robert brał go do pracy codziennie rano i przynosił z powrotem każdego wieczoru: może tam znajdzie dowody, których potrzebowała.

A może nie ma żadnych dowodów? – nalegała racjonalna Kathy. Może kilka skrawków

papieru, które do tej pory zebrała, to było wszystko. Może istniały nawet rozsądne wytłumaczenia dla każdego z nich. Za dużo „może”.

Kliknęła na sekcję *Kontakty* w *Outlooku* i szybko przewinęła setki nazwisk, aż dotarła do „B” i zwolniła.

Stephanie Burroughs.

Do nazwiska przypięta była mała czerwona flaga. Kliknęła na nią dwa razy i szczegóły dotyczące Stephanie Burroughs pokazały się na ekranie. Nazwisko, adres, numer domowy, numer komórki, faksu, e-mail... i małe zdjęcie. Kathy patrzyła długo na fotografię. Ostatni raz widziała ją sześć lat wcześniej i jeśli to było nowe zdjęcie – a przypuszczała, że tak – w takim razie te minione lata były łaskawe. Okrągała twarz zdominowana przez wielkie ciemne oczy, otoczona ciemnobrązowymi, prawie czarnymi włosami. Kathy wiedziała, że tamta ma jakieś trzydzieści pięć lat, o pięć mniej niż ona sama. Wyobrażała sobie, że Stephanie nadal jest szczupła i elegancka.

Ale tym, co uderzyło ją najbardziej – tak samo jak kilka lat temu, kiedy Robert przedstawił jej sobie po raz pierwszy – było to, że bardzo przypominały siebie nawzajem. Mogłyby być siostrami. Zawsze uważała, że Stephanie Burroughs jest młodszą, ładniejszą wersją jej samej.

Kliknęła na przycisk *Szczegóły*. Była jeszcze jedna strona kontaktów, włącznie z urodzinami Stephanie. Szósty listopada.

Kathy wcisnęła *Drukuj* i mała laserowa drukarka włączyła się, prawie natychmiast wyrzucając z sykiem szczegóły dotyczące Stephanie. Kathy dodała je do reszty dowodów.

Przeszła do podstrony *Kalendarz*, będącej kopią terminarza w jego komórce, i zdała sobie sprawę, że program w komputerze i ten w telefonie były ze sobą zsynchronizowane. Te same flagi pojawiały się w te same dni. Przewinęła do listopada, szukając szóstego, dnia urodzin Stephanie. Małą czerwoną flagę umieszczono przy tej dacie z krótką adnotacją Galway.

Galway.

Kathy pamiętała ten dzień – Robert pojechał do Galway spotkać się z potencjalnym klientem. Miał wrócić tego samego dnia, ale późno wieczorem zadzwonił, że wypił kilka drinków i nie chce ryzykować drogi przez miasto. Następnego dnia, w czwartek, zadzwonił i powiedział, że jedzie na golf z klientem i nie wróci aż do piątku rano. W końcu dotarł w piątkowy wieczór.

Kathy usiadła na trzeszczącym krześle i gapiła się na ekran. Przez te lata było wiele spotkań. Wiele nocy, kiedy musiał nocować poza domem, w różnych miastach. Nigdy przedtem o tym nie myślała, ale nie potrafiła sobie przypomnieć, czy którekolwiek z tych spotkań zaowocowało nowym klientem i kontraktem dla R&K Productions.

Co znaczyło...

Co znaczyło, że Robert był bardzo kiepskim handlowcem albo jego romans trwał o wiele dłużej, niż sądziła. Ostatnio słyszała o Stephanie, kiedy tamta się wyprowadziła i podobno wyjechała do pracy w Stanach. Czy aby na pewno? Kathy pomyślała, że nie powinna już w to wierzyć. Czy Stephanie naprawdę wyjechała, czy Robert powiedział tak, żeby dać żonie fałszywe poczucie bezpieczeństwa? Czy przez te wszystkie lata spotykał się z tamtą, wykradał się do miast i

miasteczek rozrzuconych po całej Irlandii, żeby ciągnąć swój brudny romans, spotykając się z kochanką w miejscach, w których nie mogli być rozpoznani? A może po prostu jeździł do... Sprawdziła adres na kartce papieru ... do apartamentu na Grand Canal, gdzie mieszkała Burroughs?

Nie mogła tego wiedzieć. Miała tylko poszlaki, żadnych dowodów.

Objęła się ramionami. Było jej niedobrze i zimno. Zdała sobie sprawę, że teraz nie mogła wierzyć w ani jedno słowo swojego męża. A wątpliwości, pytania, niepewności rozrywały ją na pół.

Rozdział 9

– Trochę późno mi o tym mówisz.

Kathy odsunęła słuchawkę od ust i wzięła głęboki oddech. Czasami nauczycielski ton starszej siostry doprowadzał ją do szału.

– Wiem, wiem. Możesz to dla mnie zrobić?

– Brendan ma siedemnaście lat, a Theresa piętnaście. Nie wydaje mi się, żeby potrzebowali opiekunki – zaczęła Julia Taylor.

– Dobra – odparła Kathy trochę ostrzej, niż zamierzała. – Poproszę Sheilę.

Sheila była młodszą siostrą Kathy i Julii, a Kathy wiedziała, że Julia była zawsze trochę zazdrosna o czas, który Sheila spędzała z dziećmi.

– Nie powiedziałam, że nie przyjadę – pospiesznie opowiedziała Julia. – Mówiłam tylko, że chyba są wystarczająco dorośli.

– Wiem, ale jeśli tu będziesz, może przynajmniej pouczą się do egzaminów, zamiast ślęczeć cały wieczór przed telewizorem.

– Rozumiem, że Roberta nie ma?

– Ma spotkanie z klientem – gładko skłamała Kathy, czując gorycz i niesmak.

– A ty, jak przypuszczam, musisz zrobić świąteczne zakupy?

Julia nigdy nie ukrywała swojej niechęci do Roberta.

– Możesz to zrobić? – Kathy pozwoliła, aby odrobina rozsadzającej ją złości wydostała się na powierzchnię. – Tak czy nie? Nie potrzebuję kazania.

– Dobrze, przyjdę.

Nastąpiła długa przerwa, a potem Julia dodała:

– Wszystko w porządku? Jesteś zdenerwowana.

– Tylko zmęczona. Święta tak blisko, a ja prawie nic nie zrobiłam. Trochę panikuję. Sklepy są teraz dłużej otwarte, więc jeśli uda mi się wszystko załatwić, będę spokojniejsza.

– Nie ma sprawy. O której chcesz, żebyśmy przyjechała?

– Tak wcześnie, jak tylko możesz.

– Au, mamus, tylko nie Julia! – Brendan smarował właśnie coś, co wyglądało na kanapkę z całego bochenka. Robił sobie „małą przekąskę”. – Mam siedemnaście lat!

Kathy zebrała rzeczy do prasowania i wrzuciła je do poobijanego plastikowego kosza. Brendan był młodszą wersją swojego ojca; wyglądał i mówił wystarczająco podobnie, żeby od czasu do czasu wyprowadzić ją z równowagi.

Theresa wpadła do kuchni, wnosząc powiew zimna. Ona też odziedziczyła wygląd po ojcu, choć była drobnej postury.

– Autobus się spóźnił – wyjaśniła i wzięła kromkę posmarowanego chleba ze stosu, który

pieczołowicie układał Brendan. W innych okolicznościach wybuchłaby kłótnia.

– Julia nas pilnuje dziś wieczorem – ponuro odezwał się Brendan.

– Mamo! – zawołała oskarżycielsko Theresa.

– Wiem, wiem – odparowała Kathy. – Masz piętnaście lat, a twój brat siedemnaście. I tylko ja jedna mogę – być rozczarowana, że potrzebujecie jeszcze opiekunki w tym wieku.

Oboje zrozumieli ostrzegawcze sygnały i zamilkli.

– Byłoby świetnie, gdybym mogła po prostu wyjść i zaufać wam obojgu, że zrobicie lekcje i pouczycie się. Ale nie mogę. Dlatego muszę prosić ciocię Julię, żeby miała na was oko. Uwierzcie mi, podoba mi się to mniej niż wam. To ja muszę wysłuchiwać jej kazań.

Trzymając przed sobą kosz z praniem niczym tarczę, wybiegła z kuchni, by nie powiedzieć czegoś jeszcze.

Stąpała mocno po schodach, zła na siebie, że dała się zdenerwować dzieciom. To nie była ich wina. Spędziła cały dzień, próbując wyobrazić sobie, co znajdzie w gabinecie męża. Wszystkie strzępy informacji wirowały jej w głowie; koszmarna układanka półprawd, podejrzeń i kłamstw. Zanim dzieci wróciły ze szkoły, miała paskudną migrenę i zgagę w żołądku. Nawet kiedy patrzyła, jak Brendan smaruje chleb masłem, robiło jej się mdło i słabo.

Trzymając kosz z praniem na biodrze, otworzyła drzwi suszarki i zaczęła sortować ubrania – proste, monotonne zajęcie pomogło odwrócić jej uwagę. Skarpetki Theresy – każda w innym odcieniu, szkolne koszulki Brendana, wszystkie z żółtymi plamami pod pachami, bokserki Roberta. Zatrzymała się i wzięła je w ręce. Materiał był jeszcze ciepły. Kiedy on zaczął nosić bokserki?

Kolejne pytanie. Nagle okazało się, że Kathy nie ma nic oprócz pytań. Była żoną Roberta od osiemnastu lat i znała go przedtem jeszcze trzy. Dwadzieścia jeden lat. Wiedziała o nim dużo – wydawało jej się, że wszystko. Ale teraz stawało się jasne, że wiedziała cholernie mało o facecie, którego kiedyś poślubiła. Potrząsnęła nagle głową, ostry ruch spowodował migrenowy ból w głębi oczu. To nie był mężczyzna, za którego wyszła. Tamten Robert by jej nie okłamał. Tamten Robert ją szanował. Kochał.

Zastanowiła się, czy to się zmieniło.

Kiedy się pobierali, nosił slipy. Ten sam materiał, ten sam kształt, całe białe. Zmarszczyła brwi, próbując sobie przypomnieć, kiedy zmienił przyzwyczajenia. Rok, nie, dwa lata temu. Mniej więcej wtedy, kiedy zaczął trenować.

Zapisał się do siłowni niedaleko M50. Powiedział jej, że dostał roczne członkostwo od klienta. Potem pewnego dnia wrócił do domu z paczką bokserek, które kupił w Dunnes w Blanchardstown. Wszyscy faceci w siłowni noszą takie, powiedział jej; czuł się głupio, nosząc slipy.

Zwijając bokserki w kulkę, wrzuciła je na dno suszarki. Czy to było kłamstwo? Prawda? Nic już nie miało sensu.

Kathy weszła do sypialni i zrobiła coś, co zdarzało jej się bardzo rzadko: zamknęła drzwi i przekręciła klucz. Stała oparta o framugę i patrzyła na swoje odbicie w lustrach garderoby. Pod oczami miała ciemne worki, włosy potrzebowały farby i grzebienia, ale nie była brzydka, nie była

gruba i, gdyby się postarała, mogłaby wyglądać ślicznie.

Odeszła od drzwi i podeszła do dużego lustra. Zobaczyła czterdziestoletnią kobietę, która wyglądała na starszą. Dookoła oczu miała wyraźne kurze łapki, zmarszczki wokół ust i drobne poziome paski nad górną wargą. Worki pod oczami wyglądały jak siniaki, a białka oczu były zaczerwienione od płaczu. Przypominała własną matkę.

Czy to właśnie widział Robert?

Jej usta drgnęły, układając się w następne pytanie: co widzisz, kiedy na mnie patrzysz? Nie wiedziała, bo nigdy jej tego nie powiedział. Zmarszczyła brwi i linie na czole pogłębiły się, a pomiędzy brwiami pojawiły się następne.

Kiedy ostatnio powiedział jej, że ją kocha? Kiedy ostatnio ona powiedziała mu, że go kocha? To pytanie dopadło ją znienacka.

– Ciągłe mu to mówię – powiedziała głośno. W lustrzanym odbiciu widziała w swoich oczach, że kłamie. Wcale mu tego nie mówiła.

– On wie, że go kocham.

Skąd ma wiedzieć? – spytał irytujący głos.

– Robię dla niego wszystko, piorę, gotuję, sprzątam, wychowuję dzieci.

A on pracuje długo i ciężko, żebyś mogła to robić. To wyrównuje rachunek.

Kathy odwróciła się od lustra, niezadowolona z tego, co w nim zobaczyła. Rozsunęła drzwi szafy i zaczęła przeglądać ubrania. Czy to ona zrobiła coś nie tak? Czy wepchnęła go w ramiona i do łóżka innej kobiety? Tych pytań nie chciała analizować, bo za bardzo bała się odpowiedzi.

Kiedy ostatnio powiedział jej, że ją kocha i... naprawdę tak myślał? Był czas, kiedy mówił to zawsze przed wyjściem do pracy. „Kocham cię”. Potem znów, ostatnie słowa przed snem. W pierwszych latach małżeństwa namiętnie czytała. Często spędzała pół nocy nad książką. Robert wchodził do łóżka, układał się przy niej, z głową prawie schowaną pod kołdrą, z ręką na jej brzuchu. Kiedy słyszał, jak wyłącza światło, mamrotał: „Kocham cię”. A potem uspokajał się i zasypiał prawie natychmiast. Ostatnie słowa wieczorem i pierwsze rano. Krótkie zdanie zamykało i otwierało jej dzień. Sprawiało jej ogromną przyjemność.

Kathy ubrała się pospiesznie, wciągając parę grubych wełnianych spodni i narzucając ciężki wełniany sweter. Temperatura spadała systematycznie i prognozy przewidywały, że na święta może być śnieg. Zakłady bukmacherskie spadły więc ze stu do jednego na dziesięć do jednego. Znalazła swoje kozaki z tyłu garderoby. Robert dał jej tę parę jako część świątecznego prezentu dwa lata temu. Nie był to z pewnością seksowny prezent, ale bardzo praktyczny. Włożyła prawą stopę do buta i spróbowała sobie przypomnieć, co jej podarował w ostatnie święta. Coś bardzo zwyczajnego, wiedziała, coś...

Potrząsnęła głową. Nie pamiętała.

W zeszłym roku, pośród innych rzeczy, kupił mu najnowszy aparat cyfrowy. Kiedy otworzył pudełko, powiedział jedynie, że ma nadzieję, że zachowała paragon, aby mógł odebrać VAT.

Co jej podarował w zeszłym roku? To będzie ją dręczyło przez resztę wieczoru.

Wyjęła skórzaną kurtkę z szafy, potem zamknęła lustrzane drzwi i jeszcze raz przyjrzała się swemu odbiciu. Opatulona w zimowe ubrania wyglądam brzydko, pomyślała.

– Nie będzie mnie kilka godzin – zawiadomiła Brendana i Theresę. Siedzieli w kuchni, w której śmierdziało przypalonymi tostami.

Dzieci pokiwały głowami. Oglądały coś w małym telewizorze powieszonym na ścianie. Annę Robinson właśnie mówiła jakiejś gwiazdce ekranu, że jest „najsłabszym ogniwiem. Do widzenia”.

Kathy zamknęła drzwi do kuchni, a potem otworzyła je znowu.

– Czy któreś z was pamięta, co wasz ojciec podarował mi rok temu pod choinkę?

– Nową powieść Maeve Binchy i perfumy – szybko odpowiedziała Theresa, nie spuszczać oczu z ekranu.

– No tak. Do zobaczenia. Bądźcie mili dla cioci Julii.

Zamknęła drzwi i skierowała się w stronę garażu. Książka i perfumy. Teraz pamiętała. Książka była świetna, ale perfumy zupełnie nie w jej stylu. Pamiętała, że nawet nie zdjął metki z ceną. Jedno i drugie kupił w centrum handlowym Stephen's Green. Długo nad tym prezentem nie musiał myśleć.

Kathy zastanawiała się, co kupił swojej kochance.

Rozdział 10

Kathy minęła SUV-a swojej siostry na końcu ulicy. Julia jej nie widziała: ścisnęła kierownicę wielkiego auta tak mocno, że aż zbieleły jej kostki; patrzyła prosto przed siebie. Kathy wiedziała, że siostra nie cierpiała prowadzić SUV-a z powodu jego rozmiarów, ale robiła to, bo wydawało jej się, że to symbol wysokiej pozycji społecznej. Snobka.

Ale przynajmniej mąż Julii nie miał romansu.

Ta myśl, lodowata jak zimowa pogoda, uparcie wślizgiwała się do jej świadomości. Julia i Ben byli małżeństwem od dwudziestu siedmiu lat i nikt nigdy nie wątpił, że się kochali. Wystarczyło na nich spojrzeć, żeby to wiedzieć. Kathy zastanawiała się, co myślał ktoś przyglądający się jej związkowi z Robertem. Czy sądził, że po osiemnastu latach małżeństwa wszystko między nimi dobrze się układa, że ciągle się kochają, czy raczej mógł od razu powiedzieć, że coś było nie tak? Czy to coś sygnalizowało, że ich związek się psuł?

Kathy włączyła długie światła. W ich blasku widziała przed sobą pojedyncze śnieżne płatki. Wydało jej się, że zapada się w śnieg. Zmieniła światła na mijania i zwolniła.

To jakieś szaleństwo.

Nie, to nie szaleństwo. To konieczność.

Jechała do Dublina w przedświątecznym tygodniu, w porze największych korków, a do tego zbliżała się burza śnieżna. Pomyślała o powrocie, przez chwilę nawet poważnie to rozważała. Ale gdyby zawróciła, z pewnością straciłaby impet. Jutro będzie o kolejny dzień bliżej do świąt i z jakiegoś powodu ta data – tak bardzo związana z rodziną – wydała jej się bardzo ważna. Musiała mieć pewność jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Może po prostu nie chciała wchodzić w nowy rok wiedząc – albo nie wiedząc – że żyła w kłamstwie. Że jej małżeństwo, jej związek, jej miłość, były skompromitowane, przyszłość niepewna, a przeszłość nieznaną.

Włączyła maksymalnie ogrzewanie w skodzie – ale nie zmieniło to znacząco temperatury w aucie. Na końcu drogi skręciła w prawo, przecinając główną ulicę Swords. Widziała, że aleja jest wypełniona samochodami, zapewne klientów pobliskiego centrum handlowego. Przebiegła wąską boczną uliczkę, co doprowadziło ją do końca głównej ulicy i pozwoliło wyjechać na Swords Road. Ruch był duży, ale większość aut wyjeżdżała z Dublina.

Kathy skręciła w bok, próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatnio sama jechała wieczorem do centrum. Jeśli wychodzili wieczorem, Robert ich zawoził. Jeśli jednak wypił za dużo, to ona wracała do domu. Nagle uśmiechnęła się, widząc, że ścisnęła kierownicę w ten sam sposób, co Julia, i też zbieleły jej kostki. Uśmiech powoli zniknął z twarzy. Jeśli – a to ciągle było tylko „jeśli” – okaże się, że Robert rzeczywiście ma romans, nie mogła powiedzieć o tym żadnej ze swoich sióstr, szczególnie Julii, która miała idealne małżeństwo, idealną rodzinę, idealny dom. Wiedziała też, że Julia będzie jej współczuć, choć podejrzewała, że tak naprawdę poczuje się raczej podekscytowana,

bo jej opinia o Robertcie się potwierdzi. Powie „A nie mówiłam” i bardzo będzie chciała udzielać Kathy rad, bez względu na to, czy zostanie o nie poproszona, czy nie. Sheila, młodsza i niezamężna siostra, będzie jej szczerze współczuła. Kathy zdecydowała jednak, że najpierw powie właśnie jej.

Głęboko w połach płaszcza zadzwoniła i zawibrowała jej komórka. Nie spuszczać oczu z drogi, sięgnęła do kieszeni, wyjęła telefon i włączyła głośnik; w ten sposób nie musiała go trzymać przy uchu.

– Kathy? – głos Roberta był wysoki i suchy. – Gdzie jesteś?

– W samochodzie – odparła, wiedząc, że to odpowiedź, której nienawidzi. Wiedział, że była w aucie – chciał wiedzieć, gdzie byli ona i samochód.

– Właśnie dzwoniłem do domu; dzieci powiedziały mi, że pojechałaś do miasta na zakupy.

Słyszała niedowierzanie w jego głosie.

– Tak – odpowiedziała w miarę beznamiętnym tonem.

– To chyba nie jest dobry pomysł. Korki są koszmarnie, a pogoda się pogarsza. W prognozach zapowiadali śnieg, a wieczorem nawet gołoledź.

– Muszę kupić kilka rzeczy. Pomyślałam, że pojadę do Stephen’s Green. – Uśmiechnęła się gorzko. – Jeśli pogoda rzeczywiście się pogorszy, wpadnę do Shanahana i tam się spotkamy. Możemy pojechać do domu twoim wozem, a rano przyjadę z tobą, żeby odebrać mój.

Długa pauza. Uparła się, że pierwsza jej nie przerwie.

– Jesteś tam? – odezwał się w końcu.

– Jestem – odparła krótko.

– Zbliżała się do ronda przy lotnisku. Musiała zdecydować, czy pojechać dwupasmówką, czy starą drogą lotniczą, może przez Ballymun? Jeśli pojedzie dwupasmową, utknie przy robotach drogowych w tunelu w Whitehall. Światło było zielone, więc włączyła prawy kierunkowskaz, żeby wjechać na rondo, a zaraz potem lewy, żeby z niego zjechać. Stara droga przy lotnisku była całkiem pusta.

– A ty gdzie jesteś? – spytała w końcu.

– Ciągle w biurze. Jimmy ma tu wpaść około siódmej. Przez moment słyszała tylko szum telefonu.

– Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł – kontynuował Robert. – A jeśli się napijemy z Jimmym, może sam będę musiał zostawić samochód. I oba będą w mieście. Myślałem nawet, że chyba przenocuję tutaj. Jimmy mówił, że mogę przekimać w jego mieszkaniu na Tempie Bar.

Kolejna długa chwila ciszy. Robert wyraźnie czekał, aż to Kathy się odezwie, ale ona milczała. Skręciła z lotniskowej drogi w prawo i jechała inną, równoległą do pasów startowych. Lewe pobocze było wypełnione samochodami; zagorzali fani samolotów, opatuleni przed chłodem, stali przy swoich autach, przyciskając lornetki do oczu. Stały tam też inne samochody, ale koło nich nikt się nie ruszał, a okna były całkiem zaparowane. Kiedy umawiała się z Robertem na pierwsze randki, też przyjeżdżali tutaj, żeby się obściskiwać i całować.

– Kathy...

– Jestem przy lotnisku, sygnał jest słaby.

– Czy nie możesz kupić potrzebnych rzeczy w Pavillions przy domu?

– Nie – powiedziała zgodnie z prawdą. – Do zobaczenia później u Shanahana.

– Nie, nie u Shanahana...

– Kathy zwolniła. Patrzyła uważnie na drogę, nie zwracając uwagi na bursztynowy ekran telefonu. Odetchnęła głęboko, zanim odpowiedziała, uważając, żeby nie zmienić tonu:

– Wydawało mi się, że mówiłeś wczoraj wieczorem, że idziecie do Shanahana...

– Wiem, jednak ktoś coś pomylił. Dzwoniłem, żeby potwierdzić rezerwację, ale nikt jej nie zapisał.

Kathy Walker zmarszczyła brwi. Wiedziała, że to akurat była prawda. Więc może wszystko inne też można było jakoś wytłumaczyć. Może jej pytania miały racjonalne odpowiedzi. Potrząsnęła głową.

– Więc gdzie idziecie?

– Jeszcze nie wiem.

– No dobrze, zadzwoń do mnie, jak już znajdziecie jakieś miejsce, to wpadnę. Nie widziałam Jimmy’ego od wieków. A co u Angeli?

– Lepiej o niej nie wspominać. Są w separacji. On chce rozwodu. Ona się nie zgadza.

Kathy skręciła w lewo na wąską dwupasmową drogę. Szron błyszczał na poboczu. Gdzieś w oddali światła Ballymun świeciły na bursztynowo i biało, odbijając się od nisko wiszących chmur. Wieże były ciemne i puste – niektóre już zostały zburzone, reszta miała być rozwalona wkrótce – ale sześć dźwigów ponad nimi udekorowano świątecznymi lampkami.

– Muszę kończyć. Chyba widzę gliniarzy przed sobą skłamała i wcisnęła klawisz, żeby zakończyć rozmowę.

Jeśli Robert zażądałby rozwodu, czy powiedziałaby „nie”?

Kathy potrząsnęła głową. Powiedziała „idź”.

Jeśli jej nie chciał, jeśli wybrał jakąś zdziwę zamiast niej, z pewnością nie chciałyby, żeby został z nią. Ale jeśli miałby odejść, ona upewni się najpierw, że zostawi wszystko, co prawnie należy do niej.

Dotarcie do Christchurch zajęło jej czterdzieści minut, kolejne sześćdziesiąt poświęciła, żeby zbliżyć się do Green. Operacja Swobodny Przejazd trwała już na dobre, a miejsce parkingowe na ulicy było na wagę złota. Wielkie ekrany LCD wyświetlały dostępne miejsca parkingowe w całym mieście – teraz wskazywały, że wszędzie było pełno, ale Kathy nie zamierzała tu parkować. Przejechała przez centrum, w dół Nassau Street, kierując się na Merrion Square. Skręciła w prawo przy szpitalu położniczym, potem w pierwszą w lewo – w Mount Street, jadąc prosto w stronę kościoła Peppercannister. Zwolniła, szukając skrawka miejsca do zaparkowania, ale nawet tak daleko od centrum ulica była wypełniona samochodami z obu stron. Nie uda jej się nic znaleźć.

Już od dawna Kathy i Robert prowadzili R&K Productions poza domem. Jakies dziesięć lat temu, kiedy firma zaczęła zarabiać, zdecydowali, że potrzebują porządnej siedziby. Musiała być wystarczająco blisko centrum, żeby zrobić wrażenie na klientach, lecz na tyle daleko, by czynsz nie był za wysoki. W końcu kupili jeden pokój na drugim piętrze lekko obdartej, dawnej gregoriańskiej stajni naprzeciw kościoła Peppercannister. Kiedy zwolniło się drugie pomieszczenie, kupili je również. Teraz R&K Productions zajmowała apartament złożony z czterech pomieszczeń na parterze: recepcji, dużej sali konferencyjnej, małej kuchni i łazienki. Kathy zawsze twierdziła, że to koszmarnie ekstrawagancki wydatek; Robert mówił, że firma potrzebuje porządnego biura.

Kathy zwolniła i objechała kościół dookoła. Z daleka widziała, że okna R&K były zupełnie ciemne. Spojrzała na zegar na desce rozdzielczej – za piętnaście siódma. Jeszcze raz pojechała dookoła kościoła, wyciągając szyję w stronę ciemnego podjazdu. Nie było również samochodu Roberta.

Była... rozczerowana.

Czego się spodziewała? Że zobaczy auto Roberta przed biurem, a potem otworzą się drzwi i mąż wyjdzie ramię w ramię z kochanką? A jeśli zobaczyłaby jego samochód na zewnątrz, co by zrobiła? Weszła czy chowała się w cieniu, szpiegując niczym przemarnięty detektyw z kiepskiej powieści?

Jeszcze raz objechała kościół i skręciła w stronę kanału. Zmierzała w innym kierunku.

Bardzo łatwo znalazła adres Stephanie Burroughs. Dom mieścił się w nowym kompleksie schowanym za elektroniczną bramą. Z wydrukiem z komputera Roberta Kathy podeszła do bramy i zajrzała, próbując znaleźć właściwy dom.

– Mogę w czymś pomóc?

Głos był zjadliwy i podejrzliwy. Drobną postać wyszła nagle z cienia.

– Tak... Nie... chyba.

Kathy spróbowała swojego najlepszego uśmiechu.

– Cóż, proszę się zdecydować – parsknęła starsza pani.

– Mam doręczyć kosz ze świątecznymi prezentami dla panny... – z namaszczaniem spojrzała na kartkę papieru – dla niejakiej panny Burroughs. Ona chyba tu mieszka.

– Numer 28.

Starsza pani odwróciła się i wskazała na brukowane podwórko i jasno oświetlone drzwi. Jasna miniaturowa choinka świeciła się w bąbelkowej szybie drzwi.

– Ach, więc mam dobry adres.

– Tak. Ale nie ma sensu teraz dzwonić. Ona właśnie wyszła.

– Kathy znów się uśmiechnęła.

– Pewnie nie wie pani, dokąd mogła pójść? Teraz kobieta spojrzała na nią podejrzliwie.

– To dostawa do rąk własnych?

– Właśnie, to bardzo specjalna przesyłka. Mam ścisłe instrukcje, żeby dostarczyć ją wyłącznie do rąk własnych.

Jeśli ją pani zobaczy, proszę nic jej nie mówić o koszu.

To ma być niespodzianka.

– Jestem uosobieniem dyskrecji, młoda damo. Uosobieniem dyskrecji.

– Dziękuję bardzo. Wesołych Świąt.

– Pani również, Wesołych Świąt.

Rozdział 11

Kiedy wróciła, było już koło dziewiątej, a wszyscy – Julia, Brendan i Theresa – mieli paskudne humory. Robert jeszcze się nie pojawił.

Julia zaczęła zakładać płaszcz dokładnie w chwili, kiedy Kathy przekręciła klucz w drzwiach wejściowych.

– Miałaś wrócić wieki temu – huknęła.

– Spieszyłam się, jak mogłam – odparła Kathy. Otworzyła usta, żeby dodać coś jeszcze, ale szybko je zamknęła. Miała tendencję do gadania zbyt wiele, szczególnie kiedy była zdenerwowana, i bała się, że zaraz wyrzuci z siebie wszystkie obawy i wygada się siostrze.

– Dzieci były grzeczne?

– Raczej tak, choć nalegały, żeby zamówić jedzenie. Nie znoszę tych przywożonych śmieci, Kathy. Nigdy nie wiesz, co jesz.

– Nigdy nie mieliśmy żadnych problemów z tutejszym...

– Jest niezdrowe. Pełne soli, cukrów i glutaminianu sodu.

– Mogą zamawiać tylko od czasu do czasu, w nagrodę.

– Wydają się świetnie znać menu... – powiedziała podejrzliwie Julia.

– Napijesz się herbaty? – spytała Kathy, mijając siostrę i kierując się do kuchni. Wiedziała, że Julia odmówi.

– Nie, nie, lepiej już pójść. Ben będzie się zastanawiał, gdzie jestem.

Kathy wróciła do holu i musnęła ustami policzek siostry. Julia pachniała pudrem lawendowym, tym samym, którego używała matka. Kathy zastanawiała się, czy to przypadek, czy celowe działanie. W miarę jak się starzała, Julia zaczynała fizycznie przypominać ich matkę; miała podobną fryzurę – tylko trochę nowocześniejszą wersję – i nawet jej ubrania zaczęły przypominać te, która nosiła zmarła Margaret Childs: blezery i skromne spódnice.

Julia stała w drzwiach, ciasno zapinając płaszcz.

– Przyjdziecie w Świętego Stefana.

Julia obróciła pytanie w stwierdzenie.

– Jeszcze nie mówiłam Robertowi – szczerze odpowiedziała Kathy – ale będziemy na pewno.

– Widziałaś Sheilę?

– Ostatnio nie.

– Ma nowego faceta?

– Nie mam pojęcia – odparła, niezupełnie zgodnie z prawdą, Kathy. W życiu ich młodszej siostry był jakiś nowy mężczyzna, ktoś bardzo ekscytujący, o kim Sheila nie mówiła zbyt wiele.

– Ona musi się ustatkować – stwierdziła Julia i pociągnęła nosem. – Jest już trochę za stara na to skakanie z kwiatka na kwiatek.

– Ma dopiero trzydzieści sześć lat.

– W tym wieku byłam mężatką z dwójką dzieci. I ty też – dodała Julia. – Lepiej już pójde.

Odwróciła się szybko, by jak najdelikatniej pocałować siostrę w policzek, po czym potarła kciukiem miejsce pod prawym okiem Kathy.

– Wyglądasz na zmęczoną. Masz wory pod oczami. Jak przyjadę następnym razem, przyniosę ci łagodzący żel.

Odwróciła się i szybko podążyła ścieżką. Jej kroki skrzypiały cicho na mrozie.

Kathy stała w drzwiach, ze skrzyżowanymi ramionami, czekając, aż jej siostra powoli i ostrożnie wyprowadzi wielkiego SUV-a z podjazdu. Dopiero kiedy Julia wyprostowała koła na ulicy i szybko odjechała, a koła zaboksowały na śliskiej jezdni, cofnęła się i zamknęła drzwi. Hol był tak zimny, że kiedy oddychała, widziała obłoczek pary wydobywający się z ust.

Brendan i Theresa siedzieli w salonie, rozwaleni w ten specyficzny sposób typowy wyłącznie dla dzieci i nastolatków, z każdą kończyną w inną stronę. Oglądali telewizję – kanał Czwarty nadawał specjalny świąteczny odcinek *Big Brothera*.

– Odrobiliście lekcje?

Mruknęli coś pod nosem.

– Ojciec się odzywał?

– Tak – odezwał się Brendan – ale powiedział, że zadzwoni do ciebie na komórkę.

– Rozmawiałam z nim.

– Mam nadzieję, że niedługo wróci – odezwała się Theresa. – Dziś wieczorem ma padać śnieg.

– Mówił, że jeśli pogoda się pogorszy, może zostanie w mieście – odparła Kathy, bardziej żeby uspokoić córkę, niż żeby powtórzyć kłamstwo, której jej wcisnął mąż.

Theresa przytaknęła, nie podnosząc głowy.

– To dobrze. Tak będzie lepiej. Bezpieczniej.

Kathy poczłapała do kuchni i zaczęła sprzątać papierowe torby i foliowe opakowania po przywiezionym jedzeniu. Robert był dobrym ojcem, musiała to przyznać. Niczego im nie brakowało... może z wyjątkiem ojca. Wychowanie dzieci niemal całkowicie spadło na jej barki. W pierwszych latach małżeństwa rzadko bywał w domu; często wychodził do pracy, zanim dzieci się obudziły, a wracał późno wieczorem, kiedy były już w łózkach i spały. Widywały go tylko w weekendy. A nawet wtedy bez przerwy pracował. Kathy zebrała talerze i otworzyła zmywarke. Teraz świetnie się dogadywali...

Zatrzymała się i wyprostowała. Naprawdę? Czy naprawdę mieli ze sobą dobre stosunki? Co oznacza mieć dobrą relację z kimś? – zastanawiała się.

Kupował im wszystko, czego zapragnęły. Boże Narodzenie nie było już wyjątkowe, bo dawał im prezenty o każdej porze roku, często wracał do domu z gramami, książkami i ubraniami, drobną biżuterią dla Theresy i programami komputerowymi dla Brendana. Oboje go uwielbiali. Jak zareagują, kiedy... nie, nie kiedy, tylko jeśli. W tej chwili to ciągle jeszcze było jeśli. Ile czasu

poświęcał im Robert?

Zaczęła wkładać talerze do zmywarki. Nie pamiętała, kiedy ostatnio spędził czas z dziećmi lub zabrał je gdzieś, aby pobyli razem. Ostatni film, na który wybrali się całą rodziną... Potrząsnęła głową: nie potrafiła sobie przypomnieć. Zapominał o meczach Brendana i szkolnych występach Theresy, bo pracował.

Czyżby?

Znów pojawiła się ta trująca, podstępna myśl. Pracował czy był ze swoją kochanką? Każde wyjaśnienie, które podawał Kathy, wydawało się teraz podejrzanym.

Pod wpływem impulsu podniosła swój telefon ze stołu i wykręciła numer komórki męża. Rozmowa od razu została przekierowana na pocztę głosową; wyłączył aparat. Wzięła swoją torebkę i wyciągnęła kartkę z danymi Stephanie. Znów sięgnęła po telefon, kiedy zdała sobie sprawę, że jej numer pojawi się na wyświetlaczu komórki Burroughs. Kolejne dziesięć minut Kathy spędziła, szukając w menu opcji *Wyślij swój numer*. Kiedy już wyłączyła identyfikację, zadzwoniła na domowy telefon i spojrzała na ekran. Pojawił się napis *Numer prywatny*. Teraz mogła zadzwonić. Telefon dzwonił i dzwonił. Już chciała się rozłączyć, kiedy nagle ktoś odebrał.

– Halo.

Głos był żywy, stanowczy, nawet szorstki. W tle słychać było dźwięki pianina, szum rozmów, postukiwanie kieliszków. Bar albo restauracja.

– Halo?

– Halo? Becky?

– Nie, ma pani zły numer.

– Przepraszam – powiedziała niepewnie Kathy, ale rozmowa została przerwana. Stephanie rozłączyła się. – No i co z tego masz? – rzuciła głośno.

– Mamo, znów mówisz do siebie – Theresa weszła do kuchni. Podeszła prosto do szafki i wyjęła pudełko z płatkami.

– Myślałam, że już jedliście.

– Tak. Ale to było wieki temu. Umieram z głodu.

Theresa napełniła miskę płatkami po samą krawędź, a potem dolała sporo mleka. Spojrzała na matkę.

– Załatwiłaś w mieście wszystko, co chciałaś?

– Nie wszystko – szczerze odpowiedziała Kathy. – Dopiero zaczęłam. – Odwróciła się i spojrzała na córkę. – Myślałaś już, co chcesz dostać na święta?

– Dałam tacie moją listę.

– Jeszcze jej nie widziałam.

Córka skupiła się na swoich płatkach.

– Czy to dlatego, że mogłyby mi się nie spodobać niektóre rzeczy z tej listy?

Theresa ledwo zauważalnie wzruszyła ramionami.

– Ale wiesz, że tata ci je kupi.

- To tylko jeden czy dwa drobiazgi – obronnym tonem odparła Theresa.
- To znaczy jedna albo dwie strony drobiazgów. Porozmawiam o nich z twoim ojcem.
- Obiecał, że mi je kupi.
- Najpierw ja zobaczę, co to jest.
- Nie bądź wredna, mammo. Tata nie ma problemu z tą listą!

Podniosła miseczkę z płatkami i poszła z powrotem do salonu, ignorując zakaz jedzenia przed telewizorem. Kathy była zbyt zmęczona i poirytowana, żeby się kłócić z córką. Słyszała, jak Theresa głośno mówi coś bratu, bez wątpienia opowiadając, jak wredna jest ich matka, jeśli chodzi o kupowanie im świątecznych prezentów.

Kłócili się o to co roku. Theresa spisywała listę prawie wszystkiego, co widziała w telewizji, znalazła w gazecie albo co spodobało jej się u przyjaciółek. Kathy skracała listę do jednego lub dwóch dużych prezentów, dorzucając drobiazgi do włożenia w skarpetę. Uzgodniła z Robertem, że każde z dzieci otrzyma równą liczbę prezentów, tak by otwierało mniej więcej tyle samo paczek w świąteczny poranek. Ostatnio jednak Theresa, która była pupilką ojca, odkryła, że jeśli sama go o coś poprosi, zazwyczaj to dostanie. W zeszłym roku w Wigilię wybuchła kłótnia, kiedy Kathy odkryła, że Robert kupił córce prawie wszystko, czego zażądała. Miała szesnaście prezentów do odpakowania, natomiast Brendan tylko osiem.

Robert obiecał, że w tym roku będzie inaczej. Najwidoczniej zapomniał o tej obietnicy.

Kathy posprzątała kuchnię i napełniła czajnik. Robert zapominał ostatnio o wielu rzeczach: o punktach karnych, o nowej karcie kredytowej... i o tym, że ciągle była jego żoną.

- Czas do łóżek.
- Mammo!

Kathy dwoma krokami przeszła przez pokój i wyłączyła telewizor.

- Spać. Wkrótce będą ferie i wtedy możecie siedzieć do późna.

Podniosła poduszki z podłogi i położyła je z powrotem na krzesłach.

– Thereso, kiedy zawołam cię rano, natychmiast wstajesz. Nie będę cię budzić dwa razy, a jeśli spóźnisz się na autobus, nie mam zamiaru odwozić cię do szkoły.

Theresa zwlokła się z krzesła i demonstracyjnie wyszła z pokoju, zostawiając na podłodze miskę po płatkach. Kathy chciała ją zawołać, ale Brendan był szybszy, podniósł brudne naczynie i łyżkę.

- Wezmę to.
- Dzięki.
- Wszystko dobrze, mammo?

Spojrzała w górę, uderzona zaniepokojeniem wyczuwalnym w jego głosie. Bardzo przypominał swego ojca. Poznała Roberta, kiedy miał koło dwudziestki i pracowała dla niego od czasu do czasu, zanim zaczęli się spotykać. Był wtedy przystojnym facetem – jest nim nadal, myślała – a Brendan odziedziczył po ojcu południową urodę. Teraz miał siedemnaście lat i do tej pory poderwał już kilka dziewczyn. Zniechęcała go do randek, każąc skupić się na nauce. Kiedyś

jednak Robert obiecał mu posadę w firmie, jak tylko skończy szkołę. Brendan zdecydował wtedy, że nie ma sensu uczyć się, skoro praca już na niego czeka. Odtąd jego wyniki znacznie się pogorszyły – zwykle otrzymywał C, często D. Przed rozmową z ojcem miał głównie B i kilka A.

– Mamo? – znów zapytał Brendan.

– Wszystko dobrze. Jestem zmęczona. Mam dużo pracy przed świętami.

Pokiwał głową, choć nie wyglądał na przekonanego.

– Kiedy wraca tata?

Kathy wzruszyła ramionami.

– Kto to wie? Ja nie. – Coś w głosie zdradziło ją. Widziała zmarszczkę, która pojawiła się na czole syna, więc dodała szybko: – To dla niego trudny okres, zabawianie klientów i picie z nimi. Najwięcej zleceń ma dzięki osobistym spotkaniom. Ale może wrócić do domu w każdej chwili.

Brendan skinął głową. Widziała jednak, że nadal coś go niepokoi. Otworzyła usta, żeby spytać, ale szybko zrezygnowała. Nie chciała ryzykować, że zdradzi swoje zdenerwowanie przed synem, który powie o tym ojcu.

– Połóż się już. Zamknę drzwi na dole.

– Dobranoc.

– I żadnego czytania. Jest bardzo późno.

Poczekala, aż Brendan zniknie w pokoju. Potem obeszła dom, zgasila światła i zatrzasnęła drzwi wejściowe. Włączyła lampę na ganku i stała w holu, patrząc przez okno na pojedyncze płatki śniegu spadające obok smugi światła. Zastanawiała się, czy mąż już wraca do domu, czy spędzi noc z kochanką.

Rozdział 12

Kiedy Robert wrócił do domu, była prawie druga trzydzieści.

Kathy jeszcze nie spała. Przez chwilę próbowała czytać nową książkę Patricii Cornwell, ale słowa skakały jej przed oczami i rozmywały się, więc zrezygnowała, zwłaszcza kiedy zorientowała się, że czyta ten sam fragment po raz dziesiąty i ciągle nic z niego nie rozumie. Położyła książkę na podłodze obok łóżka, zgasła światło, potem wstała, rozsunęła ciężkie zasłony i stanęła przy oknie, patrząc na drogę. Nie spała, mimo że nie była do końca pewna, czego wypatruje i na kogo czeka.

W pierwszych latach po ślubie nigdy nie kładła się spać, zanim Robert nie wrócił do domu. Jeśli zegar wybijał północ, zaczynała czuć napięcie i wyobrażała sobie najgorsze: pijanego kierowcę, wypadek samochodowy, pobicie. Nie potrafiła sobie teraz przypomnieć, kiedy przestała na niego czekać. Może wtedy, gdy zaczął częściej zostawać w mieście wieczorami, gdy stało się to normą, a nie wyjątkiem.

Przemarznięta do szpiku kości wgramoliła się na powrót do łóżka i położyła na plecach, gapiąc się na wzory, które światła ulicznych latarni tworzyły na suficie. Próbowała wywnioskować coś z ostatnich dwóch dni, ale nie potrafiła.

Ciągle wracała do pytań, wśród nich także tego najważniejszego: dlaczego?

Dlaczego Robert miałby mieć romans?

Czy to ona coś zrobiła? Coś, czego nie powinna?

Zapadła w niespokojną drzemkę, świadomie i podświadomie stale roztrząsając to pytanie.

Dręczyły ją bezkształtne, niekonkretne sny, wydarzenia z osiemnastu lat małżeństwa przepływały jedno za drugim w niekończącej się sekwencji. W tych snach była sama – sama w domu, sama z dziećmi, sama na zakupach, sama zawoziła je do szkoły, gotowała, zmywała, sprzątała... sama, sama, sama. Samotne weekendy, samotne wakacje, samotne święta. Sama, sama, sama.

Nagle oprzytomniała, szybko wracając z niespokojnych snów do rzeczywistości. Usłyszała klucz przekręcany w zamku. Wskoczyła z łóżka i stanęła przy oknie, zanim jeszcze zdała sobie sprawę z tego, co robi. Dziwna mieszanina emocji – ulgi i rozczarowania – przepływała przez nią, kiedy zobaczyła samochód Roberta na podjeździe. Potem znów wśliznęła się do ciepłego łóżka i naciągnęła kołdrę po samą brodę.

Sama.

Słyszała, jak Robert porusza się na dole, bezskutecznie próbując nie robić hałasu. Zdała sobie sprawę, że uczucie przeważające w jej śnie pozostało i na jawie. Czuła się samotna.

Gdzie podział się ten chłopak, którego poślubiła? Co stało się z mężczyzną, z którym dzieliła wszystko? Gdzie był facet, którego kochała?

Nagły przyływ emocji sprawił, że łzy napłynęły jej do oczu, więc zaczęła mrugać z wściekłością, żeby spadły, a potem szybko przetarła dłonią twarz, ścierając z niej wilgoć.

Była samotna.

Nagle rozpoznała to puste uczucie, z którym żyła od kilku lat, tę pustkę, wewnętrzną próżnię. Miała dzieci, które dawały jej zajęcie, kilku przyjaciół i miłych sąsiadów, bliską rodzinę, zajmowała się czymś, chodziła na kursy, ale to wszystko nie wypełniło pustki.

Słyszała, jak Robert wchodzi po schodach.

Zdała sobie sprawę, że jeśli odszedłby rano, z pewnością tęskniłaby za nim – za jego obecnością w domu – ale chyba nic więcej. Odsunął się od niej dawno temu, krok po kroku. Dopiero teraz zaczynała to rozumieć.

Czy jego odejście naprawdę zmieniłoby w jej życiu tak wiele?

Bardzo mało. I ta odpowiedź zmartwiła ją bardziej niż cokolwiek innego.

– Nie byłam pewna, czy wrócisz dziś do domu.

– Nie chciałem cię obudzić.

– Nie obudziłeś.

Patrzyła na niewyraźny zarys jego sylwetki, kiedy zdejmował krawat i rzucał go gdzieś w kierunku toaletki. Słyszała szelest jedwabiu, który zsunął się na podłogę.

– Wypiłem tylko kilka drinków i nie było strasznych korków.

Ściągnął marynarkę, położył ją na oparciu krzesła i zaczął rozpinać koszulę.

– Dzwoniłam wcześniej.

– Nie słyszałem.

– Od razu włączyła się poczta głosowa.

– Poszliśmy do Market Bar przy George's Street – pewnie kamienne ściany zagłuszyły sygnał.

Jakoś nie zagłuszyły sygnału w komórce twojej panienki – chciała dodać, ale zrezygnowała.

Zamiast tego spytała:

– Co u Jimmy'ego?

– Wszystko dobrze. Pozdrawia cię.

– Dziwię się, że mnie jeszcze pamięta.

– Oczywiście, że tak.

– Więc nie poszliście do Shanahana?

Biała koszula Roberta zajaśniała w świetle ulicznych lamp. Zdjął ją i rzucił na marynarkę.

– Zadzwoń tam rano i złożę skargę. Jestem pewien, że Maureen robiła rezerwację, ale oni twierdzą, że jej nie mają.

– A co mówi Maureen?

Maureen od początku pracowała jako sekretarka w R&K, a Robert zawsze twierdził, że zatrudnienie jej to najlepsza decyzja, jaką podjął w życiu. Zaczynała w RTE jako asystentka produkcji i spędziła w ogólnokrajowej telewizji dwadzieścia pięć lat, zanim zajęła się pracą na

własny rachunek. Znała prawie wszystkich w tym biznesie.

– Maureen jest chora.

– Nie mówiłeś o tym.

– Na pewno wspomniałem.

Pozwoliła, by usłyszał gniew w jej głosie.

– Z pewnością bym zapamiętała. Pracowałam z Maureen, pamiętasz?

Przez długi czas Maureen stanowiła ich jedyny personel i obie musiały ściśle współpracować. Kiedy matka Kathy zmarła niespodziewanie osiemnaście miesięcy temu, a trzy siostry były zupełnie rozbite, to właśnie Maureen zajęła się wszystkimi sprawami związanymi z pogrzebem, – Od jak dawna jest chora?

– Trzy... cztery tygodnie – wymamrotał Robert. – I nic mi nie powiedziałaś!

Podniosła głos i ściszyła go z wyraźnym wysiłkiem.

– Nic mi nie powiedziałaś. Zadzwoiłabym do niej, odwiedziła.

– Byłem zajęty. Widocznie zapomniałem.

– Co jej jest?

– Infekcja płuc czy coś takiego. Nie wróci do pracy aż do Nowego Roku. A to najgorętszy czas – dodał z wyraźnym zniecierpliwieniem.

– Mówisz tak, jakby specjalnie zachorowała. Nie pamiętam, kiedy ostatnio była chora. A ty pamiętasz? – odparła oskarżycielskim tonem.

Robert nie odpowiedział. Wszedł nagi do łazienki, zamknął drzwi i włączył światło. Wokół drzwi zrobiło się jasno. Słyszała brzęczenie jego elektrycznej szczoteczki do zębów. To była kolejna z jego sztuczek: kiedy dochodziło do jakiejś sytuacji albo dyskusji, w której on wiedział, że się myli, po prostu nie odpowiadał na zarzuty albo zmieniał temat.

– Kto teraz pracuje w sekretariacie? – spytała Kathy, kiedy wyszedł z łazienki, wpuszczając do pokoju światło, które na chwilę ją oślepiło.

– Stażystka. Illona. Chyba Rosjanka. Dostałem ją z agencji. Jest świetna.

Kathy wykorzystała te kilka chwil, kiedy Robert był w łazience, żeby ostudzić swój gniew. Była bliska wybuchu, kiedy dowiedziała się, że jej przyjaciółka Maureen była na zwolnieniu. Przez chwilę rozmowa zбочyła na inny temat, a ona chciała wrócić do poprzedniego.

– Może Illona zrobiła rezerwację? – zasugerowała.

Robert wyjął świeżą piżamę i założył spodnie.

– Może. Ale to było jakieś cztery tygodnie temu. Jestem pewny, że Maureen jeszcze wtedy pracowała. I tak złożę skargę w restauracji, jak tylko znajdę chwilę.

– Chcesz, żeby zrobiła to za ciebie? – spytała, spodziewając się odmowy.

Włożył górę od piżamy.

– Jeśli znajdziesz czas – byłoby świetnie. Stolik dla dwóch osób, piątek wieczór, dziewiętnasta trzydzieści, na nazwisko moje albo Jimmy'ego Morana. Podałem także jego, gdyby przyszedł przede mną.

Robert wszedł do łóżka, odchylając kołdrę. Kathy zrobiło się zimno. Pochylił się i niedbale pocałował ją w policzek. Poczula alkohol. Nic więcej. Żadnych perfum, mydła czy szamponu, które potwierdziłyby, że brał niedawno prysznic:

– Dobranoc – mruknęła i przewróciła się na drugi bok, zupełnie skołowana. Czyżby całkiem się myliła? Może naprawdę jadł dziś wieczorem kolację z Jimmym Moranem? Nie pozwoliłby jej zadzwonić do restauracji i składać skargi, gdyby było inaczej. I oczywiście nie wiedział, że ona już wcześniej wykonała ten telefon...

A jeśli myliła się co do jego spotkania z kochanką, jeśli naprawdę widział się z Jimmym, to jej podejrzenia były bezzasadne. Skoro dziś nie kłamał, może w ogóle nie miała racji?

Oddech Roberta uspokoił się.

Czyżby oskarżała go niesłusznie? Czy istniało sensowne i racjonalne wytłumaczenie wszystkich dowodów, które zebrała? Lub raczej kilku skrawków papieru, poprawiła się. Czy to tylko histeria nieufnej żony przystojnego mężczyzny?

Było w pół do piątej, kiedy wreszcie zapadła w płytki, niespokojny sen. Wydawało jej się, że niecałe pięć minut później zadzwonił budzik.

Rozdział 13

Sobota, 21 grudnia

Kathy siedziała w samochodzie przed cmentarzem Glasnevin i gapiała się przez przednią szybę na okrągłą wieżę widoczną na tle bladoniebieskiego nieba. Wstrząsały ją dreszcze, nie z powodu lodowatego grudniowego powietrza, lecz atmosfery tego miejsca.

W samym sercu starego cmentarza, we wspólnym grobie pochowani byli jej rodzice. Wujkowie, ciotki i rozmaici kuzynowie także tu spoczywali, w różnych miejscach – oznaczonych bądź nie. Kathy od zawsze nie znosiła Glasnevin. Miała bujną wyobraźnię i łatwo, zbyt łatwo, wyobrażała sobie zmarłych leżących w ziemi, niektórych ciągle w postaci ciała, innych zmienionych w kości. W jej rojeniach zawsze spoglądali na nią szeroko otwartymi zniechęconymi oczami. Nienawidziła swego rodzaju skończoności tego miejsca, monumentalnych nagrobków, rzeźbionych aniołów, ogromnych płyt i ozdobnego betonu.

Kiedy ona i jej siostry były młodsze, niedzielne odwiedziny na cmentarzu Glasnevin były cotygodniowym rytuałem. I każdego tygodnia, kiedy przechodzili przez bramę, ojciec opowiadał ten sam żart o „martwym centrum Dublina, a one jęczały zgodnie i głośno.

Zaczynali od grobów dziadków i zawsze szli tą samą drogą, niedziela po niedzieli, do grobów innych zmarłych krewnych, wrywając chwasty i czyszcząc nagrobki wodą z mydlinami wylewaną z butelek po lemoniadzie. Pamiętała wszystkie imiona i daty i, mimo że nigdy nie spotkała niektórych z tych osób, czuła, że zna je doskonale. Wiedziała, że ciocia Mae klóciła się z kuzynem Tonym i nie rozmawiali ze sobą przez prawie trzydzieści lat, wiedziała, że kuzynka Jessie – która właściwie nie była kuzynką – została porzucona przed ołtarzem przez Tima, który później ożenił się z ciocią Ritą, a wujkowi Fitzowi trzeba było zrobić specjalną trumnę, bo był taki wielki. Dopiero później, znacznie później, zdała sobie sprawę z tego, że w ten sposób jej ojciec pielęgnował pamięć o historii rodziny – nawet jeśli wtedy robił to nieświadomie. Teraz, tyle lat później, w każdej chwili mogłaby wskazać wszystkie groby. Wiedziała natomiast z całą pewnością, że jej własne dzieci nie będą potrafiły znaleźć miejsca spoczynku swoich dziadków, tak mało znały jej rodzinę, jeszcze mniej – rodzinę Roberta.

Wkrótce po tym, jak umarła jej matka, Kathy, przypominając sobie lakierowaną trumnę wolno opuszczaną do ziemi, poszła do swego prawnika i przekazała list z instrukcjami, który należało otworzyć po jej śmierci. Chciała, by jej ciało poddano kremacji, a prochy rozrzucano nad morzem. Nie mogła pozwolić, by włożono ją do grobu i przykryto kamienną płytą.

Zegar w bramie pokazał jedenastą; Kathy sprawdziła swój zegarek. Poczeka jeszcze kilka minut.

Na cmentarzu panował duży ruch, a kobieta sprzedająca kwiaty przed wejściem miała ogromną wystawę świątecznych wieńców i tych jasnoczerwonych kwiatów, które wydawały się pojawiać

wyłącznie w grudniu. Kathy pomyślała, że to chyba poisencje, ale nie była pewna. Spojrzała przez ramię na tylne siedzenie. Przyniosła mały bukiet, ale nagle wydał jej się zbyt mało znaczący, by położyć go na grobie rodziców. Kupię wieniec, zdecydowała.

Minęło sześć miesięcy od czasu, gdy odwiedziła ich grób. Potem wymyślała coraz to nowe wymówki, ale prawda była inna: bała się tu przyjść. Nie tak chciała zapamiętać matkę i ojca, zimnych i martwych w butwiejących drewnianych skrzyniach w ziemi. Dla niej rodzice zawsze będą żywi i energiczni. Przypomniała sobie zdanie, które gdzieś przeczytała: *Nic nie umiera naprawdę, dopóki pozostaje żywe w pamięci.*

Z wyjątkiem miłości. Miłość może umrzeć.

Nie chciała teraz o tym myśleć. Otworzyła torebkę i wyjęła dwie małe pamiątkowe karty, które chowała w jednej z przegródek. Trzymała je w dłoniach i patrzyła na zamazane, źle wykadrowane zdjęcia matki i ojca. Kartka ojca była pomięta i wyblakła, papier już trochę pożółkł; matki – ciągle wyglądała na nową. Margaret Childs odeszła osiemnaście miesięcy temu. Bez powodu, nie była chora. Zwyczajnie poszła do łóżka i już się nie obudziła. Jimmy, ojciec Kathy, zmarł przed siedemnastu laty, rok po jej ślubie z Robertem. Był nałogowym palaczem i trzeci zawał w końcu go uśmiercił.

Pukanie w szybę przstraszyło ją – krzyknęła i aż podskoczyła do góry. Opuściła okno.

– Jezus Maria, prawie dostałam zawału!

– Cóż, to przynajmniej właściwe miejsce.

Z promiennym uśmiechem na ustach Sheila Childs, młodsza siostra, schyliła się, aby pocałować Kathy w policzek, wypełniając samochód zimnym powietrzem i gorzkawym zapachem cytrusowych perfum. Potem zobaczyła kartki w ręku siostry i jej uśmiech zbladł. Wzięła kartkę Jimmy'ego Childsa z ręki siostry i podniosła ją do światła.

– Myślałam o nim niedawno. Nie mogłam znaleźć swojej – oddała kartkę Kathy.

Kathy wsunęła oba kartoniki z powrotem do torebki, zamknęła okno i wygramoliła się z samochodu.

– Ja też często o nim myślę – powiedziała. Sięgnęła na tylne siedzenie i podniosła mały bukiet.

Obie siostry, trzymając się pod rękę, przeszły przez drogę. Nie mogły różnić się bardziej. Sheila była przynajmniej trzy cale wyższa i przeraźliwie chuda. Kolor jej włosów zmieniał się w zależności od pory roku, ale ostatnio wróciła do swojej naturalnej, głębokiej radości, ze złotymi pasemkami, podkreślającymi bladą, nieskazitelną cerę. Wyglądała bardzo elegancko w kremowym przepasanym paskiem płaszczu i niesamowicie wysokich botkach do kostki. Kathy miała na sobie długie, czarne, skórzane palto, czarne spodnie i buty na niskim obcasie.

Przeszły już przez cmentarne żelazne wrota, kiedy Kathy przypomniała sobie, że chciała kupić wieniec, ale zrezygnowała z tego pomysłu.

Cmentarz był wyludniony i miały jego wąskie ścieżki tylko dla siebie. Zimowe słońce nie dawało ciepła, a przejrzyste powietrze malowało kamienne posągi i stare drzewa, nadając im ostre kontury, co sprawiało, że wyglądały prawie sztucznie. Mróz i zmarznięty śnieg błyszczały w

ocienionych miejscach, pokrywając czubki i szpary bardziej ozdobnych nagrobków.

Obie szły w ciszy, skręciły w prawo w aleję wysadzaną cyprysami, kierując się do środka starego cmentarza. Na ścieżce nagle pojawił się rudzik, przekręcił główkę, spojrzął na nie, a potem odleciał. Sheila odwróciła głowę, żeby śledzić jego lot między drzewami.

– Jest tak spokojnie – powiedziała. – Uwielbiam to miejsce.

Kathy spojrzała na nią zaskoczona.

– Tobie się tu podoba?

– Zawsze tak było. Pamiętasz te niedziele, kiedy byliśmy młodsze, a mama i tata zabierali nas, żeby sprzątać groby?

– Myślałam o tym w samochodzie. Nie znosiłam tych wypraw.

– A ja je lubiłam, tak samo spokój i ciszę tego miejsca. Wydaje mi się, że nieważne, jaka była pogoda, tutaj zawsze robiło się chłodniej.

Złapała siostrę za rękę i zatrzymała się.

– Słuchaj.

Kathy przystanęła.

– Nic nie słyszę.

– No właśnie – uśmiechnęła się Sheila. – To właśnie lubię na cmentarzu. Jest jak kokon.

– Zawsze byłaś dziwna – Kathy ścisnęła rękę siostry, by złagodzić znaczenie swoich słów.

Przeszły krętą drogą obok krypty i skręciły w lewo, gdzie na ziemię kładły się długie cienie. Groby w tej części były stare, w większości zaniedbane i zapomniane, ale pomiędzy nimi, jak dziwne kwiaty, znajdowały się nowe, na których wśród uschniętej trawy leżało mnóstwo kolorowych wieńców i kartek.

– Powiesz mi wreszcie, dlaczego chciałaś się ze mną spotkać? – spytała Sheila. – Nie w każdy sobotni poranek dzwoni moja ulubiona siostra.

– Cieszę się, że tak mnie nazwałaś. Za to twoja starsza siostra pytała o ciebie wczoraj wieczorem.

– Jak ona się miewa?

– Chce wiedzieć, czy masz już chłopaka.

– Powiedz, że może podnieść słuchawkę i zadzwonić – odburknęła Sheila. – Nie jest moją matką. – Potem uśmiechnęła się. – Choć wydaje jej się, że jest.

– Jeśli cię to pocieszy, mnie traktuje tak samo. Przyjdiesz do niej w dzień Świętego Stefana?

– Może. Jeszcze nie zdecydowałam.

– Mogłabyś ją zaszokować i przyprowadzić ze sobą swojego faceta.

– To na pewno by ją zszokowało. Ale nawet jeśli pójdę – a jeszcze nie zdecydowałam – nie wezmę ze sobą Allena.

– Więc tak ma na imię. Allen.

– Mówiłam ci.

– Nie mówiłaś. Byłaś bardzo tajemnicza. Zastanawiałam się już, co jest z nim nie tak.

– Nic nie jest nie tak. Jest idealny.

– Ostatni też był idealny. I ten przed nim również. Nawet ten ze śmiesznym okiem był idealny – przypomniała Kathy.

Sheila zaśmiała się, a jej śmiech rozległ się głośno w ciszy cmentarza. Przestraszona para kruków uniosła się w bładoniebieskie niebo.

– Może on nie był idealny. Ale był bardzo bogaty, co wynagradzało jego wady.

– Sheila! – Kathy była naprawdę wstrząśnięta.

– Ale nie dlatego chciałaś się spotkać, prawda? Żeby rozmawiać o moich upodobaniach? Nie pamiętam, kiedy ostatnio zaproponowałaś, żebyśmy odwiedziły grób rodziców. Myślisz o czymś.

Kathy przeszła kilkanaście kroków, nie odzywając się.

– Tak – powiedziała w końcu. – I potrzebuję rady.

– Chyba pierwszy raz. Nigdy przedtem nie prosiłaś mnie o radę.

– Cóż, chodzi o temat, w którym jesteś ekspertką o mężczyzn.

Sheila uśmiechnęła się.

– Mam to traktować jako komplement? Skręciły w lewo wąską ścieżką. Grób ich rodziców znajdował się mniej więcej w połowie drogi, po prawej stronie – prosty, biały nagrobek, pokryty białymi kamykami. Na środku stał samotny czarny wazon. Wystawały z niego uschnięte goździki.

– Julia tu była – wymamrotała Kathy.

– Ale dość dawno – dodała Sheila.

Zaczęły cicho krzątać się wokół grobu. Kathy wyjęła zwiędnięte kwiaty i wyrzuciła je do pobliskiego śmietnika. Kiedy wróciła, Sheila układała właśnie bukiet przyniesiony przez Kathy w wazonie i wycierała powierzchnię nagrobka chusteczką. Stały obok siebie i wpatrywały się w pomnik.

– Kochający ojciec. Zostawił nas w tęsknocie – przeczytała na głos Kathy. – Powinniśmy dopisać jeszcze jedną linijkę, kiedy chowałyśmy mamę.

– To zabawne, wiem, że ojciec zmarł znacznie wcześniej, ale pamiętam go lepiej niż ją – powiedziała Sheila.

– Ja też mam o nim lepsze wspomnienia. Ciepłejsze – zgodziła się Kathy.

W ciągu ostatnich pięciu lat swojego życia Margaret Childs stawiała się coraz bardziej zgorzkniała i rozczarowana życiem. U wszystkich dostrzegała wady i doszło do tego, że jej wnuki, a nawet własne córki, z trudem zmuszali się do odwiedzania jej. Rodzinne spotkania były koszmarem, a dwudziestą piątą rocznicę ślubu Julii i Bena matka zepsuła swoim zrzędzeniem i kłótniami.

– Kiedy umrę, nie chowajcie mnie tutaj. Mówiłam o tym Robertowi i zapisałam to w liście dołączonym do mojego testamentu. Chcę być skremowana. Przypomnij im, dobrze?

Sheila wzruszyła ramionami.

– Mnie nie obchodzi, co ze mną zrobicie po śmierci. Urządźcie imprezę. Spodobałby mi się taki pomysł.

– Jesteś najmłodsza. Wszystkich nas przeżyjesz.

– Może – uśmiechnęła się Sheila, ale był to tylko nieznaczny ruch warg, podczas gdy jej oczy patrzyły gdzieś w dal. Potem odwróciła się i spojrzała na siostrę: – Powiedz mi w końcu...

Kathy wzięła głęboki oddech. Ciągłe wpatrując się w nagrobek z wyrytymi imionami rodziców, jakby zwracając się także do nich, powiedziała głośno:

– Myślę, że Robert ma romans.

Jej oddech zawisł w powietrzu, niemal nadając kształt jej słowom.

– Nie wiem, co z tym zrobić.

W chłodnym grudniowym otoczeniu te zdania brzmiały tak zimno, tak beznamyślnie, tak niewiarygodnie. Spojrzała z ukosa na Sheilę.

– Wierzysz mi?

Młodsza siostra wyglądała na zaskoczoną. W końcu odetchnęła.

– Oczywiście, że ci wierzę. – Zamilkła i po chwili dodała: – Jesteś pewna?

– Prawie pewna.

– „Prawie pewna” nie brzmi zbyt wiarygodnie – cicho odparta Sheila. Wzięła chusteczkę i obojętnie potarła nią czubek nagrobka, nie patrząc na starszą siostrę. – Opowiedz mi.

Kathy usiadła, opierając się o krawędź grobu. Kamień pod nią był zimny i twardy, ale w jakiś dziwny sposób spodobał się jej ten chłód. Ostatnich kilka dni było tak nierealnych, nierzeczywistych. To było prawdziwe – siedziała tutaj, teraz, na lodowatym kamieniu na wyludnionym cmentarzu. W jej życiu nic nie było pewne. Została zmuszona, żeby rozważać możliwości, które jeszcze na początku tygodnia wydawałyby się jej zupełnie absurdalne. Jej poczucie bezpieczeństwa przestało istnieć. Może ostatni tydzień był tylko snem, może tygodnie, miesiące, a nawet ostatnie lata także były snem. A teraz się obudziła...

– Sześć lat temu...

– To się zaczęło sześć lat temu? – Sheila była w szoku.

– Tak, w pewien sposób tak. – Kathy gładziła ręką w rękawiczce kamyki leżące na grobie. – Sześć lat temu podejrzewałam, że Robert ma romans. Kobieta o nazwisku Stephanie Burroughs dołączyła do naszej firmy jako researcher przy pewnym projekcie, filmie dokumentalnym, jeśli się nie mylę, chyba o *Drodze 66 w Ameryce*. Młoda, mniej więcej w twoim wieku, ładna, inteligentna. Spędzali ze sobą sporo czasu. Wtedy Robert zaczął coraz później i później wracać do domu. Jej imię pojawiało się w rozmowach na różne tematy. W końcu, kiedy już miałam dość, zaatakowałam go i oskarżyłam, że ma z nią romans.

– Miałaś dowody? – dociekała Sheila.

– Cóż, to był mój błąd. Nie miałam nic oprócz podejrzeń i przeczuc.

– Żadnych oczywistych dowodów?

Kathy podniosła głowę, by spojrzeć w ciemne oczy swojej siostry.

– Tylko intuicję.

– Ciekawa jestem, ile małżeństw zrujnowała intuicja? – delikatnie spytała Sheila, ale zaraz

zachęciła siostrę, by mówiła dalej, zanim to skomentuje.

– Zaatakowałam go. Oczywiście zaprzeczył.

– Jednak sobie z tym poradziście. W końcu ciągle jesteście razem.

– Jakoś to przeżyliśmy, choć było ciężko. Dopiero co wprowadziliśmy się do nowego domu, tak wiele się działo. Łatwo było skupić się na czymś innym i zapomnieć. Dowiedziałam się, że panna Burroughs wyprowadziła się, wyjechała chyba wtedy do Stanów. Robert przestał o niej – mówić – właściwie od tej nocy, kiedy go oskarżyłam, nigdy później nie wymienił nawet jej imienia.

Sheila objęła się ramionami i przysiadła bokiem przy grobie.

– Ale teraz coś się zmieniło.

– Przedwczoraj znalazłam nazwisko Stephanie w jego komórce – powiedziała Kathy beznamyślnie.

Sheila spojrzała na nią pytająco, czekając na ciąg dalszy.

– I?

– Jej nazwisko było w jego komórce, z małą czerwoną flagą obok.

Sheila pogrzebała w kieszeni i wyjęła swój telefon. Otworzyła klapkę jednym ruchem nadgarstka i podała siostrze.

– Przejdź przez te kontakty. Jestem pewna, że znajdziesz nazwiska przynajmniej czterech facetów, z którymi się spotykałam. To nie znaczy, że ciągle to robię.

– Ale jej nazwisko jest w nowej komórce Roberta. Ma ją dopiero od kilku miesięcy.

Sheila zatrzasnęła telefon.

– Ten mam krócej niż miesiąc. Po prostu wszystkie kontakty trzymane są na karcie SIM. Kiedy wkładasz kartę do nowego aparatu, wszystkie szczegóły też się tam znajdują.

– Przy jej nazwisku była czerwona flaga.

Sheila gapiała się na siostrę w milczeniu.

– Wiem, wiem. To kiepski dowód, prawda? – Kathy wyprostowała się nagle. – Słuchaj, wybacz, że cię tutaj ciągnęłam. Może zaczynam wariować.

– Nie. Może po prostu źle interpretujesz całą sytuację.

Kathy obciągnęła płaszcz. Spojrzała na grób, potem automatycznie odwróciła się i ruszyła wąską ścieżką. Sheila zwlekała przez moment, po czym podążyła za siostrą. Przeszły kawałek w ciszy.

– Przeszukałam jego pokój – nagle odezwała się Kathy. – Odkryłam, że ma konto i kartę kredytową, o których nie wiedziałam. Kupował kwiaty, jakieś rzeczy w telezakupach i płacił za posiłek w chińskiej knajpie w Dublinie. Znalazłam mandat za przekroczenie prędkości wystawiony w dniu, w którym podobno Robert był w Belfście. – Wypowiadając te zdania głośno, w zimnym świetle dnia, znów zdała sobie sprawę, jak słabe były jej oskarżenia. – Spędza dużo czasu poza domem. Pracuje do późna – dodała. Teraz jestem małostkowa, pomyślała.

– O co mnie pytasz? – odparła Sheila.

– Myślisz, że ma romans?

– Naprawdę chcesz mojej rady i opinii, czy wolisz, żebym cię wsparła? – spytała Sheila. – Bo to nie to samo. Jeśli chcesz, żebym cię wsparła, zrobię to. Ale chyba nie chcesz, żebym ci doradzała.

– Nie wierzysz mi?

– Tego nie powiedziałam.

– Nie musiałaś. Jak wyjaśnisz te wszystkie dowody?

– Jakie dowody?

– Kartę kredytową – burknęła Kathy.

Sheila sięgnęła do kieszeni i wyjęła czarny, skórzany portfel. Otworzyła. Pokazała cztery karty kredytowe schowane w plastikowych okienkach. W innych miejscach powciskany był przynajmniej tuzin następnych kart, zniżkowych i lojalnościowych.

– Dostaję do domu ofertę nowej karty kredytowej przynajmniej raz dziennie. Złote, platynowe, American Express, Visa, MasterCard, Bank of Ireland, MBNA, Allied Irish Bank. Może znalazł jakąś ofertę z małym oprocentowaniem.

– A co z mandatem? – Kathy zaatakowała siostrę. – Dostał go w Ballymun w wieczór Halloween. A miał być wtedy w Belfaście.

– Jechał do Belfastu autem czy pociągiem?

Kathy otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale zamknęła je, czując nagłą słabość. Czy tamtym razem Robert pojechał pociągiem? Czasem tak robił. Zwłaszcza gdy miał zamiar zostać na noc – nie lubił jeździć samochodem na dublińskich numerach za granicę. Ostatnio jechał pociągiem na konferencję europejskiego BBC.

– A co z samochodem?

Sheila wzruszyła ramionami.

– Spytaj go. Może komuś pożyczył? Oddał do warsztatu? – Odwróciła się i obiema rękami złapała siostrę. – Musisz być bardzo ostrożna, całkowicie pewna. Już raz bezpodstawnie go oskarżyłaś. Niektórzy faceci już wtedy by odeszli. Teraz chcesz znowu wysunąć zarzuty. Bądź pewna. Tym razem bądź całkiem pewna.

– Po czyjej jesteś stronie? – trzęsąc się, zapytała Kathy.

– Po twojej. Zawsze po twojej.

Dotarły do bramy cmentarza. Sheila zatrzymała się i przytrzymała dłoń siostry.

– Byłam w podobnej sytuacji, ale z drugiej strony. Kiedyś na ulicy zatrzymała mnie kobieta, której nigdy nie spotkałam. Oskarżyła mnie o romans z jej mężem. Znałam tego faceta, pracowałam z nim kilka razy, ale z pewnością nie miałam z nim romansu. Okazało się, że wcale jej nie zdradzał. Rozstali się wkrótce potem. Nie mógł żyć normalnie, jeśli ona mu nie ufała. Nie zrób tego błędu. Nie spisuj na straty osiemnastu lat małżeństwa. Nie szukaj romansu tam, gdzie go nie ma.

Przelotnie pocałowała siostrę.

– Do zobaczenia w czasie świąt. Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebowała.

Rozdział 14

Przynajmniej nie zmieniał zamków.

Kathy Walker popchnęła drzwi siedziby R&K Productions i weszła do środka. Uderzenie ciepłego powietrza spowodowało, że zmarszczyła brwi. Zostawił na weekend włączone ogrzewanie. Gdyby była tu Maureen, nigdy by na to nie pozwoliła.

Nagle alarm zaczął pikać.

Czy zmienił kod? Kathy zamknęła drzwi i otworzyła małą skrzynkę na ścianie za nimi. Wprowadź kod migało jasnymi zielonymi literami na cyfrowym ekranie. Wecisnęła #32 i alarm zamilkł. Kiedy wprowadzali się do biura, wybrała jako kod numer lokalu, bo Robert zapominał każdą inną kombinację cyfr.

Biuro wyglądało mniej więcej tak, jak je zapamiętała, mimo że nie była tu od prawie sześciu miesięcy. Kiedy bardziej angażowała się w pracę firmy, wpadała codziennie. Na ścianach wisiały nowe oprawione plakaty, zdjęcia z reklam i broszur, nad którymi pracowało R&K, a komputer na biurku recepcjonistki wyglądał na nowy. Wszystko inne było takie samo: nieco zużyte czarne skórzano-chromowane meble i ten sam zestaw telewizyjny stojący w rogu, choć dodano do niego odtwarzacz DVD. Zaraz za drzwiami stała butla z wodą Ballygowan i dzbanek na kawę. Ceramiczne kubki, które stały tu przedtem, zastąpiono jednorazowymi. Przez moment kusilo ją, żeby zrobić sobie kawę, ale nie chciała zostawiać żadnych śladów swojej wizyty w biurze.

Ciągle nie była pewna, dlaczego przyszła. Jazda przez miasto z Glasnevin zajęła jej prawie dwie godziny, a znalezienie miejsca do zaparkowania, nawet tak daleko od centrum, było prawie niemożliwe. W końcu zostawiła samochód przy kanale. Może sprowokowały ją pożegnalne słowa siostry: „Nie szukaj romansu tam, gdzie go nie ma”. Czy to właśnie robiła? Szukała romansu, wymówki?

Jakiej wymówki? Żeby odejść od Roberta? Żeby go wyrzucić?

Co właściwie chciała znaleźć? Kiedy poprzednio podejrzewała, że ma romans, wiedziała dokładnie, co by zrobiła, jeśli okazałoby się, że mąż jest związany z inną kobietą: kazałaby mu się wyprowadzić. Nie, nie kazałaby – zażądałaby. Jeszcze przedwczoraj wydawało się to takie proste. Dziś była znacznie mniej pewna. Zaczynała rozumieć, że rada Rose była dobra: zostaw rzeczy takimi, jakimi są, same się ułożą.

Ale i tak musiała wiedzieć. Dla spokoju własnego sumienia, choćby tylko dlatego, musiała wiedzieć. Mimo to, jadąc przez miasto, podjęła decyzję: jeśli nie znajdzie w biurze niczego konkretnego, da sobie spokój. Spróbuje o tym zapomnieć i zrobić wszystko, żeby zająć się Robertem i firmą. Jeśli jej obawy co do jego romansu zmusiły ją do czegokolwiek, to właśnie do oceny własnego zachowania w ciągu ostatnich kilku lat. I nie była zbyt zadowolona z tego, co odkryła. Tak, bardzo łatwo było powiedzieć, że się od siebie oddalili. Jeszcze łatwiej winić jego i

ciśnienie w pracy. A co ona zrobiła? Albo czego nie zrobiła? Kiedy zajęła się dziećmi i nowym domem, zaczęła traktować obecność Roberta i pracę jako coś naturalnego. Kiedy czytała wczoraj jego e-maile, zawstydziła się, widząc, że ciągle pracował do samego rana, próbując utrzymać firmę.

Kathy obeszła dookoła biurko sekretarki. Było idealnie uporządkowane – każdy spinacz i ołówek leżał na swoim miejscu. Ta nowa jest zdecydowanie porządniejsza niż Maureen, pomyślała Kathy. Otwierała szuflady, szukając zeszytu albo notatnika: wszystkie sekretarki miały zwykle brudnopis, gdzie zapisywały nazwiska dzwoniących do biura. Jednak nawet szuflady były czyściutkie: Kathy nie spotkała nigdy nowej Sekretarki, ale wcale nie była pewna, czy ją lubi.

W końcu znalazła notatnik w dolnej szufladzie, pod mocno podniszczonym oksfordzkim słownikiem języka angielskiego. To był czerwono-czarny zeszyt na spirali. Na górze każdej strony widniała data, a pod nią godziny i nazwiska wszystkich dzwoniących do firmy. Kathy podeszła z notesem do okna i przechyliła go w stronę światła. Nie chciała włączać żadnego z wewnętrznych świateł, żeby nie zwracać uwagi. Większość nazwisk i numerów była jej zupełnie nieznaną, kilka pamiętała jeszcze z lat, kiedy pracowała jako sekretarka. Przebiegła wzrokiem rozmowy z poprzedniego dnia.

Nie było nazwiska Stephanie Burroughs.

Kathy wyjęła kartki papieru z danymi Stephanie i porównała jej numery z numerami z notesu. Nic.

Zanim odłożyła zeszyt do szuflady, przejrzała jeszcze rozmowy z poprzedniego tygodnia, ale nie zauważyła żadnego z numerów Burroughs na biurowym spisie.

Może korzystała z komórki, szeptał złośliwy głos. A może w ogóle nie dzwoniła, prostował inny, mniej słyszalny.

Kathy otworzyła drzwi i weszła do biura Roberta. Było dokładnie takie, jak je pamiętała. Jedyna zmiana to wiszące na szafce kartki świąteczne i prawdziwa choinka stojąca w rogu, wypełniająca pokój zapachem sosny. Miniaturowe drzewko było udekorowane włączonymi, migającymi, białymi lampkami, i ozdobami z kryształów Waterford, które jej rodzice podarowali im na pierwsze wspólne święta. Kathy i Robert zdecydowali, że są zbyt ładne, by ozdabiać dom, i dużo lepiej będą wyglądały w biurze. Kathy dotknęła jednej z ręcznie robionych bombek, dziwnie wzruszona, że trzymał je przez te wszystkie lata i ciągle używał.

Pokój miał kształt długiego prostokąta. W jednym końcu stał okrągły stół konferencyjny, w drugim – biurko Roberta. Na stole leżały porzucane papiery, które ktoś zostawił w pośpiechu. Dotknęła jednej z kartek, przysuwając ją do siebie. Był to portret niewiarygodnie przystojnego młodego mężczyzny. Przejrzała szybko dokumenty. Wszystkie wiązały się z DaBoyz, boysbandem, o którym nigdy przedtem nie słyszała. Wyglądało na to, że Robert miał kręcić ich następny teledysk. Wiedziała, że nie miał pojęcia o wideoklipach, ale domyślała się, że zespół nie jest tego świadomy.

Przeszła przez pokój i stanęła przy biurku męża. Dziwnie było stać tutaj, wślizgując się jak złodziej do własnej firmy. A przecież to do niej należała połowa – pięćdziesiąt procent udziałów

wystawionych było na jej nazwisko. Co by się stało, gdyby się rozstali? – myślała. Czy sprzedaliby firmę, podzielili, czy on wykupiłby jej udziały? I co stałoby się z jej połową domu – czy ona musiałaby wykupić swoją część?

Kathy świadomie odsunęła od siebie tę myśl. Jak przypomniała jej Sheila, musiała się upewnić, zanim sprowokuje kłótnię swoimi oskarżeniami.

Obeszła biurko Roberta i usiadła w masywnym, skórzanym fotelu. Mebel westchnął i syknął pod jej ciężarem. Kupiła mu to krzesło krótko po przeprowadzce. Biurko było czyste i prawie puste, z wyjątkiem ozdobnego długopisu i zestawu z wiecznym piórem umieszczonego na krańcu stołu, tuż obok nowoczesnej lampy. Dokładnie po drugiej stronie, z lewej, stała srebrna ramka z miejscami na trzy zdjęcia. Kathy sięgnęła po nią, potem zatrzymała się, nie chcąc dotykać i niechcący przesunąć zdjęć. Włączyła lampę, zalewając biurko ciepłym żółtym światłem. W ramce były trzy zdjęcia: z lewej Brendan, z prawej Theresa, a w środku Robert i Kathy: to była stara fotografia zrobiona w Nowym Jorku tuż przed ślubem, z Empire State Building w tle. Prawie zapomniała o istnieniu tego zdjęcia. To były cudowne wakacje, tylko we dwoje, szaleńczo zakochani, zaręczeni, pełni nadziei, ze światem u stóp.

Jeśli Robert miałby romans, raczej nie trzymałby na biurku zdjęć żony i dzieci, prawda?

Spróbowała otworzyć szuflady. Były zamknięte. A więc cała wyprawa na nic. Nie, nie na nic. Przynajmniej przejechała taki kawał, żeby upewnić się, że Robert nie spotykał się tu ze Stephanie, a ona nie dzwoniła do niego codziennie. Poza tym na biurku stały rodzinne zdjęcia, co przynajmniej sugerowało, że kochanka nie odwiedzała go w firmie.

Kathy oparła łokcie na stole i położyła głowę na dłoniach, mocno zaciskając oczy. Było jej niedobrze, ale jednocześnie dziwnie spokojnie. Przesadziła. Była zmęczona, wycieńczona, zestresowana świąteczną porą. W przyszłym roku wyjadą gdzieś na święta.

Cóż, przynajmniej się obudziła. Ostatnie kilka dni, jeśli nie działy niczego więcej, to przynajmniej ujawniły problemy, jakie mieli w małżeństwie, a które przecież można było rozwiązać. Po świętach wyjadą gdzieś na weekend i pogadają, naprawdę porozmawiają szczerze o wielu sprawach. Żyjąc w ciągłym napięciu tak łatwo było stracić z oczu to, co najważniejsze.

Dzięki Bogu, że niczego nie powiedziała...

Wychodziła już z gabinetu, kiedy zobaczyła za drzwiami szafkę na dokumenty. Właściwie zauważyła ją już wcześniej, kiedy wchodziła do biura. Pod wpływem impulsu wysunęła górną szufladę, sądząc, że będzie zamknięta. Ale ta kliknęła i łatwo się otworzyła. Akta były dokładnie uporządkowane, opisane i zaznaczone kolorami – widać rękę nowej sekretarki.

W pierwszej szufladzie znajdowały się głównie ulotki, listy do i od innych firm producenckich, szkice projektów oraz dokumenty dotyczące przetargów i negocjacji.

Druga szuflada była pełna faktur i rachunków. Kathy chwilę zwlekała, potem podniosła akta z napisem Eircom. Wszystkie rachunki za komórkę Roberta były uporządkowane chronologicznie. Wzięła do ręki najnowszą fakturę.

Robert Walker dzwonił do Stephanie Burroughs siedem lub osiem razy dziennie. Pierwsza

rozmowa rano i ostatnia wieczorem wykonywane z jego aparatu skierowane były na jej telefon domowy lub na komórkę. Długość rozmów wahała się od kilku minut do godziny.

Każdego dnia.

Siedem dni w tygodniu.

Setki rozmów.

Kathy ledwo udało się dotrzeć do toalety, zanim z wymiotowała.

Rozdział 15

– Kathy!

– Witaj, Maureen.

Kathy stała w drzwiach domu Maureen Ryan z bukietem kwiatów niezgrabnie włożonym pod ramię i butelką wina opakowaną w brązową papierową torbę w ręku.

– Wejdz, wejdz. Nie spodziewałam się ciebie. Ucałowałabym cię, ale nie chcę cię zarazić tym czymś, na co jestem chora.

Maureen zrobiła krok w tył i pozwoliła Kathy przecisnąć się obok niej i wejść do środka.

– Idź prosto do kuchni.

Maureen mieszkała przy starej Finglas Road, w dwupiętrowej szeregówce wybudowanej według ulubionych standardów Korporacji Dublińskiej z lat pięćdziesiątych. Urodziła się w tym domu i zawsze powtarzała, że chce tu także umrzeć.

– Powinam była zadzwonić, wiem – Kathy próbowała złapać oddech, idąc wąskim korytarzem do kuchnio-jadalni. Zatrzymała się zdziwiona. Z zewnątrz spodziewała się ciemnego i ponurego pomieszczenia wyłożonego linoleum i plastikiem, tymczasem musiała zmrużyć oczy w oślepiającym blasku najnowszej kuchni w szwedzkim stylu, umeblowanej jasnym polerowanym drewnem i chłodnym chromem. Tylne okno, drzwi i kawałek ściany zostały usunięte i zastąpione wyjściem na patio, prowadzącym do okrągłej oranżerii – jasnej i pachnącej świątecznymi roślinami. – Tu jest wspaniale – zawołała.

– Cudownie, prawda? – odparła Maureen, odzywając się zza pleców Kathy nieco zdyszonym głosem. – Kilka lat temu robiliśmy odcinek pilotażowy do programu – w rodzaju *Dom nie do poznania*. Nigdy nie wszedł na antenę, ale zaproponowałam mój dom do przeróbki. Zrobili mi nową kuchnię, patio i oranżerię, i jeszcze mi za to zapłacili.

Kathy odwróciła się, żeby spojrzeć na starszą od siebie kobietę. Podawała jej kwiaty i wino.

– Dopiero wczoraj wieczorem dowiedziałam się, że jesteś chora. Robert zapomniał mi powiedzieć. Twierdzi, że mówił, ale to nieprawda.

– Na pewno ma ostatnio dużo na głowie – powiedziała Maureen. Odwróciła się, odłożyła kwiaty i wino na blat i zaczęła napełniać czajnik. – Usiądź. Pójdziemy do oranżerii. To moja ulubiona część domu.

Maureen Ryan była dwadzieścia lat starszą od Kathy, wysoką kobietą w męskim typie, o wyraźnych rysach, prawie przezroczystych oczach i z burzą śnieżnobiałych włosów, które splatała w pojedynczy warkocz na plecach. Kiedy Kathy pierwszy raz ją spotkała, Maureen nosiła półokrągłe okulary, ale rzuciła je dla soczewek kontaktowych, twierdząc, że okulary ją postarzały. Nigdy nie wyszła za mąż, choć przez całe życie plotkarskie czasopisma łączyły ją z kilkoma pomniejszych politykami i jednym, równie mało znaczącym gwiazdorem filmowym. Maureen

lubiła mawiać, że te historie były tylko na wpół prawdziwe – w rzeczywistości był to tuzin pomniejszych polityków i dwóch kiepskich aktorów. Zazwyczaj ubierała się w stylu, który w najlepszym razie można by określić jako elegancko-codzienny; była ciągle wystarczająco szczupła i zgrabna, żeby dobrze wyglądać w dzinsach i trzewikach. Dziś jednak ubrana była w śliwkowy dres i bardzo schodzone kapcie.

Kathy zeszła do oranżerii. Powietrze przesiąkło zapachem kwiatów i duszącym aromatem wielkiej świecy palącej się na ozdobnym świeczniku. Dwa duże, białe, wiklinowe krzesła z oparciami w kształcie wachlarza stały po dwóch stronach okrągłego szklanego stolika, na którym leżała otwarta książka Stephena Kinga *Jak pisać: pamiętnik rzemieślnika*. Kathy przypomniała sobie, że Maureen zawsze mówiła o tym, że chce napisać powieść opartą na swoich doświadczeniach z czterdziestu lat pracy w biznesie rozrywkowym.

– Jak się czujesz? – spytała głośno.

– Dobrze. Coraz lepiej – głos Maureen dochodził z kuchni. – Złapałam przeziębienie, które przekształciło się w infekcję klatki piersiowej. Lekarze mówią, że to zapalenie oskrzeli. Chciałam pracować, ale obawiano się, że dostanę zapalenia płuc, więc raz w życiu przyjąłem dobrą radę i zostałem w domu.

– Powinnaś była mi dać znać. Przyszłabym wcześniej.

– Miałam nadzieję, że Robert coś ci wspomni, ale znając go, mogłam się domyślić, że tego nie zrobi – odparła Maureen, wchodząc do oranżerii. Trzymała wiklinową tacę, na której stał ręcznie malowany imbryk i dwa kubki do kompletu. – Zabawne, prawda? Kupiłam je w Aya Napa.

– Czy to nie to miejsce, gdzie młodzi ludzie chodzą na balangi?

– Tak – potwierdziła Maureen, patrząc nieprzytomnie. Potem uśmiechnęła się szeroko. – Lubię myśleć o sobie jak o jednej z tych „młodych osób”.

– Jesteś najmłodszą osobą, jaką znam. Mam nadzieję, że będę miała tyle energii, kiedy... – Kathy urwała zdanie.

– Kiedy będziesz w moim wieku. To chciałaś powiedzieć? – wyszczerzyła zęby Maureen.

– Coś w tym rodzaju – Kathy zatopiła się w trzeszczącym wiklinowym krześle i patrzyła, jak Maureen nalewa herbatę. – Co sprawia, że czujesz się taka młoda?

– Maureen podniosła głowę i uśmiechnęła się, pokazując idealnie białe uzębienie.

– Kiedyś mówiłam „częste wakacje i hiszpańscy kelnerzy”, ale ostatnio powtarzam „nastawienie”. Wybrałam sobie wiek i się go trzymam.

Pomimo koszmarnego bólu głowy, który czuła gdzieś z tyłu czaszki, Kathy uśmiechnęła się.

– Jaki to wiek?

– Dwadzieścia dwa lata.

– Myślałam, że większość ludzi wybiera osiemnaście.

– Kiedy miałam osiemnaście lat, nic nie wiedziałam. Wszystkiego nauczyłam się w wieku dwudziestu dwóch. Zanim skończyłam dwadzieścia trzy, wiedziałam już za dużo – Maureen podała Kathy kubek, potem poczekała, aż przyjaciółka doleje sobie mleka. – Nie uważam, że

jestem stara, więc tak nie wyglądam. Dlatego tak mnie wkurza ta infekcja, przypomina mi, że nie jestem już niezniszczalna, jak kiedyś.

Piły herbatę w ciszy, patrząc na mały prostokąt ogródka.

– Ta oranżeria pewnie wzbudza zazdrość twoich sąsiadów? – Kathy odezwała się pierwsza.

– Zapoczątkowałam tę modę i teraz tylko w tym szeregu są trzy podobne. Szkoda, że nie wypuściliśmy na antenę tego programu. Chciałam przerobić cały dom.

Przełknęła herbatę.

– Muszę zajrzeć i zobaczyć, co wy zrobiliście ze swoim domem. Jak długo już tam mieszkacie – pięć, sześć lat?

– Sześć i ciągle nic tam nie zrobiliśmy. Jakoś nigdy nie było na to czasu. Dzieci dorastają, są już w liceum. Wpadają i wypadają z domu o różnych porach. Ale w przyszłym roku planuję się tym zająć i dokonać kilku zmian... – zdała sobie sprawę, że gada głupstwa, więc nagle zamknęła usta.

– A co u Roberta? – spytała Maureen.

Kathy spojrzała na nią zdziwiona.

– Nie widziałam go od prawie sześciu tygodni – dodała Maureen.

Kathy potrząsnęła głową z obrzydzeniem.

– Mówił, że nie ma cię od trzech lub czterech tygodni.

– Zachorowałam na początku listopada. Od tamtej pory z nim nie rozmawiałam.

– Nie dzwonił? – spytała Kathy z coraz większą złością. R&K zawdzięczała swój rozwój i sukces tej kobiecie. Ale oprócz tego Maureen była także przyjaciółką.

– Dzwonił przez pierwsze kilka dni, zazwyczaj wtedy, kiedy czegoś chciał albo coś zgubił, albo nie mógł znaleźć akt. Nie spodziewałam się, że będzie ze mną w kontakcie. To dla niego paskudna pora roku. Pewnie dużo pracuje.

– Rzeczywiście ostatnio nieczęsto go widuję – przyznała Kathy. – Przepraszam cię za niego...

– Nie przepraszaj – szybko wtrąciła Maureen, podnosząc rękę. – Pracowałam dla niego dość długo. Wiem, jaki jest.

– Ale nie zrobił... nie zrobił nic głupiego, prawda? Nie zabrał ci pensji czy coś takiego, prawda?

Maureen zaśmiała się i zakaszła gwałtownie.

– Nie, nic podobnego. Boi się, że pójdę pracować do konkurencji. Wie, że Mason Media próbują mnie upolować.

– To dobrze.

Niepewna, co teraz powiedzieć, Kathy skoncentrowała się na herbacie.

Maureen usiadła w wiklinowym krześle, podniosła obie nogi i wsunęła je pod siebie.

– Mam wrażenie, że chodzi ci o coś więcej niż tylko towarzyską wizytę – powiedziała delikatnie.

Kathy gapiła się smutno na resztki herbaty. Pokiwała głową.

– Naprawdę dopiero wczoraj dowiedziałam się, że jesteś chora. Późno w nocy, chyba o w pół do trzeciej. Robert imprezował z Jimmym Moranem. Przynajmniej tak mówił – dodała cicho.

– Dziwnie to powiedziałaś – odparła Maureen, odstawiając kubek. – Brzmiało tak, jakbyś mu nie wierzyła.

Kathy odstawiła swój kubek i spojrzała w oczy Maureen.

– Odkryłam ostatnio, że wiele rzeczy, które Robert mi mówi, to nieprawda. Odetchnęła głęboko. – Wydaje mi się, że Robert ma romans ze Stephanie Burroughs. Co o tym myślisz?

I już wiedziała, jeszcze zanim Maureen się odezwała, jaka będzie odpowiedź. Nagle w oranżerii zrobiło się jakby zimniej.

Starsza kobieta pokiwała głową.

– Podejrzewałam to od dłuższego czasu.

– A od kiedy jesteś pewna?

– Od jakiegoś roku. Zaczęłam coś podejrzewać trochę wcześniej.

– Rok! I nie pomyślałaś, żeby mi powiedzieć? – Kathy odgryzła się ze złością.

– Często o tym myślałam. Kiedyś wpadałaś do firmy dość regularnie i chciałam ci powiedzieć... ale żaden moment nie wydawał się właściwy. A potem, kiedy umarła twoja matka, miałaś dość na głowie. Nie chciałam robić ci przykrości.

– Powinnaś była mi powiedzieć! – głos Kathy podniósł się, kiedy zerwała się na równe nogi. – Miałam prawo wiedzieć!

– A masz prawo złościć się na mnie? – cicho spytała Maureen. – Przecież to nie na mnie powinnaś być wściekła.

Kathy opadła z powrotem na krzesło i schowała głowę w dłoniach.

– Jeśli role by się odwróciły, powiedziałabyś mi? – spytała Maureen.

Kathy otwierała już usta, żeby rzucić „tak”, ale jednak milczała. Czy skazałaby, czy mogłaby skazać inną kobietę na te męczarnie, wątpliwości, nienawiść do samej siebie, strach i złość, których doświadczała sama od dwóch dni? Nie była pewna. Nie była już pewna niczego.

– Właśnie wracam z biura. Poszłam tam po coś... coś, co potwierdziłoby, że ma romans, ale z nadzieją, że nic nie znajdę. Już prawie wychodziłam, kiedy znalazłam faktury za jego komórkę.

Maureen uśmiechnęła się gorzko.

– Ja odkryłam prawdę w ten sam sposób. Analizowałam rachunki, próbując wymyślić jakiś sposób na ich obniżenie, kiedy zauważyłam, że ciągle dzwonił na ten sam numer. Najpierw myślałam, że to twoja komórka, ale potem zdałam sobie sprawę, że rozmowa z tym numerem była zawsze ostatnia każdego dnia – a wtedy powinien być z tobą w domu. Jak już zaczęłam coś podejrzewać, łatwo było złożyć wszystko do kupy.

– Powiedz mi, co wiesz – ostro zażądała Kathy. – Powiedz mi wszystko.

– Naprawdę nie musisz wiedzieć więcej. Najpierw spróbuj poradzić sobie z tym, co odkryłaś do tej pory.

– Chcę wiedzieć. Mam prawo wiedzieć. Muszę wiedzieć – prosiła desperacko Kathy.

Maureen podniosła się. Objęła rękami klatkę piersiową, odwróciła się plecami do przyjaciółki i patrzyła na pusty grudniowy ogród.

– Myślę, że są ze sobą od jakichś osiemnastu miesięcy. Może trochę dłużej, nie jestem pewna. Na pewno przedtem byli przyjaciółmi, ale chyba nic więcej.

– Półtora roku – głucho powiedziała Kathy. – Znał ją jeszcze na długo przedtem. Podejrzywałam, że mieli romans sześć lat temu, kiedy pracowała dla nas jako researcher.

Maureen zmarszczyła brwi.

– Blisko ze sobą współpracowali w tamtym czasie, ale nie wydaje mi się, żeby romansowali.

– Ale wiesz o tym od półtora roku, od osiemnastu miesięcy. Dlaczego mi nic nie powiedziałaś, Maureen?

– To skomplikowane.

– Skomplikowane – wyszeptała Kathy. – Co to znaczy? Właśnie odkryłam, że mój mąż, z którym jestem od osiemnastu lat, od półtora roku, a może dłużej, ma romans, a ty mówisz, że nie mogłaś mi powiedzieć, bo to jest skomplikowane! Co w tym skomplikowanego?

– Stephanie Burroughs bardzo nam pomaga w interesach.

Maureen odwróciła się, żeby spojrzeć na Kathy. Jej twarz była zdecydowana i bez wyrazu, a w dużych oczach błyszczały łzy.

– To jeden z powodów, dla których ci nic nie powiedziałam. Stephanie jest account managerem w jednej z największych agencji reklamowych w mieście – podsuwa nam wiele zleceń. Bez niej prawdopodobnie zbankrutowalibyśmy w ciągu tego roku.

Kathy wstała i odsunęła się od Maureen.

– Pozwoliłaś mojemu mężowi na kontynuowanie romansu, bo nie chciałaś stracić pracy?

– Jego romans to nie moja sprawa – odparowała Maureen. – To rzecz między nim a tobą. Nikim innym.

Dlatego ci nie powiedziałam. Nie jestem jedną z tych kobiet, które lecą do swoich przyjaciółek, by powiedzieć im, że widziały ich męża z inną kobietą. Nie winię mnie za to. To nie ma nic wspólnego z moją pracą. Jeśli R&K zbankrutuje, stracę to zajęcie, ale znajdę inne. Ale ty stracisz dom, a w wieku czterdziestu dwóch lat Robert nie tak szybko coś sobie znajdzie. Takich jak on jest na pęczki. Gdybym ci powiedziała, zaatakowałabyś albo jego, albo ją. I co wtedy? Wszyscy byśmy coś stracili, ale ty i Robert – najwięcej.

Kathy oblizwała suche wargi. Z trudem usiłowała coś powiedzieć.

– Twierdzisz, że sypia z nią, żeby ocalić firmę.

– Nic takiego nie powiedziałam.

– Ale to sugerujesz.

– Niczego nie sugeruję. Mówię ci tylko prawdę o całej sprawie.

– Więc co próbujesz mi powiedzieć?

– Kathy...

– Powiedz – zażądała Kathy, podnosząc głos aż do krzyku. – Dlaczego on z nią sypia?

Maureen westchnęła.

– Widziałam ich razem. Myślę, że są w sobie zakochani.

Rozdział 16

Sobota-niedziela, 21-22 grudnia

Reszta soboty minęła Kathy niczym we śnie – nie pamiętała, jak wróciła od Maureen do domu. Nie wchodziła w drogę mężowi, zajmowała się przedświątecznymi przygotowaniami. Robert wyszedł rano z dziećmi, żeby kupić choinkę, więc kiedy wróciła, dom pachniał sosną i słyszała piski Theresy przy dekorowaniu drzewka. Szlak sosnowych igieł zaczynał się przy tylnych drzwiach i prowadził przez kuchnię do salonu.

Słowa Maureen przeraziły Kathy, zdezorientowały ją. Już prawie przyzwyczała się do myśli, że Robert miał romans z inną kobietą, ale przecież chodziło o seks, prawda? Nic więcej. Ale Maureen powiedziała, że wydaje jej się, że tamci są w sobie zakochani, co sugerowało...

Nie wiedziała, co to właściwie oznaczało...

Kathy poszła wcześniej do łóżka, wymawiając się bólem głowy, co zresztą było prawdą. Leżała w ciemności, słuchając dźwięków telewizora dobiegających z pokoju poniżej i hałasów regularnej weekendowej kłótni, dochodzących z domu obok. Jej sąsiedzi robili wszystko razem – golf, tenis, spacer – i byli ogólnie uważani za idealną parę. Tylko Kathy wiedziała, że koszmarnie się kłócili, zazwyczaj o tej porze, w każdy piątkowy lub sobotni wieczór, kiedy jedno albo drugie (albo oboje) wypili trochę za dużo. W ciągu sześciu lat mieszkania w tym domu poznała każdy szczegół nieszczęśliwego życia sąsiadów. Ale kiedy wychodzili na ulicę, wszyscy widzieli jedynie idealną parę...

Kiedy ludzie spoglądali na nią i na Roberta – co widzieli? Szczęśliwe małżeństwo z obowiązkową dwójką dzieci, ładnym domem i dwoma samochodami? Czy zauważali dystans, który się między nimi pojawił?

Ta myśl krążyła jej po głowie i nagle Kathy zaczęła się zastanawiać, kto jeszcze wiedział o romansie Roberta. Czuła, jak jej serce zaczyna mocniej bić, a panika sprawia, że brakowało jej tchu. Dublin to małe miasto, ktoś musiał widzieć Roberta i jego kochankę razem. A jeśli tak, czy powiązał te fakty i doszedł do wniosku, że są parą? Ta myśl, że ludzie widzieli i pokazywali ją palcami, kiedy jechała albo przechodziła obok nich, że szeptali za jej plecami, była koszmarna. Pocieszało ją jedynie to, że jeśli ktokolwiek by wiedział, prawdopodobnie doniósłby jej o tym. Bliźni uwielbiają być posłańcami złych wiadomości. Robert i Stephanie pracowali w tej samej branży, naturalne było, że często się spotykali i jedli razem lunch – może nikt niczego nie podejrzewał.

Ona nie podejrzewała.

Kathy zapadła w niespokojny sen, budząc się tylko na chwilę, kiedy Robert wśliznął się do sypialni. Rozebrał się po ciemku i położył do łóżka obok niej, wdychając z zadowolenia, kiedy

jego głowa wylądowała na poduszce. Nie miała zamiaru się do niego odzywać – bała się, że coś jej się wyrwie albo wybuchnie złością i zacznie na niego krzyczeć. Ale musiała coś powiedzieć. Rytm jego oddechu zmienił się i uspokoił, kiedy zaczął zasypiać.

– Byłam dzisiaj u Maureen.

Nastąpiła długa cisza i przez chwilę myślała, że Robert już zasnął. Poruszył się w łóżku, kiedy odwracał się, by na nią spojrzeć. W świetle ulicznych latarni widziała mrugające białka jego oczu.

– Jak ona się ma?

– Lepiej. Ale nie wróci przed Nowym Rokiem.

– Tak myślałem – zamruczał.

– Nie jest już taka młoda, jaką udaje.

– Wiem. – Obrócił się znowu, przewracając na plecy i mówił dalej: – Ta nowa dziewczyna, Rosjanka...

– Mona?

– Tak, Illona. Jest bardzo dobra. Robi, co jej się każe, nie pyskuje, jest punktualna i je lunch dokładnie przez godzinę. Maureen wszystko robi po swojemu, – traktuje mnie jak chłopca, a przerwa na lunch nigdy jej nie wystarcza.

– Chyba nie chcesz jej zwolnić?

– Myślałem o tym – przyznał.

– Ani mi się waź! – wybuchnęła Kathy. – Zabraniam ci!

– Zabraniasz?

Coś w jego głosie jej się nie spodobało – sarkazm albo pogarda.

– Ty mi zabraniasz?

– Ciągle jestem właścicielką połowy firmy, pamiętaj. Może nadszedł czas, żebym ci o tym przypomniała. I żebym bardziej zaczęła się nią interesować.

Usiadła na łóżku i włączyła światło. Robert jęknął i zakrył dłonią oczy.

– Na miłość boską, jest już po pierwszej. Porozmawiajmy o tym rano.

Kathy zignorowała go.

– Teraz, kiedy dzieci są starsze, możliwe, że od nowego roku zacznę chodzić z tobą do pracy trzy lub cztery razy w tygodniu. Nawet kiedy Maureen wróci, nie będzie mogła pracować na pełen etat. Spróbuję robić to, co kiedyś – pomogę ci prowadzić firmę. Przywrócę „K” do R&K Productions.

– A kiedy znajdziesz na to czas?

– Znajdę. Skupię się na wyszukiwaniu nowych zleceń, a ty na realizacji materiału.

– Tak, na pewno będzie super, jestem pewien – powiedział zupełnie nieentuzjastycznym głosem. – Porozmawiamy o tym rano.

– Maureen sugerowała, że interesy nie idą zbyt dobrze.

Robert przewrócił się na łóżku.

– Daj już dzisiaj spokój.

– Rzadko mamy okazję, żeby rozmawiać. Wiesz o tym? Oddaliśmy się od siebie.

– To chwilowe. Z powodu świąt. W tym czasie zawsze panuje gorączka.

– To nie jest chwilowe i nie z powodu świąt. Tak się dzieje od miesiący, może dłużej. Niemal cię nie widuję. Prawie codziennie wracasz do domu późno, wyjeżdżasz na weekendy, a kiedy jesteś w domu, zamykasz się w gabinecie i pracujesz.

Robert wzruszył ramionami.

– To zwariowany czas. Przyznaję.

– Uspokój mnie – powiedz, że interesy idą dobrze.

Robert westchnął głęboko.

– Mieliliśmy trudny okres, ale dostaliśmy kilka nowych zleceń. Teraz znów jest dobrze. Następny rok będzie OK.

Kathy wiedziała, skąd pochodzą te nowe zlecenia.

– Czy to znaczy, że w przysłym roku także będziesz tak dużo pracował?

– Dopóki będę miał zamówienia, tak. Nie mam innego wyjścia. Takie są uroki pracy na własny rachunek, wiesz o tym.

– Więc jestem jeszcze bardziej zdecydowana ci pomóc. Nowy rok zaczniesz, mając nowego pracownika, mnie. Możesz zwolnić tę swoją Rosjankę.

Robert zrobił dziwną minę i potrząsnął głową.

– O co chodzi?

– O nic, Kathy. Oto, co się stanie: przez tydzień, może dwa, będziesz ze mną chodziła do pracy, potem weźmiesz wolne, żeby coś pilnego zrobić w domu. Potem weźmiesz jeszcze więcej wolnego, a wkrótce wrócimy do sytuacji, jaka jest teraz. Tylko że ja będę znów musiał szukać nowej sekretarki.

– Mówisz tak, jakbyś nie chciał, żebym z tobą pracowała.

– Tego nie powiedziałem. Chciałbym, żebyś bardziej interesowała się firmą.

Podniósł budzik z szafki i wskazał godzinę.

– Spójrz, jak późno. Pogadamy jutro.

– OK – zgodziła się, wyłączając lampkę i wślizgując się pod kołdrę. – Ale dokończymy tę rozmowę – obiecała.

– Oczywiście – odparł.

Leżąc w ciemności i słuchając, jak mąż coraz równiej oddycha, Kathy zdała sobie sprawę, że rozmowa przebiegła dokładnie tak, jak to wcześniej przewidziała. Nie było szans, żeby pozwolił jej wtrącać się w interesy – nie, jeśli używał ich jako przykrywki dla swojego romansu.

Kiedy Kathy obudziła się rano, orzeźwiający grudniowe słońce wciskało się przez okno. Jęknęła, widząc, że zasnęła. Jego strona łóżka była pusta. Na poduszce leżała kartka papieru.

Poszedłem do biura, żeby dokończyć pracę. Wrócę później. Kocham. R.

Rozdział 17

Poniedziałek, 23 grudnia

– Jesteś wolna dziś wieczorem? – Kathy przycisnęła słuchawkę do ucha, grzebiąc jednocześnie w szafie. – Nie znoszę o to prosić...

– Mogę być wolna. Po co ci jestem potrzebna? – Sheili brakowało tchu, a Kathy słyszała w tle muzykę i radosny głos.

– Przepraszam, nie wiedziałam, że masz towarzystwo.

– Nic z tych rzeczy... Kasetka. Z fitnesssem. Skakanka.

Naprawdę. Spalasz. Kalorie – Sheila wyrzucała z siebie pojedyncze słowa.

– Jakbyś ty miała co spalać – powiedziała Kathy, nie ukrywając zazdrości w swoim głosie. – Zastanawiałam się, czy mogłabyś popilnować dzieci. Ostatnio prosiłam Julię i nie chcę znów jej męczyć.

– Pewnie. Co chcesz załatwić?

Nastąpiła chwila ciszy i Kathy usłyszała uderzenia skakanki o podłogę.

– To ma coś wspólnego z Robertem, prawda? – głos Sheili brzmiał teraz spokojnie, widocznie przestała skakać.

– Tak.

– Co chcesz zrobić?

Kathy wyciągnęła czarny golf i rzuciła go na łóżko.

– Byłam w sobotę u Maureen Ryan. Pamiętasz Maureen, sekretarkę w R&K?

– Pewnie, pamiętam.

– Sheila, ona wiedziała o ich romansie. Wiedziała i nic mi nie powiedziała.

– Nic dziwnego – miękko odparła siostra. Kathy zamrugnęła z niedowierzaniem.

– A ty, gdybyś wiedziała? Powiedziałaś mi?

– Szczerze?

– Oczywiście.

– Gdybym była pewna, spytałabym najpierw Roberta, a dopiero potem rozmawiałabym z tobą.

Co powiedziała Maureen?

– Że to się zaczęło ponad rok temu. Spotykają się w każdy poniedziałek wieczorem w siłowni przy M-50 i zazwyczaj potem idą na kolację.

Głos Sheili zabrzmiał śmiertelnie poważnie.

– I co zamierzasz?

Kathy zamknęła drzwi garderoby. Niezupełnie poznawała kobietę, która gapiała się na nią w lustrze. Cztery dni wcześniej знаła ją, znała jej miejsce na świecie, wiedziała, jak ten świat wyglądał.

Teraz patrzyła na obcą osobę.

– Chcę ich zobaczyć razem. To wszystko. Nic więcej. Obiecuję.

– Jadę z tobą – natychmiast zareagowała Sheila.

– Ale dzieci...

– Są wystarczająco duże, żeby zostać same przez kilka godzin. Brendan niedługo skończy osiemnaście lat. Jest już właściwie mężczyzną.

– Słuchaj, dzięki za propozycję, ale naprawdę wolę to zrobić sama...

– A jeśli Robert zobaczy twój samochód i rozpozna cię? Pojedziemy moim. A wypadek po drodze do domu, bo zdenerwujesz się czymś, co widziałas? Nie, jadę z tobą. Musisz mi pozwolić.

– Mam wybór?

– Pewnie, że masz. Możesz poprosić Julię, żeby z tobą pojechała.

Kathy zaśmiała się krótko i zupełnie bez przekonania.

– Naprawdę nie musiałas tego robić – powiedziała Kathy.

– Ale chciałam – odparła Sheila.

Siedziały w samochodzie Sheili na parkingu przed centrum fitness i siłownią niedaleko M-50. Szklany front budynku jarzył się od światła i upstrzony był setkami świątecznych lampek. Przez wysokie okna widziały ludzi ćwiczących na błyszczących przyrządach.

Objechały parking dwa razy, zanim w końcu dostrzegły w cieniu audi Roberta wciśnięte w miejsce niedaleko żywopłotu. Obok zaparkowane było srebrne bmw, ale z każdej strony było wiele wolnych miejsc. Kathy wychyliła się, przyglądając się autom przez przednią szybę. Czy to było bmw Burroughs?

– Dobre miejsce – Sheila wcisnęła samochód w ciemny róg parkingu, który umożliwiał ogląd przedniego wejścia do budynku z lewej strony, a z prawej – samochodu Roberta. Sheila wyłączyła silnik i ogrzewanie. Prawie natychmiast lodowate powietrze dostało się do środka.

– Maureen mówiła, że zwykle wychodzą około ósmej.

Sheila przechyliła się do przodu, żeby spojrzeć na siłownię.

– Nieważne, jakiego miałabym świra na punkcie fitnessu, jestem pewna, że nie spędzałabym wieczoru przed Wigilią na ćwiczeniach.

– Zamiast tego siedzisz w samochodzie ze swoją rozhisteryzowaną siostrą, śledzącą romansującego męża. Jestem pewna, że znalazłabyś lepszy sposób na spędzenie dwudziestego trzeciego grudnia. Co na to twój chłopak?

Sheila Childs nie odpowiedziała natychmiast. Wcisnęła przełącznik i wycieraczki zapiszczały na przedniej szybie, ścierając płatki śniegu.

– Miałam pewne plany, ale nic, czego nie można by odwołać.

Uśmiechnęła się, odsłaniając białe zęby.

– Nie ma nic złego w tym, że facet trochę się podenerwuje.

– Myślisz, że tu zrobiłam błąd? Przestał mieć co do mnie wątpliwości. Stałam się zbyt przewidywalna, zbyt zwyczajna.

– Nie zrobiłaś nic złego. Żadnego błędu. Wychowałaś dwójkę wspaniałych dzieci, prowadziłaś dom, dałaś Robertowi wolne od wszelkich zmartwień i opiekowałaś się – nim, żeby mógł zajmować się firmą. To się nazywa partnerstwo.

Siedząc w ciemności, Kathy przyglądała się światełkom i rozważała po raz kolejny pytania, które dręczyły ją od momentu, kiedy zobaczyła nazwisko Stephanie Burroughs i dowiedziała się – była przekonana – że Robert miał z nią romans.

– Ciągle zadaję sobie pytanie, co mogłam zrobić inaczej, jak mogłam go zatrzymać.

– A chcesz go zatrzymać?

Kathy wciągnęła powietrze i na jednym oddechu wyrzuciła z siebie:

– Nie jestem już pewna. Wszystko zdarzyło się tak szybko. Kiedy próbuję logicznie o tym pomyśleć, gubię się przy problemach takich jak dom, firma i dzieci...

– A co z tym, czego ty chcesz? Zostaw dom, firmę i dzieci. Czego ty pragniesz?

– Nie wiem – wyszeptała Kathy. – Nie jestem pewna.

Albo raczej byłam pewna, zanim nie porozmawiałam z Maureen. Powiedziała mi, że wydaje jej się, że oni są w sobie zakochani. W tym momencie go zniecierzyłam.

I chciałam go odzyskać. Chciałam go jej odebrać. Kobiecie, która ukradła mi męża.

Potrząsnęła głową.

– Nie potrafię logicznie myśleć. Czasem wydaje mi się, że wybuchnę.

– Mówisz, że było ci łatwiej, kiedy myślałaś, że chodzi tylko o seks?

– Tak... Kochać się z kimś to jedno. Ale kochać kogoś? Poświęcić się dla kogoś? To już zdrada.

Wycieraczki znów zaczęły pracować, pocierając z piskiem o szybę. Sheila podniosła butelkę z wodą, odkręciła i pociągnęła łyk. Podała ją Kathy, która jednak odmówiła.

– Allen jest żonaty – powiedziała cicho Sheila.

Trzeba było chwili, żeby jej siostra zrozumiała to zdanie.

– Allen? Ten facet, z którym się spotykasz? Ten Allen? Jest żonaty?

– Pięć lat starszy ode mnie, żonaty od dwudziestu lat, trójka dzieci – Sheila kontynuowała monotonnym głosem.

– Sheila! Jak mogłaś! Nie wiedziałaś? O czym ty myślałaś? – Kathy odsunęła się od siostry, przyciskając do drzwi. Patrzyła na nią z przerażeniem.

Sheila odwróciła nieznacznie głowę, spoglądając na Kathy. Na jej twarzy odbijały się czerwone i białe bożonarodzeniowe światełka.

– Czy go kocham? Nie. Ale czy on mnie kocha? Tak, kocha. I w tym jest problem.

Kathy trzęsącą się ręką sięgnęła po butelkę z wodą. Napiła się szybko, czując, jak zimna woda płynie przez jej organizm i dociera do żołądka.

– Kiedy go poznałam, nie wiedziałam, że jest żonaty, a on przez jakiś czas próbował to przede mną ukryć, ale łatwo było się domyślić. Żonaci nigdy nie mają tak nieskończenie wiele czasu jak ci samotni. Weekendy nie wchodziły w rachubę, święta także. Łatwo było na to wpaść. Ale był

zabawny. Lubiłam jego towarzystwo. Rozśmieszał mnie. No i chciałam mieć mężczyznę, a nie chłopca. Chciałam kogoś dojrzałego, kto by się o mnie troszczył, szanował mnie.

– Ale dlaczego żonatego?!

– No cóż, to był problem. Nigdy jednak nie chciałam, żeby był moim mężem. Nie miałam zamiaru odbierać go żonie. Za bardzo cieszyłam się swoją wolnością. Wolałam być kochanką. Spędziliśmy razem fajne wakacje, niektóre weekendy, jedliśmy pyszne kolacje, dobrze nam było – w łóżku. Jakbyśmy mieli znów po dwadzieścia lat... tylko że teraz mieliśmy pieniądze i karty kredytowe, żeby się bawić.

– Jego żona wie?

– Nie jestem pewna. Może coś podejrzewa.

– Dobry Boże, Sheila, gdybyś wiedziała, co przeżyłam, nigdy nie postawiłabyś tamtej kobiety w podobnej sytuacji.

– Wszystko szło doskonale – ciągnęła Sheila, jakby nie słyszała słów siostry – dopóki się we mnie nie zakochał. Teraz planuje odejść od żony i dzieci. Mówi o rozwodzie. Chce się ze mną ożenić – mówiła trzęsącym się głosem. – Wyobrażasz sobie mnie mężatką?

– Nie kochasz go?

– Nie – zdecydowanie powiedziała Sheila. – Lubię, tak. Kocham, nie. Miałam się z nim spotkać dziś wieczorem, porozmawiać i spróbować zakończyć ten związek, zanim powie żonie i zrobi coś dramatycznego. Ostatnio nie przestaje mówić o separacji, rozwodzie i odpowiedniej dacie ślubu. Może nie jestem najmądrzejsza na świecie, ale wtedy włącza mi się alarm.

Kathy trzęsa się, bynajmniej nie z zimna. Nie mogła uwierzyć w to, co słyszała. Jej siostra Sheila, jej młodsza siostra, była kochanką żonatego mężczyzny. Ale jej siostra nie była zła, nie była nikczemna. Nie próbowała świadomie usidlić żonatego faceta, właściwie wyglądało na to, że robi wszystko, co może, żeby on pozostał ze swoją żoną.

– Chcesz mi powiedzieć, że przede wszystkim nigdy nie powinnam się z nim wiązać i oczywiście masz rację. Przecież jestem już dużą dziewczynką, wiedziałam, co robię.

Ale kiedy odkryłam, że jest żonaty, nie odeszłam, tak?

– Dlaczego... dlaczego z nim zostałam?

Sheila wzruszyła ramionami.

– Kto wie? Zawsze chcemy tego, czego nie możemy mieć.

– Nie masz wyrzutów sumienia z powodu jego żony...

– Nie. Gdyby go lepiej pilnowała, interesowała się nim, nigdy nie przyszedłby do mnie.

Kathy odwróciła wzrok. Czy to właśnie się stało: czy Robert odsunął się od niej, bo już się nim nie interesowała?

– Idą – odezwała się Sheila, pokazując kogoś palcem.

Oto mężczyzna, którego poślubiłaś.

Oto mężczyzna, który powiódł cię do ołtarza, przeniósł przez próg, który kochał się z tobą,

zapłodnił cię, czekał w szpitalu i trzymał cię za rękę, kiedy rodziłaś.

Oto mężczyzna, którego ciało znałaś, którego ubrania prałaś, którego trzymałaś za rękę i całowałaś w usta.

Oto mężczyzna, którego kochałaś i ufałaś mu.

Oto twój mąż.

Mąż, który trzyma za rękę inną kobietę.

Kathy Walker patrzyła, jak Robert wychodzi głównym wejściem z siłowni. Przy jego boku szła kobieta, zwyczajna – ładna, szczupła, uśmiechnięta, z błyszczącymi oczami. Ciągle wygląda jak młodsza wersja mnie samej, pomyślała Kathy.

Żadne z nich nie miało rękawiczek, a ich dłonie i palce były splecione. Poruszali się swobodnie jedno obok drugiego, kroczyli pewnie i równo. Jedno spojrzenie i widziało się jedynie kolejną szczęśliwą parę.

Śmiali się.

Kathy nie pamiętała, kiedy ostatnio ona i Robert śmiali się z czegoś razem; nie pamiętała, kiedy ostatnio tak czule, naturalnie trzymali się za ręce.

Para podeszła do zaparkowanych samochodów. Światła obu zaświeciły się jednocześnie, kiedy nacisnęły alarmy i znów zaśmiali się głośno i wyraźnie, a dźwięk rozniósł się w chłodnym grudniowym powietrzu.

Robert otworzył drzwi srebrnego bmw Stephanie. Zapaliła się wewnętrzna lampka. Kobieta wrzuciła swoją sportową torbę na siedzenie pasażera i odwróciła się do Roberta. Objęła go rękami za szyję, chwyciła i przyciągnęła jego głowę prawą dłonią, żeby zniżył się do jej poziomu. Potem go pocałowała. Robert upuścił swoją torbę na ziemię i przyciągnął Stephanie bliżej.

Całowali się długo.

W końcu rozdzielili się i Stephanie wsiadła do samochodu. Pomachała mu i odjechała. Robert podniósł torbę i podszedł do swojego auta.

Kathy wyciągnęła komórkę i wcisnęła szybkie wybieranie numeru.

– Co robisz? – syknęła Sheila, chwytając za telefon.

Było za późno. Połączenie zostało nawiązane.

– Cześć, to ja – głos Kathy był spokojny i zadziwiająco opanowany.

Na drugim końcu parkingu, mniej niż sto metrów dalej, Robert przyciskał słuchawkę do ucha.

– Zastanawiałam się tylko, o której będziesz w domu.

Kathy i Sheila zobaczyły, jak Robert podciąga rękaw, żeby spojrzeć na zegarek.

– Właśnie wychodzę z biura. Powinienem dotrzeć za jakieś czterdzieści minut.

Ręce Kathy trzęsły się tak bardzo, że Sheila musiała wyjąć z nich telefon i wyłączyć go.

– I co teraz? – spytała, kiedy samochód Roberta odjechał.

– Mam zamiar spotkać się jutro ze Stephanie Burroughs – odparta Kathy chłodno i stanowczo. – Muszę z nią porozmawiać.

KSIĘGA DRUGA

Opowieść męża

*Na początku nie wiedziałem, co robię.
To nie wymówka. Po prostu stwierdzam fakt. Ale przysięgam,
że nie planowałem tego romansu. On po prostu się
zdarzył.
A potem wydarzenia wymknęły się spod kontroli.
Wszystko się skomplikowało.
Zanim zorientowałem się, co robię, było już za późno.
Zaangażowałem się za bardzo.
Byłem w niej zakochany.*

Rozdział 18

Czwartek, 19 grudnia

Robert Walker westchnął, czując na ciele gorący prysznic. Zmęczone i spięte ramiona ciążyły mu jak żelazo, a plecy bolały nieznośnie od siedzenia godzinami w samochodzie.

Nienawidził świąt.

Nienawidził wszystkiego, co się z nimi wiązało: sztuczności, presji wydawania pieniędzy i korków – przede wszystkim korków. Choć raz, tylko raz, chciałby wyjechać wczesnym grudniem i wrócić dopiero około połowy stycznia – zapomnieć o całym tym świątecznym i noworocznym zamieszaniu.

Robert dotknął wyświetlacza, podkreślając odrobinę gorącą wodę. Zwiesił głowę i odwrócił się, pozwalając, by strumień płynął mu na kark.

Ponadto w tym roku R&K Productions kręciła bożonarodzeniową reklamę już w czerwcu, kiedy znalezienie choinki było praktycznie niemożliwe, a na początku listopada robiła fragment do serialu docufiction rozgrywającego się w środku sierpnia. Teraz, jako że w Dublinie w połowie grudnia słońca było jak na lekarstwo, a budżet firmy nie wytrzymałby wyjazdu ekipy i obsady w cieplejsze rejony, musieli oświetlać plan w taki sposób, żeby zasugerować wspaniałą pogodę – cały rok był wywrócony zupełnie do góry nogami.

Ale to korków nienawidził najbardziej. Ruch uliczny w Dublinie zwiększył się dziesięciokrotnie z powodu Bożego Narodzenia. Do tego obrzydliwa pogoda, operacja Swobodny Przejazd, prace w tunelach portowych i nowa kolejka Luas – od tego miasto robiło się zupełnie nieprzejezdne.

Robert podsunął twarz pod wodę. Odgarnął długimi palcami włosy z czoła. Skrzywił się i otworzył oczy: kosmyki zostały mu w rękach, płacząc się między palcami. Tracił włosy. Kiedyś by go to nie zmartwiło, nie lubił myśleć, że jest próżny, ale wszystko się zmieniło.

Niegdyś w jego branży liczyło się doświadczenie i nikogo nie obchodził twój wygląd. Ale od kiedy tak trudne stało się znalezienie dobrej pracy – zleceń na telewizyjne dokumenty – musiał robić więcej reklamówek i komercyjnych zamówień. Zrozumiał, że w tym biznesie dobra prezencja jest najważniejsza. Teraz starał się o zlecenie na teledysku dla boysbandu; próbował przekonać zespół, że to właśnie on zrobi im coś mrocznego i ostrego, co będzie pasowało do ich piosenki. Z pewnością nie dadzą tej roboty komuś, kto wygląda jak ich ojciec, prawda?

Wycisnął na rękę trochę szamponu i zaczął nucić, wcierając go delikatnie w skórę. Może już czas, żeby zainteresować się tymi kuracjami odbudowującymi włosy? Bez przerwy zamieszczali reklamy w gazetach: specjalne szampony, elektryczne czepki, szczotki masujące skórę głowy... może nakręcić o tym dokument? Uśmiechnął się: mógłby wypróbować wszystkie te kosmetyki i wliczyć sobie w koszty firmy. Może lepiej nie – z jego szczęściem pewnie by wyłysiał. Odchylił

głowę i pozwolił, aby prysznic zmył z jego ciała mydło. Wyłączył wodę i ociekając, stał tak przez chwilę, zanim otworzył kabinę i znalazł się na łazienkowym dywaniku.

Kiedy postanowili z Kathy zainstalować nowy superprysznic, wykorzystał szansę, żeby przebudować łazienkę. Była teraz jasna i biała – wiedział, że Kathy uważała ją za zbyt chłodną i szpitalną – a jedna ściana była w całości wyłożona lustrzanymi kafelkami. Wydawało mu się, że to nadaje małemu pomieszczeniu złudzenie wielkości; ona natomiast twierdziła, że nie znosi spoglądania na swoje odbicie, pokazujące naraz wszystkie jej niedoskonałości.

Przyjrzał się sobie w lustrach. Miał czterdzieści dwa lata i pewnie wyglądał na kilka lat więcej. Wiek ujawniał się w kształcie szczęki, uwidaczniającej zmarszczki na twarzy i wokół szyi. Ale wciąż był w całkiem dobrej formie jak na faceta w tym wieku i mimo że trochę przytył w pasie, ciągle nie było śladu brzuszka. Ćwiczył regularnie, przywiązując szczególną uwagę do tej partii ciała i klatki piersiowej. Parę razy poszedł na solarium – nowy rodzaj stojącego łóżka – i był naprawdę zadowolony z rezultatów. Teraz musiał tylko ocalić swoje włosy.

Znów podszedł do lustra i przyglądał kosmyki ręcznikiem, by je wysuszyć. Kilka lat temu robił reklamówkę dla firmy kosmetycznej i pamiętał zalecenia, że włosy lepiej gładzić i delikatnie pocierać, niż energicznie szorować ręcznikiem. To uszkadzało delikatne cebulki. Zwiesił głowę na jedną stronę. Na początku roku zauważył pierwsze prawdziwe i wyraźne oznaki siwizny. Kupił sobie jednak piankę koloryzującą, która zafarbowała je, zanim ktokolwiek zauważył.

W każdym razie Kathy nie zauważyła.

A Stephanie tak.

Dostrzegła to od razu. Woląла jego siwe skronie, twierdząc, że wyglądał dystyngowanie. On uważał, że go postarzają, więc pozbył się siwizny pomimo jej zastrzeżeń.

Okręcając ręcznik wokół pasa, Robert sięgnął po wodę kolońską. Wydawało mu się, że słyszy hałas w sypialni, i wystawił głowę przez drzwi.

– Kathy?

Nikogo nie było, ale z pościeli stopniowo znikало wgłębienie, a na kołdrze, tuż obok pozostawionego przez niego ubrania, leżało kilka czerwonych świątecznych kartek.

– Kathy? Szukałaś mnie?

Wyszedł z łazienki, szeroko otwierając drzwi. Usłyszał tylko, jak uchylają się te w kuchni. Podniósł jedną z kartek, zostawiając wilgotne odciski na kopercie i spojrzał na nią. Potem rzucił z powrotem na łóżko, wiedział, o co chodziło. Każdego roku Kathy klóciła się z nim o adresy na bożonarodzeniowe listy. Twierdziła, że ich nie ma, mimo że od lat korzystała z tych samych. Zwyczajnie brak mu było czasu, żeby pisać dziesiątki życzeń. Ona miała go w nadmiarze. Czym się zajmowała całymi dniami? Skoro już całkiem odsunęła się od spraw firmy, przynajmniej tyle mogła zrobić.

Jego XDA wystawał z kieszeni marynarki, więc wyjął go, sprawdzając automatycznie, czy są jakieś nieodebrane połączenia. Nie było. Potem zauważył, że mały rysik leży na kołdrze. Musiał wypaść przed chwilą, kiedy wyjmował telefon. Marszcząc brwi, Robert umocował rysik z

powrotem przy komórcie – już wcześniej zauważył, że jeśli nie kliknął głośno przy wkładaniu, często wypadła.

Oblał się odrobiną wody kolońskiej od Stephanie, ruszając nosem, by poczuć pizmowy zapach. Na początku nie był do niego przekonany, ale potem przyzwyczał się i zdał sobie sprawę, że maskuje on ciężki zapach perfum, których używała sama Stephanie, kiedy czasem wychodzili razem wieczorem.

Włożył szybko dzinsy i golf, po czym zbiegł pospiesznie na dół. Dom wydawał się spokojny, cichy... i zimny. Robert czubkami palców dotknął kaloryferów, poczuł przeraźliwe gorąco.

Kiedy otworzył drzwi do kuchni, odkrył przyczynę zimna: tylne drzwi były szeroko otwarte, a Kathy stała na progu.

– Hej, co jest? Przez ten dom wieje wichura!

Podszedł do żony, objął ją i położył brodę na czubku jej głowy. Poczuł, jak nagle sztywnieje, i wiedział od razu, że zaraz się od niego odsunie.

Kathy weszła z powrotem do kuchni, zmuszając go, by ją puścił.

– Chciałam odetchnąć świeżym powietrzem, zrobiło się tu strasznie duszno.

Patrzył, jak zamyka drzwi i podchodzi do stołu, żeby posprzątać kartki.

– Położyłam kilka kartek na łóżku – zaczęła.

– Widziałem..

– Nie mam adresów, a poza tym to osobiste życzenia – byłoby lepiej, gdybyś sam je napisał i podpisał.

Po osiemnastu latach małżeństwa potrafił dostrzec, że coś było nie tak. Widział to w sposobie, w jaki układała ramiona i unikała jego wzroku.

– Co się stało? – spytał szybko. Kathy spojrzała na niego z ukosa.

– Nic. Czemu pytasz?

Uśmiechnął się i wziął głęboki oddech, widząc, że zapowiada się jedna z tych nocy – „zimnych nocy”, jak je nazywał, kiedy cokolwiek robił lub mówił, okazywało się niewłaściwe.

– Bo mówisz tym tonem.

– Jakim tonem?

– Właśnie tym.

Uśmiechnął się, próbując załagodzić sytuację. Był zbyt zmęczony, niemal śmiertelnie wyczerpany, żeby się klócić.

– Tonem, który oznacza, że jesteś na mnie wkurzona. Kathy westchnęła znacząco.

– A twoje westchnienie to kolejny dowód. Spojrzała na niego z irytacją i przez chwilę dostrzegł w twarzy żony obraz zmarłej, nieodżałowanej teściowej, wiecznie nieszczęśliwej Margaret Childs. Fizycznie Kathy – niska i krągła – była podobna bardziej do nieżyjącego ojca, ale jej oczy i zaciśnięte usta przypominały matkę.

– Słuchaj, jestem zmęczona. Od wielu godzin piszę kartki. Głównie za ciebie – do twoich przyjaciół i znajomych. Robię to co roku. I co roku szukam adresów. Nie pomagasz mi.

Robert ugryzł się w język. Korciło go, by powiedzieć: „Miałaś wiele tygodni, żeby to zrobić, ale zawsze zostawiasz pisanie na ostatnią chwilę i zawsze winisz mnie. Mogłabyś pisać je na raty, po kilka, zamiast siedzieć na tyłku, oglądając powtórki *Emmerdale* i *Sędza Judy*”. Ale nie miał ochoty na kłótnię.

– Właśnie skończyłem dziesięciogodzinny dzień pracy – rzucił swobodnie. – Były koszmarnie korki, a rano mam prezentację. Zrób mi herbaty, a potem przejrzę mój notes z adresami i dam ci wszystkie, których potrzebujesz.

– Już znalazłam – odparła Kathy sztywno. – Musisz jedynie napisać te cztery kartki, które położyłam na łóżku.

– Kłócimy się o cztery kartki? – spytał.

– Nie, nie kłócimy się o cztery kartki – wybuchnęła. – Kłócimy się o ponad sto dwadzieścia, które napisałam. Bez twojej pomocy.

Robert skinął głową i wzruszył ramionami.

– Powinienem był zabrać kilka do pracy. Potem spojrzął na zegar.

– Pojadę po dzieci.

Odwrócił się i szybko wyszedł z kuchni, by nie powiedzieć czegoś, czego później pożałuje. Ta sama kłótnia co roku. Pewnie nawet używali identycznych słów. Zdjął kurtkę z wieszaka przy drzwiach i wyszedł, opierając się pokusie trzaśnięcia frontowymi drzwiami.

Wcisnął pilota i otworzył audi. Wśliznął się na siedzenie kierowcy, chwycił kierownicę i wziął głęboki oddech, próbując się uspokoić. Dziś był czwartek. To trzecia kłótnia w tym tygodniu. Kłótnia o nic. Albo o zupełnie nieistotny drobiazg. Wyprowadzając samochód z podjazdu, skręcił w lewo w cichą ulicę. Szron trzeszczał pod kołami, pewnie później będzie bardzo ślisko.

Byli małżeństwem od osiemnastu lat i wiedział już, że awantury nigdy nie brały się z niczego i nigdy – nigdy – nie chodziło naprawdę o to, o czym była mowa. Dziś Kathy czepiała się świątecznych kartek. Wczoraj złościła się, że nie kupił mleka. Wcześniej była zirytowana, bo nie zdążył wrócić wystarczająco wcześnie, by pójść na wywiadówkę.

Tłumaczył jej – więcej niż raz – że to dla niego najgorętszy okres. Nie miał czasu, ale ona nie chciała tego zrozumieć. A teraz, kiedy nie było Maureen, sytuacja stała się wyjątkowo trudna. Nowa sekretarka była dobra, nawet bardzo dobra i nie miała dziwacznych nawyków jak Maureen, ale teraz on sam musiał kilka razy wszystko sprawdzać, co zwiększało napięcie i dodawało mu pracy.

Kathy wydawało się, że znała się na prowadzeniu interesów, ale przez ostatnie lata zapomniała, jak pracuje się w firmie, a przecież tyle się zmieniło. Nie tylko w firmie. Kathy zbyt długo siedziała w domu i zupełnie nie wiedziała, jak żyje się w prawdziwym świecie. A prawdziwy świat to także korki. Niesamowite korki. Nieruchome korki. Ona najzwyczajniej nie rozumiała, że nie ma sensu, żeby wychodził z biura o siedemnastej trzydzieści i sterczał w korku przez dwie godziny, podczas gdy łatwiej było wyjść o osiemnastej trzydzieści i spędzić w aucie czterdzieści pięć minut. To oczywiście dawało mu także czas na telefon do Stephanie.

Robert uśmiechnął się i podjechał pod szkołę Brendana. Zarówno on, jak i Theresa z powodu dodatkowych zajęć mieli być w domu później. Brendan miał kłopoty z prawie każdym przedmiotem, podczas gdy Theresie w tym roku szło w szkole świetnie. Wszystkie jej stopnie były doskonałe. Zupełnie jak jej matka, pomyślał z dumą.

Wyłączył silnik i odrobinę otworzył okno. Poczul na twarzy lodowaty wiatr. Włączył odtwarzacz CD i rozległy się pierwsze dźwięki świątecznej składanki, którą dodawali za darmo do Indo. Zanucił piosenkę Binga Crosby'ego *The Little Drummer Boy* w wersji Davida Bowiego i poczul, jak opada z niego napięcie.

Może po świętach znajdą czas, żeby gdzieś razem wyjechać. Porozmawiać, coś naprawić; opowie jej o interesach. A Stephanie? Czy powie żonie o Stephanie Burroughs, swojej kochance, i dlaczego tak bardzo chciał ją zatrzymać?

– Tato! – Brendan przerwał mu rozmyślenia, otwierając drzwi z siłą i entuzjazmem godnymi siedemnastolatka. – Nie spodziewałem się ciebie tutaj.

– Pomyślałem, że zrobisz ci niespodziankę – Robert ścisnął syna za rękę. – Jak tam w szkole? I nie mów „nudno” – dodał szybko.

– Prawie nudno – uśmiechnął się Brendan. – Ta matma, tato...

– Wiem, wiem. Ale słyszałeś, co mówiła mama. Chce, żebyś skończył szkołę i miał przyzwoite stopnie. Ja też tak myślę – dodał, przekręcając kluczyk w stacyjce i włączając się do ruchu.

– Mówiłeś, że będziesz pracował w firmie.

– Będziesz. Ale branża się zmienia. Technologia niesamowicie szybko idzie naprzód. Nie tak dawno kamery nagrywały na taśmę wideo. Teraz możesz nagrywać bezpośrednio na DVD. A na rynku pojawiają się coraz nowsze generacje tego sprzętu.

– Robert skręcił w wąską boczną ulicę prowadzącą do szkoły Theresy.

– Ja nie nadażam za całą tą nową technologią – ale ty powinienes. Dlatego chcę, żebyś poszedł do college'u, dostał dyplom i wprowadził R&K na wyższy poziom.

Znów ścisnął syna za ramię.

– Wiesz, że to ma sens.

– Wiem – markotnie odparł Brendan. – Ale mama naprawdę jest upierdliwa. Twierdzi, że muszę uczyć się nawet w czasie przerwy świątecznej.

– Porozmawiam z nią.

– Czy to oznacza, że nie będę mógł pomagać ci w firmie w weekendy?

– Oczywiście, że będziesz mógł. Prowadzę teraz rozmowy z pewnym boysbandem, może nakręcę ich teledysk. Możesz mi w tym pomóc.

– Byłoby super. Mogę być drugim reżyserem.

– Hej, to jest R&K Productions, a nie MGM. Nie mamy drugiego reżysera. Mamy tylko jednoosobową ekipę – czyli mnie i kamerę na moim ramieniu. Możesz być współproducentem.

– OK – ostrożnie zgodził się Brendan. – A co to oznacza?

– Że będziesz robił herbatę.

– Fantastycznie – odparł ponuro Brendan. Nagle wychylił się i pokazał coś palcem. – Jest Theresa.

Robert jechał z powrotem do domu z dwojgiem nastolatków radośnie paplających na tylnym siedzeniu samochodu, który teraz pachniał kombinacją hinduskiego i chińskiego jedzenia. Między córką i synem były tylko dwa lata różnicy – dogadywali się świetnie i Robert cieszył się z tego. On sam nie miał właściwie żadnych relacji ze swoimi trzema starszymi braćmi. Rodzice rozwiedli się, kiedy był czternastolatkiem, i mimo że został przy matce, regularne weekendowe odwiedziny u ojca i starszych braci nie sprawiały mu przyjemności. Przestał ich odwiedzać, gdy skończył szesnaście lat. Do tego czasu dwaj bracia już zdążyli wyemigrować – do Australii i USA, a rok później najstarszy – Mikey – wyjechał do Kanady. Wymieniali okazjonalne listy, dziwaczne kartki świąteczne, ale ostatnio widział ich na pogrzebie ojca piętnaście lat temu. Gdy dziewięć miesięcy później zmarła matka, przyjechał tylko Mikey.

– Tato – zawołała Theresa z ustami pełnymi frytek. Maczała je w sosie curry i Robertowi zaczęło burczeć w brzuchu. Nie jadł lunchu – znowu! – i od śniadania udało mu się jedynie zjeść paczkę orzechowych M&M-sów. – Czy odwiedzimy Julię w Świętego Stefana?

– Cóż, macie wybór – odparł ostrożnie. – Albo my pojedziemy do cioci Julii... albo ona zjawi się w naszym domu. W pierwszym przypadku – tłumaczył – zawsze możemy wyjść. Natomiast gdyby ona przyszła do nas – nigdy się jej nie pozbędziemy.

– Ale chodzimy tam co roku! – zaprotestował Brendan.

– Taka tradycja.

– Czas ją złamać. Przegapimy najlepsze kawałki w telewizji.

– Wiem, wiem – westchnął Robert. On też nie znosił wizyt u siostry Kathy w dniu Świętego Stefana, ale wiedział, jakie to ważne dla żony. – Pójdźmy tam w tym roku i zobaczymy, czy uda nam się coś zmienić w następnym. Chodźmy, myśląc o tym, że to ostatni raz.

– Lepiej nie mówić tego mamie – poradziła Theresa.

– Raczej nie – zgodził się Robert. Wjechał na podjazd i wyłączył silnik. W ich sypialni na górze świeciło się – światło. Kiedy wychodzili z samochodu, zgasło. Robert przekreślił klucz w zamku i otworzył drzwi, wpuszczając do holu dzieci.

Kathy była w połowie schodów.

– Kupiliśmy jedzenie – krzyknął Brendan, podnosząc do góry brązowe papierowe torby.

Kathy uśmiechnęła się.

– Super. Ja też o tym myślałam.

W jej twarzy Robert zauważył coś dziwnego, czego nie rozpoznał, i pomyślał, że może jest chora.

– Wszystko dobrze?

– Świetnie. Po prostu świetnie – rzuciła szybko i przemknęła obok niego do kuchni.

Robert doczłapał do jadalni i zatopił się w fotelu. Wcisnął automatycznie przyciski na pilocie, przełączając z kanału na kanał. Telenowele, telenowele, telenowele, dokument o statkach, program

o gotowaniu. Wszystkie seriale miały świąteczne odcinki, dokument rozgrywał się gdzieś w zimowej scenerii, a program o gotowaniu odliczał dni do Bożego Narodzenia. Pewnie nagrywali go w czerwcu, pomyślał ponuro.

– Będziesz jadł tutaj? – spytała Kathy, stojąc w drzwiach.

– Nie, nie, już idę.

Wygrzebał się z fotela i ruszył do kuchni. Theresa i Brendan rozdzielali jedzenie, nakładali je na talerze i kłócili się zawzięcie, kto ma więcej frytek. Potem zanieśli naczynia do jadalni, żeby tam oglądać telewizję.

– Wziąłem ci *Rogan Josh*. Łagodne – odezwał się Robert.

– Nie jestem głodna.

– Zjedz choć trochę.

– Mówiłam, że nie jestem głodna.

– Robert skupił się na przekładaniu swojego dania – starego dobrego curry z kurczaka – z plastikowych pojemników na talerz.

– Zasmrodzisz całą kuchnię – odezwała się Kathy, otwierając okna – i będziesz śmierdział czosnkiem przez całą noc.

– To odstrasza wampiry – powiedział swobodnie. Usiadł i zaczął jeść, przeżuując powoli i metodycznie, żeby nie bolał go potem żołądek. Włączył mały telewizor wiszący na ścianie i znalazł program o gotowaniu. Kątem oka patrzył, jak Kathy otwiera plastikowe pudełko z lekami i wyciąga dwie aspiryny. Połknęła je szybko.

– Wszystko w porządku? – zapytał ponownie.

– Rozbolała mnie głowa. Idę do łóżka – odparła i natychmiast wyszła, zostawiając jedzącego kolację męża samego w kuchni.

Kolejna noc w gospodarstwie Walkerów. Czuł się przeraźliwie samotny. Nie pamiętał, kiedy wszyscy razem usiedli wspólnie do kolacji ani czy ostatnio Kathy spytała go o pracę, albo o to, jak mu minął dzień.

Właściwie nie pamiętał, kiedy ostatnio wykazała jakiegokolwiek zainteresowanie nim, pracą, łóżkiem.

Rozdział 19

– Cześć.

Telefon zaskrzeczał i zatrzeszczał, potem rozległ się głos Stephanie – czuły i miły. Szeptala do słuchawki.

– Chciałam zadzwonić później. Tęskniłam za tobą dziś wieczorem.

Robert przeszedł przez pokój, który służył mu za domowe biuro, i upewnił się, że drzwi są zamknięte.

– Wiem. Przepraszam – powiedział cicho. – Pracowałem nad projektem dla DaBoyz. Potem wyszedłem, zanim korki zrobiły się jeszcze większe.

– Jak idzie?

– Chyba dobrze. Pokażę świetną prezentację.

– Potrafisz to zrobić. Wiem, że potrafisz. Robert opadł na biurowe krzesło i pokiwał głową.

– Mam nadzieję.

– Wierzę w ciebie. To nada firmie nowy kierunek. Zrobisz jeden dobry popowy teledysk i staniesz się grubą rybą. Zespoły będą waliły drzwiami i oknami.

– Masz rację. Wiem, że masz rację.

I w tej chwili był już pewien, że potrafi – Stephanie wierzyła w niego i w jego umiejętności.

– Jeszcze raz dzięki za to zlecenie.

– Co się stało? – spytała nagle Stephanie.

– Nic.

– Przecież słyszę.

– Skąd wiesz? – spytał Robert, naprawdę zdziwiony, że go przejrzała.

– Krótkie zdania. Kiedy jesteś zmęczony albo zmartwiony, odpowiadasz krótkimi zdaniami.

– Ty i twoje wyższe wykształcenie – zaśmiał się Robert.

– To nie ma nic wspólnego z moim wykształceniem – poza tym nie jestem pewna, czy „Interpretacja zachowań kochanka” to przedmiot na dziennikarstwie.

Robert słyszał w jej głosie uśmiech i zdał sobie sprawę, że sam także się uśmiecha.

– W takim razie powiedz mi, co cię gryzie – wypytywała.

– Jak zwykle. Jestem tylko zmęczony. Miałem długi dzień.

– A Kathy? – naciskała Stephanie.

Robert wzdrygnął się. Czuł się co najmniej głupio, rozmawiając o swojej żonie z kochanką.

– Jest w kiepskiej formie – przyznał. – Widziałem, jak łykała dziś tabletki, chyba bierze ją jakaś choroba.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza.

– Myślisz, że ją usprawiedliwiam, prawda? – zaczął Robert, przerywając niezręczną ciszę i

natychmiast tego pożałował. Ostatnia rzecz, której teraz potrzebował, to kłótnia ze Stephanie. Wystarczyło, że żona go ignorowała. Jeśli obie będą na niego złe, nie będzie miał komu się wyżalić. Przepraszam, nie powinienem był tego mówić. Jestem zmęczony. Tak – przyznał. – Pokłóciliśmy się dzisiaj. Ale to wina świąt i tej fatalnej pory.

Jak tylko wypowiedział te słowa, zmrużył powieki i potrząsnął głową. Jezu! Ależ musi być zmęczony! Wcale nie chciał rozmawiać o świątach ze Stephanie!

– Zobaczą cię w te święta? – spytała Stephanie.

Nauczył się już rozpoznawać, że gdy mówiła poważnie, wyraźnie słychać było w jej głosie amerykańską intonację. Stephanie Burroughs skończyła college niedaleko Nowego Jorku.

– Jasne – odparł szybko.

– Wiesz już kiedy?

– Cóż, zobaczymy się w Wigilię. Mam coś dla ciebie – dodał. – A potem pewnie w Świętego Stefana... nie, nie wtedy, może dzień później.

– Dlaczego nie w czwartek?

– Idziemy na obiad do siostry Kathy, Julii. Taka tradycja.

– Nastąpiła chwila ciszy, a potem Stephanie odezwała się:

– Pamiętam, że mówiłeś to samo w zeszłym roku. Wydaje mi się, że obiecywałeś wtedy, że to ostatni obiad, w którym uczestniczysz.

– Chyba mówię tak co roku.

– Lubisz tam chodzić?

– Nie – odpowiedział szczerze.

– Masz przecież wybór: obiad u szwagierki albo czas spędzony ze mną. Co wolisz?

– Bez wahania czas z tobą – odparł natychmiast.

– Więc tak zrób.

– To nie takie proste.

– Będzie proste, jeśli tak zdecydujesz.

– Wiesz, że bardzo chcę.

Stephanie westchnęła.

– Wiem. Przepraszam. Nie powinnam cię tak dręczyć. Chyba też jestem zmęczona. Ale jutro się zobaczymy?

– O tym chciałem z tobą porozmawiać. Umówiłem się podwójnie. Jutro wieczorem spotykam się z Jimmym Moranem. Przykro mi. Możesz za to wnieść sytuację w biurze. Myślałem, że Maureen odwołała to spotkanie, a Illona nie pomyślała, żeby to sprawdzić. Przepraszam.

– Nic nie szkodzi. Zdarza się. Maureen ma zamiar wrócić?

– W styczniu. Albo i nie – westchnął. – Nie może – lub nie chce – dać mi jasnej odpowiedzi.

– Jeśli chodzi o tę sprawę, musisz w końcu zacząć myśleć głową, a nie kierować się sercem – zasugerowała Stephanie. – Kiedy już uda ci się zrobić ten klip, chyba nie chcesz, żeby za sekretarskim biurkiem siedziała kobieta wyglądająca jak staromodna niania, prawda?

– Masz rację. Oczywiście, masz rację.

Westchnął.

– Sam się zorientowałem, że tak jest. Ale nie mogę jej zwolnić przed świętami.

– Jesteś za miękki – zamruczała Stephanie. – Chociaż mi zazwyczaj udaje się to zmienić –
dodała szybko delikatnym i namiętym głosem, zbijając go z tropu.

– Masz tupet!

– Czasami. Więc jutro się nie zobaczymy?

– Mam prezentację dla zespołu i ich managera z samego rana, a wieczorem kolację.

– Wpadniesz później?

– Może – powiedział nieśmiało.

– Może – zaśmiała się głośno i wesoło. – Tylko „może”?

– A warto? – spytał.

– Oczywiście – obiecała.

– Zobaczę, co da się zrobić.

Rozdział 20

– Myślałam... – odezwała się nagle Kathy.

– To zawsze groźne... – zażartował. Wcisnął włącznik elektrycznej szczoteczki w chwili, kiedy jego żona zaczęła mówić.

– Ostatnio tak ciężko pracujesz...

Zamilkła. Na jej twarzy odbijającej się w lustrze dostrzegł irytację.

– Słucham cię – powiedział ustami pełnymi pasty do zębów, ale Kathy wróciła do swojej gazety. Rozmawiał z nią tysiąc razy o ilości pieniędzy, które wydaje na babskie magazyny i powieści, ale było to bezcelowe i podłoga koło jej łóżka pokryta była gazetami i na wpeł przeczytanymi tanimi powieściami. W końcu przestał o tym mówić, bo kłótnie do niczego nie prowadziły, a ona i tak odpłacała się wyłącznie wyliczaniem mu każdego wydatku. Kiedy zrobił sobie zęby, tygodniami urządziła mu piekło. Teraz wyłączył szczoteczkę i Kathy natychmiast zaczęła:

– Myślę, że ostatnio tak ciężko pracujesz. Prawie w ogóle cię nie widuję. Może spróbujemy gdzieś wyjść wieczorem?

– Dobry pomysł – odparł automatycznie. I tak myślał. Od kiedy nie było Maureen, stażystka nie radziła sobie z prowadzeniem biura, a nowe zlecenie przyszło akurat w czasie świąt – pracował coraz więcej i do późna. Nie widywał zbyt często swojej żony, a ich spotkania ostatnio stały się coraz krótsze i chłodniejsze. Po Bożym Narodzeniu, kiedy sytuacja się uspokoi, zaprosi ją na dobrą kolację, może nawet porozmawiają o sytuacji w biurze i przekonają, żeby zmniejszyła trochę swoje wydatki...

– Może jutro?

– Nie mogę. Nie jutro wieczorem. Zabawiam klienta. Świąteczne drinki.

– Nic nie mówiłeś.

– Na pewno mówiłem – zmarszczył brwi. Mówił jej chyba? Ale miał ostatnio tyle na głowie.

– Pamiętałabym.

Robert wzruszył ramionami i odwrócił się, żeby wrzucić ręcznik z powrotem do łazienki. Chybił i ręcznik ześliznął się na ziemię.

– Z kim się jutro spotykasz?

– Z Jimmym Moranem – odparł Robert. – Jemy kolację u Shanahana na Green.

Odchylił narzutę, wszedł do łóżka i podskoczył, czując zimną pościel.

– Nie włączyłaś koca – powiedział prawie oskarżającym tonem.

– Nie myślałam, że jest aż tak zimno.

– Rzuciła gazetę na podłogę i położyła się, przykrywając po samą brodę. Robert spojrział na nią z ukosa.

– Nie czytasz już?

– Nie, oczy mi łzawią. Chyba mam jakiś problem ze wzrokiem.

Sięgnęła ręką i wyłączyła światło po swojej stronie łóżka.

– Cóż, ja trochę poczytam, jeśli ci to nie przeszkadza.

Sięgnął na swoją stronę i podniósł książkę, którą z przerwami czytał od dwóch miesięcy: *Droga mniej uczęszczana* doktora Scotta Pecka. Mimo rekomendacji Stephanie nie mógł przez nią przebrnąć i udawało mu się przeczytać mniej niż stronę w ciągu jednego wieczoru. Ona zawsze dawała mu poradniki i książki o rozwoju osobowości. Podobało mu się to, co poleciła mu ostatnio – serię *Balsam dla duszy*. Uwielbiał krótkie historyjki, które odsłaniały wrodzoną dobroć człowieka. Kupił nawet jedną książkę Kathy – *Balsam dla kobiecej duszy* – myśląc, że jej się spodoba. Leżała teraz na podłodze, na samym dnie sterty książek, nietknięta.

– Jak myślisz, kiedy będziemy mogli wyjść gdzieś wieczorem? Przed świętami? – przytłumiony głos Kathy dochodził gdzieś spod kołdry.

W następnym tygodniu zaczynają się święta, więc jej pomysł był kompletnie idiotyczny i potwierdzał, że Kathy żyje w zupełnie innym świecie. Robert ugryzł się w język i poczekał chwilę, próbując jak najlepiej sformułować odpowiedź. Nie chciał kłaść się spać po kolejnej kłótni.

– Może odłożymy to na po świętach? – zasugerował. Teraz nie da się nigdzie znaleźć wolnego stolika ani zaparkować w mieście – próbował się zaśmiać, mówiąc dalej wszystkie restauracje są pełne takich jak ja, którzy goszczą klientów, takich jak Jimmy, i częstują ich winem.

Zorientował się, że nie przeczytał dotąd ani słowa, i upuścił *Drogę mniej uczęszczaną* na podłogę. W jego przypadku to będzie *Książka nigdy nieprzeczytana*. Wyłączył światło.

– Po świętach znajdziemy trochę czasu. Może nawet wyjedziemy na weekend? Co o tym myślisz?

– Byłoby miło – wymamrotała Kathy, ale nie wydawała się zachwycona.

Robert leżał w ciemności, słuchając odgłosów układania się do snu. Gdzieś w oddali wylądował alarm, brzmiący jak ryk dzikiego zwierzęcia. Bliżej domu jakiś pijak wyśpiewywał fałszywie *White Christmas*.

Oddech Kathy uspokoił się, zasnęła. Kiedy był już pewien, że śpi głęboko, przysunął się bliżej, opierając bokiem głowę o jej plecy.

Nie mógł oprzeć się porównaniu Kathy i Stephanie. Stephanie wspierała go i zajmowała się nim; Kathy wręcz przeciwnie. Nie rozumiała go i, jak mu się wydawało, nie próbowała nawet zrozumieć. Jej świat skurczył się do dzieci, domu, kręgu bliższych znajomych, rodziny i mało znaczących drobiazgów – jego wszystko to zupełnie nie interesowało, bo spieszył się, żeby czegoś dokonać, żeby się sprawdzić.

A kiedy wracał do domu w wieczór taki jak dziś i zwykle czekała go kłótnia o nic, wtedy naprawdę doceniał, że ma kogoś, kto go kocha i rozumie, z kim może miło porozmawiać.

Jego praca wymagała, żeby rozdzielić sprawy ważne od mniej znaczących. Produkcja telewizyjna to dziedzina, w której liczyły się czas i zarządzanie ludźmi – mógł więc być nieprzytomny i roztargniony w domu, ale zawsze musiał sprawnie kierować firmą.

Kathy żyła w jednej części jego życia, Stephanie w drugiej. Czasem wyobrażał sobie ich trójkę jako trzy okręgi. Jego łączył się zarówno z Kathy, jak i ze Stephanie; a ich okręgi z kolei zachodziły na jego. Figury obu kobiet nie miały części wspólnych. Kathy nie obchodziła ani firma, ani on sam. Stephanie interesowała się i sprawami zawodowymi, i nim samym, uśmiechnął się, myśląc o tym.

Stephanie zawsze miała ochotę na seks, podczas gdy w ciągu mijających lat on i Kathy oddalili się od siebie, także pod tym względem. Jednak on także czuł się winny; zmęczony po zbyt wielu godzinach spędzonych w biurze zasypiał, gdy tylko dotknął głową poduszki. Przyznał także, że znudzili się swoją seksualnością. Ze Stephanie wszystko było nowe, świeże.

Rozmawiała z nim każdego dnia, a co więcej – słuchała go. Kathy prawie się nie odzywała. Kiedy pytał, jak minął jej dzień, odpowiadała „dobrze” i kończyła konwersację.

Z tych dwóch kobiet to Stephanie była bardziej wymagająca. Stale chciała z nim spędzać czas – zapewniała, że uwielbia jego towarzystwo. A on kochał być z nią. Sprawiała, że znów był młody i wyjątkowy.

Przy Kathy czuł się jak przeszkoda.

A mimo to... kochał Kathy. Nie namiętnie, nie seksualnie, nie ekstrawagancko – po prostu ją kochał. Była z nim zawsze, pracowała u jego boku, żeby zbudować firmę; nawet w ciąży. Wspierała go, kiedy odszedł z RTE, żeby założyć własny biznes, mimo że oznaczało to brak regularnych wpływów i pensji. Wiąż, którą stworzyli, była głęboka, a jeśli ich związek się zmienił... cóż, po osiemnastu latach nic w tym dziwnego.

Zaskakujące było to, że zakochał się również w Stephanie.

Nigdy nie wierzył, że można jednocześnie kochać dwie kobiety; zawsze wyobrażał sobie, że miłość to uczucie wyjątkowe, zarezerwowane dla jednej, jedynej. Kochał obie, ale czuł różnicę... choć jeszcze nie potrafił jej określić.

Przewrócił się na łóżku i spojrzał na czerwony wyświetlacz cyfrowego zegara przy łóżku: pięćdziesiąt pięć minut po północy. Musiał się przespać, rano powinien być wypoczęty i gotowy do prezentacji. A to oznaczało wczesną pobudkę i wyjazd z domu około siódmej, by dotrzeć do miasta na ósmą. Jeśli się spóźni, przeprawa przez centrum zabierze mu wieczność i nie znajdzie miejsca koło Mount Street.

Kochał Stephanie.

Czyżby?

Uczucie, które ogarniało go od kilku miesięcy, jednocześnie dziwiło i przerażało. Nigdy naprawdę nie myślał o znaczeniu słów „kocham cię”. Dwa krótkie wyrazy, nadużywane, rzucane bez zastanowienia. W biznesie telewizyjnym, szczególnie reklamowym, wypowiedane jak slogan. Powtarzał je Kathy każdego dnia, zwykle wieczorem, na dobranoc, choć ostatnio zrezygnował z tego zwyczaju. Mówił je także dzieciom, przytulając je do snu, dopóki nie zrobiły się zbyt duże i zbyt zajęte sobą, by potrzebować usypiania. Jakies pół roku temu po raz pierwszy skierował je szczerze do Stephanie. To zaskoczyło ich oboje.

Poznali się prawie siedem lat temu. R&K walczyła o przetrwanie, co stawało się tym

trudniejsze, że Kathy wycofała się z pracy, żeby zaopiekować się dziećmi. Jej matka, Margaret, która im dotąd pomagała, stawiała się coraz bardziej zgorzkniała i ponura, więc Robert i Kathy zaczęli martwić się o samopoczucie dzieci przebywających z babcią. Zresztą Brendan i Theresa również nie chcieli spędzać czasu w jej towarzystwie.

Stephanie dołączyła do zespołu jako researcher. Od kilku lat pracowała w Dublinie jako wolny strzelec. Wpadli kiedyś na siebie na jakimś promocyjnym spotkaniu, gdy R&K dostała małe, ale dobrze płatne zlecenie: *Zdarzyło się dzisiaj sto lat temu* – krótkie, dwuminutowe filmiki, które w formie newsów opowiadały wydarzenia sprzed stu lat. Kawałki musiały być dobrze udokumentowane i świetnie napisane. Stephanie wykonywała całą pracę nad wszystkimi odcinkami: szukała materiałów, pisała komentarze, wyszukiwała potrzebne zdjęcia i materiały archiwalne, a także stylowe kostiumy i biżuterię do aktorskich scenek.

Pracowali wspólnie nad tym projektem, dzięki niemu zwiedzili całą Irlandię, wyjeżdżając często przynajmniej na kilka dni. Musiał przyznać, że Stephanie mu się podobała. Ale to wszystko – sympatia, z której nic nie wynikało, nawet nie próbował tego zmieniać. Ona była inteligentną, radosną, pełną energii młodą kobietą. Ani on, ani Stephanie, nie powiedzieli i nie zrobili nic, co mogłoby zmienić ich koleżeńskie relacje. Dopiero później, znacznie później, zdał sobie sprawę, że ciągle czekał na jakiś sygnał z jej strony. Gdyby go otrzymał, może by się skusił...

Pod koniec kręcenia, kiedy projekt był niemal gotowy, Kathy oskarżyła Roberta o romans ze Stephanie. Czuł się koszmarnie, stojąc w ogrodzie, smażąc kielbaski na grillu i wysłuchując jej bezpodstawnych oskarżeń. Oczywiście zaprzeczył, bo nie były prawdziwe, ale w głębi serca czuł się winny, bo wiedział, że niewiele brakowało. Nigdy nie powiedział o podejrzeniach żony Stephanie, ale natychmiast rozwiązał jej kontrakt, dodając małą premię jako „dziękuję”. Ona zajęła się inną pracą. Od czasu do czasu kontaktowali się, ale potem wyjechała z kraju. Doszły go słuchy, że pracowała przy jakimś porannym programie w brytyjskiej telewizji.

Dwa lata temu Stephanie wróciła do Celtic Tiger – międzynarodowej firmy reklamowej w Dublinie – jako account manager. Znowu wpadli na siebie na spotkaniu wprowadzającym nowy produkt i odnowili dawną przyjaźń.

Kathy przewracała się w łóżku, oddychając krótko i niespokojnie. Robert odwrócił się, by na nią spojrzeć. Podczas snu jej twarz zmieniała się, zmarszczki na czole i koło ust znikwały, a lekko rozchylone wargi wysmuklały jej rysy. Twarz Stephanie była zawsze taka sama.

To porównanie przyszło mu na myśl znienacka. Odwrócił się od żony, znowu spoglądając na zegar: dwadzieścia po drugiej.

Pamiętał pierwszy raz, kiedy spał ze Stephanie. O ironio – to była noc świętojańska, dzień, w którym pięć lat wcześniej żona oskarżyła go o romans z inną kobietą. On i Stephanie zbliżali się do tego momentu od tygodni. Zwykle obiady zmieniły się w regularne spotkania, okazjonalne kolacje w coraz częstsze wieczory spędzane razem, a rozmowy stawały się coraz bardziej znaczące. Stephanie załatwiła R&K świetny kontrakt na reklamę wody mineralnej. Dała Robertowi listę ewentualnych miejsc do sfilmowania i kazała mu wybrać najlepsze. Polecił Glendalough, a ona

zasugerowała, żeby tam pojechali i sprawdzili światło wieczorem i rano. Oboje wiedzieli, że to nie było konieczne, świadomi, do czego ten wyjazd doprowadzi.

Kiedy pędzili jego samochodem do Wicklow, nie miał absolutnie żadnych wątpliwości, był przekonany, że wylądują razem w łóżku. Ale to wszystko: nie sięgał już dalej myślą. Zjedzą miłą kolację, a potem... cóż, stare przysłowie powtarzane przez ekipy filmowe mówiło: Co dzieje się w trasie, zostaje w trasie.

Robert zapamiętał każdy szczegół tamtej nocy: kolację, intensywny zapach mięsa, gorycz wina, zapach jej perfum i aromat palącego się drewna; miał wyostrzone wszystkie zmysły. Stephanie była ubrana w białą jedwabną bluzkę i sprane dżinsy, na szyi nosiła cienki złoty łańcuszek, złote kulki w uszach, żadnych pierścionków. Jej krótko obcięte paznokcie pokryte były bezbarwnym lakierem, a włosy spadały luźno na ramiona.

W hotelu wzięli pokoje obok siebie. Kiedy skończyli jeść, poszli na górę. Zatrzymali się przed pokojem Stephanie, a Robert pochylił się, żeby ją pocałować na dobranoc. Odwróciła głowę i zamiast policzka, musnął jej usta. A ona odwzajemniła pocałunek.

Tamtej pierwszej nocy kochali się godzinami. Robert był zdziwiony entuzjazmem, pomysłowością i jawną radością Stephanie. Zawsze odnosił wrażenie, że Kathy traktowała seks jak przykry obowiązek, który trzeba wykonać jak najszybciej. Stephanie uwielbiała się kochać.

A później, znacznie później, kiedy pierwsze promienie słońca w Wicklow sięgnęły okna, a on leżał nago w łóżku ze Stephanie przytuloną do swego boku, poczuł, że żyje. Miał w sobie energię, kreatywność i ekscytację.

I ani trochę poczucia winy.

Rozdział 21

Piątek, 20 grudnia

Z uporczywym migrenowym bólem głowy i piekącymi oczami Robert Walker otworzył nogą drzwi do R&K Productions. W jednej ręce niósł duży kubek parującej kawy, a w drugiej próbował utrzymać laptopa, teczkę i klucze. Alarm zaczął ostrzegawczo pikać. Robert postawił kawę na biurku Illony i cofnął się do skrzynki za drzwiami, żeby wcisnąć kod alarmowy: #32. Ciągłe obiecywał sobie, że go zmieni. Może gdyby w końcu zebrał się na odwagę i zwolnił Maureen, dałoby mu to pretekst, żeby oprócz kodu wymienić także zamki.

Automatyczna sekretarka sygnalizowała nagranie nowych wiadomości. Robert wcisnął przycisk i otworzył drzwi do swojego pokoju, by móc ich wysłuchać, jednocześnie niosąc kawę i teczkę.

Mechaniczny kobiecy głos oznajmił:

– Masz dwie nowe wiadomości. Nowa wiadomość otrzymana w czwartek, dziewiętnastego grudnia, o godzinie osiemnastej pięćdziesiąt pięć.

Bob, tu Jimmy. Teraz jest czwartkowy wieczór, siódma. Dzwonię tylko po to, żeby potwierdzić naszą jutrzejszą kolację. Naprawdę się cieszę. Gdyby zrobiło się późno albo jeśli wypijemy za dużo czerwonego, zawsze możesz przenocować u mnie. Wiesz, że ciągle mam to mieszkanie w Tempie Bar. Mój Boże, to była najlepsza inwestycja w moim życiu. Do jutra.

– Nowa wiadomość otrzymana dzisiaj, w piątek, dwudziestego grudnia, o godzinie siódmej pięćdziesiąt pięć.

Dzień dobry, Robercie, tu Eddie Car son, manager DaBoyz. Stephanie mówiła, że wcześniej zaczynasz pracę. Zadzwoń do mnie, jak tylko dotrzesz. Muszę przełożyć nasze spotkanie.

Robert spojrział na zegar. Dziesięć po ósmej. Wiadomość została nagrana przed kwadransem. Większość materiałów do prezentacji dla DaBoyz była rozłożona na stole konferencyjnym, a ostatnie poprawki miał w laptopie. Zespół i ich manager mieli przyjść o wpół do jedenastej, ale zajęłoby mu tylko pół godziny zebranie materiałów do kupy. Mógłby więc spotkać się z nimi o dziewiątej, gdyby chcieli przełożyć spotkanie na wcześniejszą porę.

Zanim zadzwoni do DaBoyz, powinien wykonać jeszcze jeden telefon. To stało się rutyną: pierwsza rozmowa rano i ostatnia wieczorem. Wcisnął w komórce automatyczne wybieranie.

– Cześć, tu twój telefon zaufania.

– Mój Boże, która godzina? – głos Stephanie był przytłumiony i zaspany.

– Dziesięć po ósmej, prawie kwadrans. Obudź się, śpiochu. Myślałem, że jedziesz już do biura.

– Dzisiaj idę później. Miałam nocną rozmowę z Los Angeles, ośmiogodzinna różnica czasu to

koszmar.

Robert przeszedł przez biuro, odsłaniając żaluzje.

– Jeśli już mówimy o rozmowach, odsłuchałem właśnie wiadomość od Carsona. Chce przełożyć spotkanie.

Ja się zgadzam.

Usłyszał szelest pościeli i tym razem głos Stephanie był trzeźwy i energiczny.

– Powtórz mi dokładnie, co powiedział.

– Hm, przekazał tylko... właściwie, poczekaj chwilę, puszcę ci tę wiadomość.

Zaniósł komórkę do zewnętrznego biura i wcisnął przycisk w telefonie stacjonarnym. Przewinął pierwszą wiadomość, ponownie wcisnął guzik i przyłożył komórkę do głośnika.

– I tyle. Nie ma problemu. Wyczyszczę terminarz, żeby się z nimi spotkać.

– Jest problem – parsknęła Stephanie. – To bzdura. Mówiłam Carsonowi, jakie mamy szczęście, że udało nam się ciebie zdobyć. Oddzwoń do niego i nie pozwól – słyszysz mnie? Nie pozwól mu przełożyć tego spotkania. Musisz pokazać temu draniowi, kto tu rządzi, bo inaczej cię zdepcze.

– Ale naprawdę nie ma sprawy... – zaczął Robert.

– Zrób, jak mówię. Bądź twardy. Zagroź, że spotykacie się dziś rano albo wcale, potem odczekaj chwilę i nic nie mów. Zwróć uwagę na jego reakcję.

– OK – odparł Robert sceptycznie.

– Zaufaj mi – szepnęła już delikatniej Stephanie. – Zrób to od razu, a potem oddzwoń do mnie.

– Tak jest! – Robert udął, że salutuje, i odłożył słuchawkę. Podeszedł do stołu konferencyjnego i zaczął grzebać w papierach, aż znalazł wizytówkę Carsona. Gdyby to była jego decyzja, zadzwoniłby do managera i umówił spotkanie zgodnie z planami tamtego. Ale musiał przyznać, że Stephanie była świetna w swojej pracy, a prowadziła kilka z największych projektów w tej branży.

– Eddie Carson – odezwał się głos już po pierwszym dzwonku.

– Witaj, Eddie, tu Robert Walker z R&K Productions. Stęskniłem się.

– Tak, Bob, dzięki, że oddzwoniasz. Słuchaj, muszę przełożyć spotkanie DaBoyz na jutro albo na niedzielę. Co ci bardziej pasuje?

Robert otworzył teczkę, wyjął laptopa i położył go na biurku.

– Ani jedno, ani drugie, Eddie. Pasuje mi dzisiaj. Dzisiaj mam dla was czas.

Nastąpiła chwila ciszy. Robert słyszał w słuchawce szybko przejeżdżające samochody i odgadł, że Eddie jest jeszcze w drodze do Dublina. Po dotarciu na przedmieścia miasta nic już nie jechało tak szybko. Odpalił laptopa i wpisał hasło. Ekran rozjaśnił się i pokazał prawie pusty pulpit, na którym po lewej stronie znajdowało się tylko kilka ikon. Kliknął *Moje Dokumenty*, potem *Moje Obrazy*. Podświetlił jedno ze zdjęć z poprzednich świąt i wcisnął *Enter*. Otworzyło się natychmiast – była na nim Stephanie ubrana tylko w łańcuch i świąteczne bombki. Siedziała pod małą choinką w swoim mieszkaniu. Na podłodze u jej stóp stała kartka z napisem: „Świąteczny prezent dla Roberta. Można otworzyć w każdej chwili”. Powiększył jej twarz. Uśmiechała się figlarnie. Zawsze panowała nad sytuacją, zawsze wiedziała, co robić. Miał nadzieję, że teraz też tak było.

– To naprawdę niemożliwe. DaBoyz mają tyle zajęć...

– Ja również, panie Carson – zimno odpowiedział Robert. – Dziś rano albo wcale.

Kolejna długa pauza. Robert kilka razy otwierał usta, żeby przerwać ciszę, ale, pamiętając o radzie Stephanie, szybko je zamykał.

– Może wcisnę nasze spotkanie dzisiaj, ale trochę później – gładko powiedział Carson i w tej chwili Robert wiedział już, że wygrał.

– Zapisałem was na dziesiątą. Będziecie czy nie?

Cisza.

– Coś pozmieniam. Będziemy – rzucił Carson i odłożył słuchawkę.

Robert czuł, jak drżą mu palce, kiedy wciskał szybkie wybieranie. Stephanie odebrała po pierwszym dzwonku.

– Miałaś rację. Co ja bym bez ciebie zrobił?

– Miejmy nadzieję, że nigdy się nie dowiesz.

– Jestem twoim dłużnikiem.

– Och, bądź pewny, że odbiorę ten dług – obiecała.

Rozdział 22

– Byłam tego pewna – Stephanie przechadzała się dookoła biura. Miała na sobie prążkowany garnitur, którego ostry wzór złagodzony był kremową jedwabną bluzką założoną pod marynarkę. Włosy spięła z tyłu głowy spinką w kształcie motyla – prezent od Roberta.

Robert siedział przy biurku, uważnie wpatrując się w ekran komputera. Kończył ostatnie szlify prezentacji dla DaBoyz, które zawierały zmiany uzgodnione podczas spotkania z Carsonem i zespołem dziś rano.

– Twoja rada była strzałem w dziesiątkę – powiedział, nie podnosząc wzroku znad monitora. – Przyszli punktualnie o dziesiątej. Chłopcy byli jak złoto, nieco onieśmieleni tym wszystkim, tak mi się wydawało, i totalnie zmanipulowani przez Carsona. To on podejmował wszystkie artystyczne decyzje.

Stephanie zatrzymała się przy stole konferencyjnym i rozłożyła rysunki.

– Wyglądają bardzo dobrze, ekscytująco. Inaczej.

– Carson sypał pochlebstwami.

Robert wyszedł zza biurka i dołączył do Stephanie. Ułożył obrazy w sekwencję tworzącą teledysk.

– Wydaje się, że robię to całe życie – zamruczał. – Carson chciał wprowadzić kilka zmian.

– To typowe. Próbuje pokazać, że ma władzę, tak samo jak z przekładaniem dzisiejszego spotkania. Często byłam świadkiem, jak to robił. Wydaje mu się, że jest managerem U2, a nie kolejnego, klonowanego boysbandu.

Robert poczuł nagle zapach ostrych cytrusowych perfum Stephanie i żar jej ciała, kiedy nachyliła się ku niemu nad stołem. Wijący się kosmyk włosów otarł się o jego twarz niczym impuls elektryczny.

– Gdybyś od razu się z nim nie umówił, zwodziłby cię przez następnych kilka tygodni. Nawet gdyby udało wam się coś ustalić, wtrącałby się bezustannie... – Głos Stephanie ściszył się do ponętnego szeptu. Odwróciła się, by spojrzeć na Roberta. Jej twarz była blisko. Czuł zapach kawy. Patrzył, jak rozchyła wargi i wysuwa czubek języka. Uśmiechnęła się i uniosła odrobinę brwi, a potem spojrzała w stronę otwartych drzwi.

Robert odetchnął głęboko, żeby uspokoić mocno bijące serce, i odsunął się od Stephanie. Spoglądając na zegar, wyszedł ze swojego pokoju do sekretariatu, w którym Illona skrupulatnie przeglądała katalog dostaw materiałów biurowych.

– Jesteś zajęta? – spytał.

Szczupła dziewczyna o wschodnioeuropejskiej urodzie spojrzała w górę wielkimi ciemnymi oczyma osadzonymi w bladej twarzy. Mówiła po angielsku z amerykańską manierą, ale ostatnio słyhać już było w jej głosie ślady dublińskiego akcentu, co wydawało się Robertowi ogromnie

denerwujące.

– Nie bardzo. Telefony milczą.

– Jest dopiero po czwartej. Może wyjdiesz dziś wcześniej? Zrobisz jakieś zakupy?

– Cóż, jeśli jesteś pewien, że mnie nie potrzebujesz...

– Stephanie i ja mamy kilka rzeczy do ustalenia w związku z kontraktem dla DaBoyz. To trochę potrwa, a nie mam dziś po południu innych spotkań, prawda?

– Żadnych.

– Dobra. Przełącz telefony na sekretarkę, ale zostaw włączony komputer. Wyłączę go, jak będę wychodził.

Illona zgarnęła płaszcz, torebkę i skierowała się w stronę drzwi. Zatrzymała się i spojrzała przez ramię, zaglądając do biura, gdzie Stephanie stała przy stole konferencyjnym, udając zainteresowanie projektami. Podniosła odrobinę głos:

– Dobranoc, panno Burroughs.

– Dobranoc, Illono – odkrzyknęła Stephanie, nie podnosząc wzroku.

Sekretarka spojrzała znów na Roberta.

– Dobranoc. Nie pracuj zbyt długo.

Robert pokiwał tylko głową. W wyrazie twarzy Illony było coś takiego, jakby wiedziała, uśmieszek triumfu. Był pewien, że Maureen go podejrzewała – okazywała Stephanie swoją antypatię na różne sposoby. To między innymi dlatego myślał poważnie o tym, żeby ją zwolnić. Ale to nie była łatwa decyzja: jeśli zwolni Maureen, ona mogła opowiedzieć Kathy o swoich podejrzeniach.

Kto by pomyślał, że zwykły romans spowoduje aż takie komplikacje? Nie było dziedziny w jego życiu, której ten związek w jakiś sposób by nie dotykał.

Bardzo starał się utrzymać wszystko w sekrecie. Kiedy wreszcie zrozumiał, że to, co miało być tylko przelotnym flirtem, przeobraziło się w coś poważnego, stał się ostrożny. Nigdy nie chodzili do tej samej knajpy więcej niż raz, a jeśli nocowali gdzieś razem, to tylko poza Dublinem, gdzie nikt ich nie znał. Oczywiście były to sprawy wyłącznie jego i Stephanie, ale Dublin to małe miasto, ludzie gadali, a nie chciał przecież, żeby plotki dotarły do Kathy. Jeśli ktoś ma jej o tym powiedzieć, to tylko on sam.

Kiedy przyjdzie właściwy czas.

A teraz z pewnością nie była to odpowiednia chwila.

Robert odprowadził Illonę do drzwi i przytrzymał je.

– Do zobaczenia w poniedziałek, Illono.

– Dobranoc, Robercie.

Dziewczyna zawiązała ciasniej płaszcz i zniknęła w ciemności.

Robert poczekał, aż skręci w Mount Street, po czym zamknął drzwi i zasunął zasuwę.

– Myślę, że ona coś podejrzewa... – rzucił, wracając do biura.

– I co z tego? – odparła Stephanie. – To tylko sekretarka.

Potem złapała Roberta za klapy marynarki i przyciągnęła go do siebie, przechylając głowę i przyciskając swoje usta do jego.

Ta namiętność zaskoczyła go. A własna reakcja – natychmiastowa i gorąca – wręcz zaszokowała. Każdy seks ze Stephanie był jak pierwszy raz: podniecający i wyczerpujący. Oparł ją o stół konferencyjny i popchnął na blat, rozrzucając kartki we wszystkich kierunkach. Jego palce manipulowały przy guzikach jej bluzki.

Zanim spotkał Stephanie, kochał się wyłącznie w łóżku. Na początku małżeństwa robili to czasem z Kathy w ciągu dnia, ale z upływem czasu to się zmieniło i wpadli w rutynę jak wiele innych małżeństw: kochali się w sobotnie lub niedzielne poranki, kiedy dom był jeszcze cichy, a dzieci spały lub oglądały telewizję.

Stephanie usiadła na stole i odepchnęła go od siebie. Ściągnęła marynarkę i rzuciła ją na krzesło, potem zdjęła bluzkę. Robert rozdarł swoją koszulę – słyszał, jak guzik odrywa się i spada gdzieś na podłogę.

Zazwyczaj to Stephanie inicjowała seks. Robert nigdy nie pamiętał, żeby robiła to Kathy – to zawsze on musiał uczynić pierwszy ruch. Zanim po raz pierwszy kochał się ze Stephanie, on i Kathy nie byli ze sobą od ponad czterech miesięcy. Odkąd zaczął się związek ze Stephanie, ani razu nie kochał się z żoną. Nawet nie próbował. Wydawało mu się to niewłaściwe.

A teraz Stephanie nagle siedziała naga na stole konferencyjnym, a on ścigał skarpetki.

– To na czym skończyliśmy? – spytała i otworzyła szeroko ramiona. Rozsunęła nogi, zapraszając go do środka i witając w swoim ciele.

Stephanie wyszła spod małego prysznica i pozwoliła, żeby Robert otulił ją ręcznikiem. Kabina prysznicowa w R&K była zbyt mała dla dwóch osób, więc musieli myć się po kolei. Nie pierwszy raz kochali się w biurze. Robertowi wydawało się, że jest w tym coś wyjątkowo ekscytującego. Jeszcze dziś rano, kiedy siedział przy tym stole z zespołem, przypominał sobie nagą Stephanie leżącą na blacie. Trudno było mu wtedy prowadzić sensowną rozmowę.

Wszedł pod prysznic i zwiększył strumień gorącej wody, odkręcając go maksymalnie, ale ciśnienie wody i tak było bardzo słabe. Przez mleczną szybę widział, jak Stephanie niedbale wyciera się ręcznikiem. Patrzył na jej poruszające się biodra, kiedy wyszła już z łazienki i zaczęła zbierać swoje rzeczy z krzesła, na które je przedtem w pośpiechu rzuciła. Jego ubrania wały się po całym pokoju. Starannie ułożone grafiki i wydruki, które przygotował do prezentacji dla DaBoyz, leżały teraz na podłodze, część z nich była zgnieciona. Miał to gdzieś. Kiedy kochał się ze Stephanie, nic innego się nie liczyło. Oddawał się temu w pełni, całym sercem. Ona także. Kiedy Kathy się z nim kochała, wydawała się daleka, obca, jakby zmuszała się do tego. Tylko czy po osiemnastu latach było w tym coś dziwnego?

Robert wyszedł spod prysznica. Ręcznik Stephanie był wilgotny, ale użył go, nie chcąc wyjmować następnego. Jeśli Illona coś podejrzewała, nie powinien dawać jej ku temu jeszcze więcej powodów.

– Spotkamy się wieczorem? – Stephanie stała w drzwiach, ubrana jedynie w biały koronkowy stanik.

– Nie jestem pewien. Zrób coś dla mnie – dodał. – Ubierz się, proszę.

– Dlaczego? – spytała wesoło.

– Bo jeśli się nie ubierzesz, będę cię musiał wziąć jeszcze raz.

– Obiecanki cacanki – uśmiechnęła się, ale odsunęła od drzwi i zaczęła ubierać. – To co z dzisiejszym wieczorem? – spytała ponownie.

– Dzisiejszy wieczór to kompletna kłapa – rzucił ręcznik na wieszak i zaczął chodzić nago po pokoju, wkładając koszulę i spodnie. – Pamiętasz, że Jimmy i ja mieliśmy zjeść kolację u Shanahana? Kazałem Illonie potwierdzić rezerwację i okazało się, że nikt jej nie zrobił.

– Jak to się stało? – Stephanie wsunęła się w spodnie, ale bluzkę ciągle miała rozpiętą. Robert sięgnął i pogładził ją po piersi wierzchem dłoni. Ten ruch był nieświadomy, ale czuły. Stephanie złapała jego dłoń i przycisnęła ją do swojej skóry. Potem chwyciła czubki jego palców do ust i pocałowała je.

Właśnie te ruchy, drobne intymne czynności znaczyły dla Roberta tak wiele. Tego mu brakowało u Kathy: drobiazgów, ciepłego dotyku, zwyczajności, swobody bycia razem. Już od dawna w obecności żony czuł się jak ktoś obcy.

– Nie jestem pewien, kto nawalił – Illona czy Maureen. Chyba Maureen. Ale nie o to chodzi. Za godzinę spotykam się z ważnym klientem i nie mam gdzie zabrać go na kolację.

– Trudno znaleźć miejsce w knajpie przed świętami.

– Wiem. A Jimmy nie będzie chciał wyjechać z miasta. Mówił, że mogę przespać się w jego mieszkaniu na Tempie Bar.

Stephanie skończyła się ubierać. Wzięła swoją małą torebkę i poszła do łazienki poprawić makijaż.

– Bądź z nim szczerzy – poradziła sprzed lustra. – Nigdy nic nie wiadomo, może wystarczy mu pójście na drinka. Jeśli wyjdziecie dość wcześnie, możecie zajrzeć do Market Baru przy George Street. Oprócz drinków są tam i przekąski.

– Dobry pomysł.

– Nie odpowiedziałeś na moje wcześniejsze pytanie: spędzisz ze mną dzisiejszą noc? Mam czekać? Robert uśmiechnął się.

– Jeśli spędzę u ciebie noc, na pewno będę spać. Wykańczasz mnie.

– Dobrze, a więc posłuchaj. Jutro pracuję od rana. Jeśli uda ci się dotrzeć do mnie przed pierwszą w nocy, możesz przyjechać. Ale jeśli masz być później, to zapomnij. Wyślij mi smsa, kiedy będziesz coś wiedział.

– Niezły plan.

Stephanie wyszła z łazienki. Wyglądała nienagannie.

– Nigdy bym nie powiedział, że niecałe pół godziny temu leżałaś na tym stole i kochałaś się tak namiętnie.

Stephanie mrugnęła do niego rzekomo zaskoczona.

– Nie wiem, o czym pan mówi, panie Walker. Kończyłam bardzo ważny projekt.

Przechyliła się i pocałowała go, przelotnie dotykając wargami jego ust.

– Lubię sposób, w jaki załatwia pan interesy.

Rozdział 23

Po wyjściu Stephanie Robert spróbował nieco uporządkować biuro. Wyglądało jak po bombardowaniu, na podłodze leżały rozrzucone papiery, niektóre z wyraźnie odcisniętymi śladami mokrych nagich stóp. Seks ze Stephanie nigdy nie był na pół gwizdka. W chwili orgazmu krzyczała głośno, wydając niekontrolowane dźwięki, jak chrząkanie i okrzyk bólu. W biurze nie była aż taka namiętna, ale i tak był pewien, że mieszkańcy przylegających mieszkań doskonale słyszeli, co się dzieje. Na początku zawstydzalo go to; teraz nie miał już żadnych obaw. To był kolejny z podarunków Stephanie – nauczyła go swobody.

Układając dokumenty, zwrócił uwagę, jak wygląda stół: cały pokryty śladami spoconych dłoni, na polerowanym blacie widniał wyraźny odcisk pośladek. Pod zlewem w ciasnej kuchni Robert znalazł papierowe ręczniki, płyn do czyszczenia mebli i zabrał się za porządkowanie.

Kiedy skończył, było niewiele po szóstej. Rozpylił w pomieszczeniu odświeżacz powietrza, maskując zapach seksu, a potem stanął, by podziwiać dzieło swoich rąk. Biuro wyglądało nieskazitelnie, stół błyszczał, papiery były ułożone w stosy, obok stały długopisy. Nikt by nie uwierzył, że niespełna godzinę temu kochało się tu dwoje nagich ludzi.

Zanim wyszedł z biura, wybrał numer domu na telefonie stacjonarnym.

– Halo?

Przez chwilę myślał, że pomylił numer. Głos brzmiał podobnie do Kathy, ale należał do kogoś innego.

– Halo?

Rozpoznał uszczypliwy ton swojej szwagierki Julii. Zmusił się do uprzejmości.

– Julia, tu Robert.

– Tak myślałam.

– Rozumiem, że skoro ty jesteś, to Kathy nie ma.

– Miała coś do załatwienia, powiedziałam, że popilnuję dzieci, mimo że, powiem szczerze – dodała szybko – są wystarczająco dorosłe, żeby obywać się bez opieki.

– Zgadza się z tobą, ale jeśli ty z nimi będziesz, pouczą się, zamiast oglądać telewizję – opowiedział, nieświadomie używając tych samych słów, które nieco wcześniej wypowiedziała jego żona. – Mogę pogadać z Brendanem? Jest gdzieś w pobliżu?

Robert nie miał czasu dla Julii. Między nimi było zbyt wiele złych emocji, pochodzących jeszcze z dawnych czasów: ona uważała, że nie jest wart Kathy i nie ukrywała swoich uczuć do niego. On za to myślał, że jest zarozumiałą krową. Szczerze współczuł Benowi, jej nieszczęsnemu mężowi.

– Tata?

– Gdzie mama?

– Pojechała do miasta.

– O tej porze?

– I zostawiła nas z ciocią Julią – dodał Brendan, zniżając głos do szeptu. – Mam siedemnaście lat, tato. Nie potrzebuję opiekunki.

– Wiem. Jak długo nie ma mamy?

– Jakieś dwadzieścia minut, pół godziny. Możemy zamówić coś do jedzenia?

– Przecież wczoraj zamawialiśmy.

– Ale mama nic nam nie zostawiła.

Robert zmarszczył brwi. To zupełnie nie w stylu Kathy. Była odpowiedzialną matką i dzieciom nigdy niczego nie brakowało.

– Wiesz może, dokąd pojechała?

– Nie mam pojęcia. Powiedziała, że to pilne.

– Tylko tyle? Nic więcej?

– Zastanawiała się, co jej kupiłeś w zeszłym roku na Boże Narodzenie. Może pojechała do miasta po prezent dla ciebie?

– Może.

– Poczul się trochę winny. Ciągle nie wybrał Kathy prezentu, a przysięgał, po zeszłorocznej porażce, kiedy w ostatniej chwili kupił kilka rzeczy w centrum Stephen's Green, że w następnym roku znajdzie dla niej coś ładnego.

– Zadzwoń do niej na komórkę. Bądźcie mili dla Julii. Wróć późno.

– Pa, tato – Brendan odłożył słuchawkę.

Robert usiadł przy biurku i próbował zrozumieć coś z tego, co przed chwilą usłyszał. Kathy robiła różne rzeczy, ale zawsze miała ważny powód. Więc dlaczego, na Boga, pojechała dzisiaj do miasta? Wcisnął kolejny przycisk szybkiego wybierania i przełączył rozmowę na głośnik. Odebrała dopiero po sześciu sygnałach.

– Halo?

– Kathy? Gdzie jesteś?

– W samochodzie.

Robert westchnął głęboko. Wiedział, że jest w samochodzie. Dlatego do niej dzwonił. Jej wyjaśnienie nic mu nie mówiło. Ale przynajmniej okazało się, że nadal jest na niego wściekła. Nie był pewien, o co chodziło tym razem, ale ostatnio nie musiała wcale mieć konkretnego powodu. Spróbował inaczej.

– Właśnie dzwoniłem do domu; dzieci powiedziały mi, że pojechałeś do miasta na zakupy.

Wypowiadając te słowa, czuł, jak nedorzecznie brzmiały.

– Tak – odpowiedziała beznamiętnie.

Robert położył łokcie na biurku i oparł głowę w dłoniach.

– To chyba nie jest dobry pomysł. Korki są koszmarnie, a pogoda się pogarsza. W prognozach zapowiadali śnieg, a wieczorem nawet gołoledź.

– Muszę kupić kilka rzeczy. Pomyślałam, że pojedę do Stephen's Green – zignorowała jego

słowa. – Jeśli pogoda rzeczywiście się pogorszy, wpadnę do Shanahana i tam się spotkamy – kontynuowała. – Możemy pojechać do domu twoim wozem, a rano przyjadę z tobą, żeby odebrać mój.

Gdzieś w głowie usłyszał ostrzegawczy dzwonek – cichy, irytujący dźwięk. Coś było nie tak. Po pierwsze – dlaczego jechała do miasta? To było kompletnie nie w jej stylu. I dlaczego mówiła o tym, że wpadnie do Shanahana? Jakby go sprawdzała.

– Jesteś tam? – spytał, zdając sobie sprawę, że oboje milczeli przez chwilę.

– Jestem. A ty gdzie jesteś?

– Ciągłe w biurze. Jimmy ma tu wpaść około siódmej.

Przez chwilę słychać było tylko szum.

– Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł. A jeśli się napijemy z Jimmym, może sam będę musiał zostawić samochód. I oba będą w mieście. Myślałem nawet, że chyba przenocuję tutaj. Jimmy mówi, że mogę przekimać w jego mieszkaniu na Tempie Bar.

Kolejna długa pauza.

– Kathy... ? – spytał w końcu.

– Jestem przy lotnisku, sygnał jest słaby.

– Czy nie możesz kupić potrzebnych rzeczy w Pavillions przy domu?

– Nie – odparła krótko. – Do zobaczenia później u Shanahana.

– Nie, nie u Shanahana...

– Wydawało mi się, że mówiłeś wczoraj wieczorem, że idziecie do Shanahana...

No właśnie: nutka podejrzania w jej głosie. Żył z Kathy wystarczająco długo, żeby rozpoznać ten ton. A słyszał go już wcześniej – tego koszmarnego dnia, kiedy oskarżyła go o to, że ma romans. Ale przecież nie wiedziała, nie mogła wiedzieć o Stephanie. Był taki ostrożny. – Wiem, jednak ktoś coś pomylił. Dzwoniłem, żeby potwierdzić rezerwację, ale nikt jej nie zapisał.

– Więc gdzie idziecie?

– Jeszcze nie wiem.

– No dobrze, zadzwoń do mnie, jak już znajdziecie jakieś miejsce, to wpadnę.

Robert skinął głową. Po raz trzeci w tej rozmowie wspomniała, że chce wpaść i spotkać się z nim. Nie pamiętał, by kiedykolwiek – z pewnością nie w tym roku, może nawet nie w ciągu dwóch poprzednich lat – coś podobnego zaproponowała. Wyraźnie go podejrzewała. Zmarszczył czoło – czy zrobił coś, co ją zaalarmowało, czy to może ktoś inny? A może sama się domyśliła?

– Nie widziałam Jimmy'ego od wieków. A co u Angeli?

– Lepiej o niej nie wspominać. Są w separacji. On chce rozwodu. Ona się nie zgadza.

– Muszę kończyć. Chyba widzę gliniarzy przed sobą.

Rozmowa urwała się i odezwał się pojedynczy sygnał.

Robert wyłączył telefon i w biurze zapadła cisza. Podejrzewała coś czy to tylko jego urojenia?

Robert nigdy nie planował związku ze Stephanie, ale kiedy romans już się zaczął, okazał się

najbardziej podniecającym wydarzeniem w jego życiu. Nie chciał jednak zrobić niczego, co zdenerwowałoby Kathy. Przez osiemnaście lat małżeństwa chronił ją i troszczył się o nią; nadal miał zamiar to robić. Nie uważał się za jednego z tych facetów, którzy szli do łóżka z kochanką, a potem poczucie winy kazało im przyznawać się do wszystkiego. Ale przyjdzie czas, kiedy żona się dowie – był tego świadom. Im dłużej trwał ten romans, tym większe stawało się prawdopodobieństwo jego ujawnienia. Jak długo mógł wszystko ukrywać? I co stanie się, kiedy Kathy dowie się prawdy?

Nigdy nie podejrzewał, że ten związek potrwa tak długo. Na początku myślał, że on i Stephanie rozejdą się po kilku tygodniach albo miesiącach. Zamiast tego romans stawał się coraz bardziej poważny i intensywny.

Właściwie pół roku temu prawie z nią zerwał. Był wtedy bardzo zajęty w firmie i przez miesiąc nie widywali się prawie wcale. Podjął wówczas decyzję, że ją zostawi – zaczął bać się tego, co czuje do tej kobiety. Nie chodziło już tylko o seks, przywiązanie, czy kombinację tych dwóch rzeczy – to była miłość.

Zdecydował, że porozmawia ze Stephanie w piątkowy wieczór. Chciał ją zaprosić do biura i ogłosić nowinę przy butelce dobrego wina. Pozostaną przyjaciółmi, ale nie mógł już być jej kochankiem. Taki był plan, jednak w środę Stephanie przyszła do niego z pewną propozycją. Wiedziała, że R&K miała problemy, a ona, jak się okazało, mogła pokierować jego interesy w dobrą stronę, załatwić lukratywny kontrakt. Czy był zainteresowany?

R&K nie tylko miała problemy, tak naprawdę stała na krawędzi bankructwa: oczywiście, że był zainteresowany. Stephanie postawiła tylko jeden warunek: nikt w jej firmie nie może wiedzieć, że utrzymuje prywatne stosunki z Robertem. Straciłaby pracę, gdyby ludzie odkryli, że kieruje zlecenia do firmy swojego kochanka. Może nie było to nielegalne, ale z pewnością pojawiał się konflikt interesów. Na dodatek nie negocjowała z Robertem najniższej możliwej ceny i nie była tak surowa dla niego, jak dla innych zleceniobiorców.

Tamto zlecenie utrzymało firmę na powierzchni.

Nagle poczuł, że nie może zostawić Stephanie, nie stać go było na to. Duże i mniejsze zlecenia, które kierowała do jego firmy, ocaliły R&K przed bankructwem.

Ale jeśli dostanie kontrakt dla DaBoyz, wszystko się zmieni. Nie będzie musiał tak bardzo polegać na Stephanie w kwestiach zawodowych. Ponadto dzięki poprzednim zleceniom teraz powoli napływały nowe. Głównie telewizyjne reklamy pasty do zębów i pieczywa – nie znosił ich, ale dzięki nim mógł płacić rachunki. Pamiętał też, że R&K ubiegała się o zlecenie na nową reklamę Renault oraz zaproponowała świetny pomysł na zbliżającą się kampanię Guinnessa.

Po świętach, obiecywał sobie. Zrobi coś ze swoim związkiem ze Stephanie po świętach – zerwie z nią. Ona zrozumie, był tego pewien. Będzie wiedziała, że Robert nie może tak dalej postępować, nie może się rozdziwić.

Boże Narodzenie zdecydowanie intensyfikowało problem utrzymywania zarówno małżeństwa, jak i kochanki.

Bardzo chciał spędzić trochę czasu ze Stephanie – na pewno będzie miło, seksownie, będą się śmiali, jedli i kochali. Może Kathy jednak raczy się w końcu do niego odezwać – a może nie. Z pewnością wybuchnie nowa awantura – zawsze znajdzie się powód. Nie miał więc wątpliwości, z kim chciałby spędzić święta, ale... musiał pamiętać o dzieciach.

Robert podniósł się i zaczął chodzić po biurze, gasząc światła i zamykając zamki. Gdzie jest Jimmy?

Był bardzo dumny z Brendana i Theresy. Musiał przyznać, że wnosili sporo radości do życia jego i Kathy. Nigdy by ich nie skrzywdził. Uwielbiał sposób, w jaki na niego patrzyli, i to, że przychodzili do niego po radę, dzielili z nim swoje porażki i sukcesy. Kochali go – nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Nie mógł pozwolić sobie na utratę ich miłości. To by go zniszczyło. Jego własny ojciec, Robert senior, był zimnym, obcym, oschłym człowiekiem. Robert nie pamiętał, by kiedykolwiek usłyszał od ojca „kocham cię”. Jego własne dzieci słyszały to każdego dnia. Gdyby przyszło mu wybierać między dziećmi a Stephanie – z pewnością ona by przegrała.

Był z Kathy dla dobra dzieci – brzmiało to banalnie, ale było bliskie prawdy. W jego życiu zdarzyło się tyle wspaniałych rzeczy – włączając w to Kathy – i wiedział, że związek ze Stephanie rzuca cień na nie wszystkie. Jedno potknięcie, jedna głupia pomyłka i mógł stracić wszystko, co w życiu kochał: żonę, dzieci i dom. Kilkoro przyjaciół, których mieli z Kathy, było wspólnych, pewnie by go wyklęli. Przynajmniej zostałyby mu firma... Nagle zdał sobie sprawę, że Kathy była właścicielką połowy interesu – wzbudziło to w Robertcie poczucie nieuchronnej katastrofy. Co by się stało, gdyby się rozwiedli? Odsunął od siebie tę myśl – nie przewidywał takiej możliwości.

Nagle usłyszał pukanie w szybę i zobaczył okrągłą twarz zaglądnącego do auta Jimmy'ego.

Ale kiedy Stephanie go dotykała, przytulała się do niego, dyszała mu do ucha, czuł, jak jego postanowienia słabną.

Jimmy znów zastukał w szybę.

Robert potrząsnął gwałtownie głową. Nie miał zamiaru niczego stracić. Był ostrożny. Zbyt ostrożny.

Rozdział 24

– Przykro mi z powodu Shanahana – powtórzył Robert, kiedy przechodzili przed wejściem do restauracji wychodzącej na Stephen's Green.

– Nie ma sprawy – powtórzył Jimmy. – Naprawdę. Nic się nie stało. – Sięgnął i złapał Roberta za ramię. – Daj już spokój.

Za młodu Jimmy Moran był jednym z najprzystojniejszych mężczyzn w Dublinie. Wysoki, elegancki, o wyraźnych rysach, został reżyserem i producentem, a jednocześnie stałym bywalcem rubryk towarzyskich. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych sprowadził do Irlandii wielkie produkcje filmowe. Oczekiwano po cichu, że będzie irlandzką odpowiedzią na Francisa Forda Coppolę. Jimmy nigdy nie sprostął tym oczekiwaniom – dwa bardzo drogie filmy zostawiły na nim jedynie piętno skandalu i ogromne długi, kiedy okazało się, że zapłacił najpierw sobie, a potem dopiero miał zamiar wynagrodzić wszystkich pozostałych, włącznie z międzynarodowymi gwiazdami. Minęło sporo czasu i intensywne życie pozostawiło ślady na jego przystojnej twarzy – perkaty nos i policzki pokryte były plamkami popękanych naczynek. Miał pięćdziesiąt dwa lata i na tyle wyglądał, mimo że włosy pozostały kruczoczarne; przysięgał, że ich nie farbuje.

Kiedy Robert dołączył do ekipy RTE, pracował z Jimmym nad serią fabularyzowanych przedstawień na żywo. Potem Jimmy popadł w alkoholizm i czasem tygodniami Robert nie widywał go trzeźwego, co jakimś cudem nie odbijało się na ich wspólnej pracy. Temperament Morana stał się legendą. Inni młodzi reżyserzy nie chcieli z nim pracować, ale nie Robert – szybko dostrzegł, że Jimmy wie więcej o branży niż wszyscy inni razem wzięci. Jego kontakty w telewizji i filmie były bardzo ważne dla młodego Walkera, który sam chciał zostać Wielkim Irlandzkim Reżyserem. Zanim zdał sobie sprawę, że Jimmy spalił za sobą zbyt wiele mostów, by znów liczyć się w branży, nie miało to znaczenia – stali się przyjaciółmi.

Jimmy odszedł z RTE przed Robertem. Ulokował się w obskurnym biurze przy Leeson Street i założył niezależną firmę producencką, jedną z pierwszych w kraju. Brał każde zlecenie, jakie wpadło mu w ręce, wkrótce udało mu się wypuścić na antenę teleturniej: prosty quiz, żadnych cudów, żadnych drogich efektów specjalnych, dziwacznych ujęć, tylko dwie drużyny, prawdziwa publiczność i prowadzący. Program leciał na RTE przez wiele lat, a kiedy został zastąpiony bardziej nowoczesnymi teleturniejami, z powodzeniem przeniesiono go na antenę radiową, gdzie miał kolejne wznowienia. Show Jimmy'ego także miał kontynuację w postaci imprez na żywo prowadzonych w pubach, kilku bestsellerowych książek z pytaniami quizowymi i zabawną grą planszową – a wszystko to jeszcze przed Milionierami. Jimmy był właścicielem pomysłu, jednego z niewielu, które chciało mu się zarejestrować i utrzymać. Teleturniej dał mu fortunę, a on sam udowodnił Robertowi, który w tamtym czasie zaczął męczyć się brakiem możliwości w RTE, że również ma szanse jako niezależny producent.

Przez kolejne lata utrzymywali ze sobą kontakt, często współpracując przy różnych projektach, dzieląc się materiałami i łącząc talenty w wymyślaniu nowych programów dla RTE.

– Gdzie idziemy? – Jimmy ponowił pytanie.

– Gdziekolwiek znajdziemy miejsce – uśmiechnął się Robert. – Postawię ci drinka albo dwa, jeśli nie uda nam się zjeść kolacji.

Na końcu Grafton Street wokół wielkiej choinki zebrali się kolędnicy. Ubrani w białe płaszcze i czapki udekorowane łańcuchami śpiewali *Cichą noc*, nadrabiając entuzjazmem brak talentu. Dziewczynka, której policzki były równie czerwone jak włosy, potrząsnęła im przed nosem plastikowym kubelkiem.

– Pomóżcie bezdomnym!

Jimmy roześmiał się i wrzucił do środka garść monet.

– To akurat ja – powiedział wesoło.

– Co? – zdziwił się Robert, nie wiedząc, czy przyjaciel żartuje.

– Praktycznie jestem teraz bezdomny – odparł ponuro Jimmy. – Angela zamierza odebrać mi dom.

Skręcili w lewo z Grafton Street, kierując się ku Gaiety i nagle dalsza rozmowa stała się niemożliwa.

– Dokończę później – krzyknął Jimmy. W wąskiej uliczce panował nieprawdopodobny harmider. Orkiestra dęta ustawiona tuż przy wejściu do Gaiety grała coś mało świątecznego, a gigantyczna kolejka gadających, śmiejących się i śpiewających klientów ciągnęła się przez całą długość ulicy, próbując dostać się na wieczorne przedstawienie. Na końcu ulicy połykacz ognia zonglował płonącymi pochodniami ku uciesze tłumu. Przyjaciele utorowali sobie drogę przez hordy ludzi i skręcili w prawo, mijając stary szpital Mercer's.

– Może pójdziemy do Break the Border?

– Jesteśmy za starzy na ten hałas – uśmiechnął się Jimmy.

– To może wstąpimy do jakiegoś Chińczyka albo Hindusa? – zaproponował Robert.

– Wolałbym nie – odparł Jimmy, gładząc się po brzuchu. – Glutaminian sodu mnie dobija.

– Myślałem, że to wrzody.

– Tak było. Dopóki nie wzięli się za mnie lekarze – Jimmy spojrzał z ukosa na przyjaciela. – Nie martw się. To nic poważnego. Po prostu się starzeję. Pewnych rzeczy nie mogę jeść i chyba wszystko, co zawiera glutaminian, odpada.

– Szkoda – Robert pokręcił głową. Miał wiele dobrych wspomnień z czasów, gdy we dwóch często szukali chińskiej albo hinduskiej knajpy z najostrożniejszym curry w karcie. Mała restauracja z tyłu Glasgow Street ciągle pozostawiała inne daleko w tyle.

– W końcu płacę za lata nieprawości – westchnął Jimmy i dodał: – A były to poważne grzechy, choć żadnego nie żałuję.

Skręcili w lewo w Fade Street, idąc w stronę Market Bar. Stara fabryka kielbas była częścią George's Arcade – wielkiej otwartej przestrzeni usianej stolikami, zamienionej w jeden z

najmodniejszych barów w Dublinie. Było tu sporo ludzi, ale jeszcze nie całkiem pełno. Robert podszedł do baru i spojrział w górę w stronę antresoli.

– Na górze są stoliki. Czy możesz coś dla nas zająć?

Wezmę nam drinki i coś do jedzenia. Co dla ciebie?

– Nic mocnego. Może być czerwone wino. Robert zamrugał z niedowierzaniem.

– Ograniczasz się?

– Muszę. Zalecenia lekarza.

Gdy Robert wrócił kilka chwil później z drinkami, zobaczył Jimmy'ego usadowionego przy balustradzie, spoglądającego na salę poniżej.

– Nigdy tu nie byłem.

– Odkryłem to miejsce niedawno – Robert postawił wino na stole. – Wziąłem nam po kieliszku zamiast butelki.

– I dobrze. Nigdy nie wypiłbym butelki – markotnie odparł Jimmy.

– No i prowadzę – dodał Robert. – Od wieków cię nie widziałem. Musimy wiele nadrobić.

– Wiem – Jimmy podniósł kieliszek. Robert zrobił to samo i stuknęli się. – Za co pijemy?

– Żeby następny rok był lepszy?

– Jimmy uśmiechnął się ponuro.

– Lepiej nie kusić losu takimi marzeniami. Wypijmy za zdrowie i szczęście. Jeśli będziemy je mieli, reszta przyjdzie sama.

– Za zdrowie i szczęście – zgodził się Robert. Łyknął trochę wina. Było gorzkie i wytrawne. Przełykając je, zdał sobie sprawę, że ciągle czuje na języku smak ciała Stephanie. – Nie chcesz mówić o przyszłym roku?

– Nie – Jimmy spojrział z boku. – Ten był koszmary. Absolutnie do dupy. Cieszę się, że już się kończy.

W przydymionym barowym świetle Robert zobaczył wyraźnie, że Jimmy wyglądał staro – gorzej niż staro. Wyglądał na wymęczonego, wyczerpanego. Miał worki pod oczami, jego zazwyczaj nienaganny garnitur wydawał się wymięty, a na klapie widniała jakaś stara plama. Kołnierz był posypany łupieżem.

– Powiesz coś więcej? – zapytał delikatnie.

– O czym tu mówić? – westchnął Jimmy. – Pamiętasz, mówiłem ci, że Angela nie chce dać mi rozwodu. Cóż, zmieniła zdanie. Czy raczej zmienił je za nią bardzo kosztowny prawnik. Ale w zamian chce dom.

– Przecież ten dom jest bajeczny!

Jimmy i Angela mieli wspaniały dom w Wicklow, dwie mile za miastem. Zanim go kupili, była to zrujnowana anglikańska parafia. Przez lata Jimmy go odrestaurowywał, wkładając w remont uczucie i zbyt wiele pieniędzy.

– Szczerze mówiąc i tak nie spędzam tam ostatnio zbyt wiele czasu, więc zdecydowałem, że go jej oddam.

– Ostatnie dwadzieścia lat spędziłeś na jego odnawianiu.

– Wiem. Ale jeśli to jest cena za wyrwanie się z małżeństwa bez miłości, to jestem gotowy ją zapłacić.

– To dlatego wcześniej powiedziałeś, że jesteś bezdomny?

Jimmy pokiwał głową.

– Masz mieszkanie w Tempie Bar.

– W tej chwili tak. Ale Angela też chce je zabrać. Może będę musiał zapłacić jej połowę wartości.

– Przecież ono jest warte jakieś... pół miliona?

Jimmy uśmiechnął się, pokazując zadziwiająco białe zęby.

– Razy dwa. Prawnicy Angeli ostatnio je oszacowali: dwóch agentów nieruchomości stwierdziło, że jest warte około miliona euro. Więc albo zapłacę Angeli pół miliona – którego nie mam – albo wystawię je na sprzedaż i oddam jej połowę tego, co dostanę.

– Jezu, Jimmy, ale koszmar.

Jimmy Moran szybko łyknął resztę wina i skrzywił się, czując je w żołądku.

– Powiem ci coś: pamiętaj, że wszystko ma swoją cenę, a ty musisz być przygotowany, żeby ją zapłacić. Angela miała już dość moich zdrad i mojego picia. Nie możesz jej za to winić.

Robert o tym wiedział. Angela i tak wiele zniosła. Najgorsze przyszło trzy lata temu, kiedy trwający już od jakiegoś czasu romans Jimmy'ego z Frances, o wiele od niego młodszą aktorką, trafił na czołówki brukowców. Dziewczyna bardzo chciała dostać rolę w nowym filmie i sprzedała historię gazetom w nadziei, że taka reklama jej w tym pomoże. Tak się nie stało i od tamtej pory Frances przestała pracować w branży. Dziwne, ale Jimmy kontynuował ten związek i półtora roku temu urodziło się ich dziecko.

Cudownym trafem prasa jeszcze nie dowiedziała się, że Frances urodziła Jimmy'emu syna. Po katastrofalnej próbie autoreklamy dziewczyna zupełnie zniknęła z życia publicznego. Robert był jednym z niewielu, którzy wiedzieli, że Jimmy załatwił jej pracę w małej księgarni na zachodzie Irlandii.

– Ktoś powiedział Angeli. Czekam tylko, aż lada dzień ta wiadomość ukaże się w bulwarówkach. W każdym razie Angela skontaktowała się ze mną przez prawnika, twierdząc, że gdyby wiedziała, że mam syna, dawno temu dałaby mi rozwód, którego chciałem. Żadne dziecko nie powinno wychowywać się bez ojca, powiedziała.

Potrząsnął głową na wyraźne bolesne wspomnienie.

– Jest wściekła, nawet bardzo. Zabierze mi wszystko, co będzie mogła.

– Co zamierzasz zrobić? – spytał Robert.

Zanim Jimmy odpowiedział, podano jedzenie – talerze przystawek: pasztetów, grzybków, skrzydełka kurczaka, miseczki z oliwkami i koszyki z różnego rodzaju pieczywem. Kelnerka przyjęła zamówienie na kolejne dwa kieliszki wina.

Jimmy wzruszył ramionami.

– Rozwiędę się z Angelą. To prawdopodobnie doprowadzi mnie do bankructwa. Ożenię się z Frances, co pewnie mnie zabije. Mam pięćdziesiąt dwa lata, jestem za stary, żeby wychowywać dzieci. Będę fatalnym ojcem.

– Chryste, Jimmy, nie wiem, czy mam ci współczuć, czy gratulować.

– Właściwie ja też nie wiem.

Dziobali jedzenie w milczeniu. Hałas z dolnego poziomu robił się coraz głośniejszy.

– A co u ciebie? – spytał Jimmy, układając na stole kółko z pestek z oliwek, które zjadł.

– W porządku. Trochę ciężko: nie ma tu zbyt wiele pracy. Ale ostatnio miałem szczęście.

– A Kathy? Jak się miewa?

– Dobrze. U niej wszystko dobrze. Jest zajęta przygotowaniami do świąt. Rozmawiałem z nią wcześniej, mówiła, że może wpadnie do nas do Shanahana.

Wyjął komórkę.

– Właściwie powinienem dać jej znać, gdzie jesteśmy.

Może zajrzy, jeśli będzie gdzieś w pobliżu.

Właściwie lepiej, żeby teraz do nich przyszła i zobaczyła, że naprawdę spędza wieczór z klientem. Na ekranie aparatu pojawił się napis „wyszukiwanie sieci”.

– Nie mam sygnału. A ty?

Jimmy wyciągnął ogromną komórkę, sprzed przynajmniej pięciu lat. Przekręcił ją pod światło i spojrzął na mały zielony ekran.

– Tak samo. Może ściany są za grube.

– Musisz zmienić telefon – uśmiechnął się Robert. – Z tego chyba Noe rozmawiał z Bogiem o powodzi.

– Mnie wystarczy. To takie modne retro. Nie jestem na bieżąco z techniką.

Sięgnął po telefon Roberta.

– Bajerancki. Pewnie robi wszystko oprócz herbaty.

– Może nawet i herbatę by zrobił.

– A powiedz mi – gładko ciągnął Jimmy – co u cudownej Stephanie? Jak ona się miewa?

Robert milczał przez chwilę, zanim odpowiedział.

– Och, dobrze, wszystko u niej dobrze. Załatwiła nam na początku tego roku małe zlecenie i może popchnie kilka następnych.

Jimmy gapił się na parkiet na dole. Nie patrząc na Roberta, rzucił:

– Słyszałem, że ty i ona podobno jesteście...

– Co? – przez chwilę Robert nie był pewien, czy dobrze usłyszał. Czuł ucisk w żołądku. – Kto tak powiedział?

– To małe miasto. Małe mózdzki i długie języki. Ludzie mówią i wyciągają wnioski. Niektórzy widzieli was razem i połączyli fakty.

– Powinni pilnować własnych pieprzonych spraw – zdenerwował się Robert, zdziwiony swoją gwałtownością.

– Więc to prawda?

Robert otworzył usta, żeby zaprzeczyć, ale zamiast tego zdecydowanie przytaknął.

– Nie będę cię okłamywał. To prawda.

Wypowiadając te słowa, poczuł nagły przypływ emocji: po chwili zrozumiał, że to uczucie ulgi. Jimmy był pierwszą osobą – jedyną osobą – której powiedział o swoim romansie ze Stephanie.

Jimmy pochylał się nad stołem i chwycił dłoń Roberta.

– Czy ona jest tego warta?

Robert, zaskoczony, odsunął się.

– Co?

Nie takiej reakcji się spodziewał. Romanse i jednonocne flirty Jimmy'ego były legendarne.

– Czy jest tego warta?

Przyniesiono kolejne kieliszki wina i mężczyźni odsunęli się od siebie. Robert od razu zamówił następną kolejkę, wiedząc, że kelnerka potrzebuje przynajmniej piętnastu minut, aby przedrzeć się do nich przez tłum gości. Musiał zebrać myśli. Jimmy wiedział o jego romansie. Inni też wiedzieli. Nasuwało się tylko pytanie, kto wiedział i od jak dawna? Mimo że na Market Bar było gorąco i głośno, poczuł nagle, jak otacza go lodowata cisza.

– Czy jest tego warta? – Jimmy ponowił pytanie.

– Tak. Tak myślę. Kto ci powiedział?

– Byłem ostatnio na spotkaniu reżyserów. W mojej grupie ktoś rozmawiał o firmie Stephanie. Wspomniał, że dali ci trzy ważne kontrakty w ciągu ostatniego roku i zastanawiał się, jak to się stało, skoro nie masz doświadczenia w kręceniu reklam. Simon Farmer...

– Mały łajdak – natychmiast przerwał Robert.

– Dokładnie. Ten mały łajdak powiedział, że dostałeś je, bo dmuchasz panią manager. I że wszyscy o tym wiedzą.

Robert czuł kwaśność wina w żołądku i przestraszył się, że zwymiotuje. Palce mu się trzęsły, kiedy podnosił kieliszek i wypijał go jednym haustem. Alkohol przepłynął mu przez gardło. Powinien być nieco wstawiony po wypiciu wina na pusty żołądek, ale czuł się zupełnie trzeźwy i wiedział, że dziś i tak nie będzie w stanie się upić.

Jimmy sączył wino, potem przysunął kieliszek Roberta i przelał do niego połowę swojego alkoholu.

– Zajęło mi chwilę, zanim zorientowałem się, że mówi o Stephanie.

– Cholera. I... wszyscy o tym wiedzą?

– Słyszałem coś już wcześniej – przyznał Jimmy. – Podejrzewałem od jakiegoś czasu, że jesteście razem. Muszę przyznać, że za każdym razem, kiedy widziałem was ze sobą, widać było między wami pewną swobodę, i głupio się czułem.

– Głupio? Dlaczego?

– Bo widziałem siebie i Frances – w sposobie, w jaki staliście obok siebie, w ciepłych spojrzeniach, dostrzegałem niewinne i z pozoru przypadkowe dotknięcia dłoni. Zwyczajne

rozmowy, które nie były zwyczajne.

– I nigdy nic mi nie powiedziałaś?

– To nie moja sprawa, prawda? Poza tym z moją reputacją jestem ostatnią osobą, która powinna ci mówić, jak żyć.

– Muszę porozmawiać ze Stephanie. Muszę jej powiedzieć. Może przez to stracić pracę.

– Wątpię. Nie jest pierwszą kobietą, która robi przysługę swojemu facetowi, a poza tym, jestem pewien, że to, co zrobiłaś dla jej firmy, było pierwszorzędne. Dopóki ci nie płacą za dużo i nie zawalasz, będzie w porządku.

– Wspominała mi, że może stracić pracę, jeśli ktoś się dowie o naszym romansie.

Jimmy wzruszył ramionami.

– Gdyby pracowała dla mnie, zadałbym jej parę trudnych pytań, ale jeśli nie zrobiła nic nielegalnego, nie miałbym powodu, żeby ją zwolnić. Jest twarda, da sobie jakoś radę.

Robert oparł się o stół i schował twarz w dłoniach.

– Nie myślałem, że ktoś wie. Byłem taki ostrożny.

– Nawet gdyby pomiędzy tobą i Stephanie nie było nic, to ludzie i tak zaczęliby gadać, widząc was razem. W dzisiejszych czasach kobieta i mężczyzna nie mogą się ot tak spotykać, żeby ktoś nie plotkował. A gdy zobaczą dwoje ludzi tej samej płci – wtedy nikt nie powie, że są w gejowskim związku. Tak już jest.

– Byłeś w takiej sytuacji jak ja teraz – błagalnie powiedział Robert. – Co powinienem zrobić?

– Właściwie zadałeś mi dwa pytania: co powinieneś zrobić i co powinieneś zrobić, jeśli ktoś zapyta.

Robert pomyślał chwilę i pokiwał głową. Rzeczywiście. Wolał to prostsze:

– Co mam zrobić, jeśli ktoś zapyta?

– Masz dwa wyjścia: wyprzeć się albo przyznać. Jeśli się przyznasz, musisz być przygotowany na aferę, która dotknie twój dom, rodzinę, przyjaciół i pracę. Moja rada: wyprzeć się. Zaprzecz i trzymaj się tego. Upewnij się, że Stephanie wszystkiemu zaprzeczy. Ale upewnij się także, że Kathy dowie się o tej plotce wcześniej, zanim ktoś jej powie. Oznajmij, że słyszałeś tę historię i mówisz jej – o tym jako pierwszy. Jeśli Kathy niczego nie zacznie podejrzewać, to w porządku. Ale jeśli już ma jakieś wątpliwości, tylko je potwierdzisz.

Robert otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Jimmy powstrzymał go.

– I nie mów mi, że nie chcesz jej okłamywać. Już to zrobiłaś. To tylko ciąg dalszy tamtego kłamstwa.

Robert oparł się ciężko na krześle, kiedy przyniesiono kolejne dwa kieliszki.

– Poproszę rachunek – spojrzał na Jimmy'ego i zaczął się tłumaczyć: – Przepraszam. Muszę wyjść, odetchnąć świeżym powietrzem, oczyścić myśli.

– Rozumiem.

Robert zaśmiał się nerwowo i dodał:

– Wiesz, co jest w tym najzabawniejsze? Kilka godzin temu zdecydowałem, że powiem

Stephanie, że powinniśmy w nowym roku odpocząć od siebie.

Twarz Jimmy'ego pozostała niewzruszona.

– Może to przyspieszy nasze rozstanie – ciągnął Robert.

– Nie przesadzaj. Mówię ci, co słyszałem. Plotki. Rozpuszczane przez wrednego małego człowieczka, zazdrosnego, że to nie on dostaje zlecenia. I że nie spał ze Stephanie Burroughs – dodał jeszcze Jimmy z ironicznym uśmiechem.

Robert uśmiechnął się niewyraźnie.

– Cóż, to prawda. Twarz Jimmy'ego zbladła.

– Pozwolisz jednak, że dam ci radę.

– Jasne.

– Zadam ci najpierw pytanie: kochasz ją? Kochasz Stephanie?

Robertowi zajęło chwilę, zanim kiwnął potakująco.

– A Kathy? Ją także kochasz?

Tym razem szybciej przytaknął. Tak.

– A Stephanie? Kocha cię?

– Myślę, że tak.

Jimmy pokręcił się zmartwiony.

– No to masz problem. Zawsze jest łatwiej, gdy chodzi tylko o seks.

– Wiem o tym. Co mi radzisz?

– Nigdy nie mów kobiecie, że ją rzucasz – nieważne, jak zgrabnie chcesz to ująć. To zawsze prowadzi do katastrofy.

– Cholera! Nigdy nie powinienem był się wplątać w tę sytuację. Ale wtedy...

– Wiem. Było łatwo. Łatwiej się wplątać, niż wyplątać. Pamiętaj, co powiedziałem: wszystko ma swoją cenę. Ale spłacanie to koszmar.

Rozdział 25

– W końcu cię nie spytałem, co powinienem zrobić.

Obaj mężczyźni wychodzili z Market Bar, trzęsąc się z zimna. Temperatura gwałtownie spadła, co jednak wydawało się zupełnie nie przeszkadzać tłumom stojącym w kolejce, żeby wejść do środka, ani grupkom palaczy zebranych na ulicy i siedzącym lub stojącym przy wielkich beczkach służących za stoliki pod arkadami przedsionka.

– To nie mnie powinieneś zadać to pytanie – odezwał się Jimmy.

Skręcili w prawo, kierując się ku George Street. Robert chciał zaproponować przyjacielowi, że odprowadzi go do jego mieszkania w Tempie Bar, ale po tym, co właśnie usłyszał, zdecydował, że nie będzie tam nocował. Skierowali się w prawo na rogu Fade i poszli wzdłuż George, w stronę Damę.

Robert włożył ręce do kieszeni swojego długiego, czarnego płaszcza.

– Po prostu nie wiem, co robić. Nigdy dotąd nie byłem w takiej sytuacji, a ty...

– A ja tak – to chcesz powiedzieć – Jimmy uśmiechnął się, ale nie było nic zabawnego w grymasie jego ust. – Cóż, to prawda. Ale wiesz co? Ze wszystkich kobiet, z którymi romansowałem – a nie zaprzeczam, że było ich wiele – żadna nie skusiła mnie do opuszczenia Angeli. Z wyjątkiem Frances. I, przyznam się tobie i nikomu innemu, gdyby Frances nie zaszła w ciążę, nie byłbym teraz w takim bagnie. Angela i ja nie mieliśmy dzieci. Próbowaliśmy – chcieliśmy tego. Radziliśmy się lekarzy, wszystko było w porządku: po prostu nam się nie udawało. Rozmawialiśmy o adopcji, ale moje życie było zbyt nieobliczalne, ciągle gdzieś jeździłem, a dochody miałem nieregularne. Nawet jeśli udałoby się nam zaadoptować dziecko, Angela musiałaby właściwie sama je wychować. Ciągle to odkładaliśmy, aż w końcu było już za późno. Ale kiedy Angela dowiedziała się, że Frances urodziła moje dziecko, to był koniec naszego związku. Przez lata wiele mi wybaczyła, ale chyba potraktowała to jako ostateczną zdradę.

– Mówisz, że bym nie zostawiał Kathy.

– Tego nie powiedziałem.

– Kocham je obie! – krzyknął Robert, zdziwiony zdecydowaniem w swoim własnym głosie. Piesi czekający na zielone światło przy Damę Street spojrzeli na niego z zakłopotaniem.

– Jimmy złapał go za ramię i pospieszył przez ulicę, manewrując między samochodami, które i tak stały nieruchomo.

– I co z tego? Miłość to nie jest jednorazowe uczucie, które oddajesz jednej osobie. Kochamy wielu ludzi, naszych rodziców, żony, dzieci. Kochamy ich bezwarunkowo. Nie mówię teraz o miłości. Mówię o oddaniu. Której z dwóch kobiet jesteś bardziej oddany?

Skręcili w lewo w Crow Street, kierując się w stronę Tempie Bar. Wąska brukowana ulica pełna była palaczy wylewających się z pubów i restauracji, niektórzy siedzieli nawet na lodowatych

krawężnikach. W ich stronę, stukając obcasami po bruku, szły dziewczyny z jakiegoś wieczoru panieńskiego, przebrane w jednakowe stroje Świętych Mikołajów, kończące się wysoko nad kolanami. Jedna z nich oznaczona była dużą literą P, jako „Panna Młoda”. Odsłonięte zmrożone ciała miały biało-niebieski kolor.

Jimmy zatrzymał się na końcu ulicy.

– Tu cię zostawiam. Jesteś pewien, że nie chcesz wejść na jednego?

– Lepiej nie. Jestem autem.

– Pomyśl o tym, co ci powiedziałem. Nie chodzi o miłość – skoro kochasz je obie – chodzi o oddanie, poświęcenie. Oddanie w przeszłości, obecnie i w przyszłości. Nie byłbyś tym, kim jesteś, gdyby Kathy cię nie wspierała.

– Wiem. Ale moja firma nie przetrwałaby bez zaangażowania Stephanie.

– Przetrwałaby. Tylko byłoby inaczej. Co jest dla ciebie ważniejsze: małżeństwo i rodzina czy kochanka i interes? – Jimmy nagle przesunął się do przodu i objął Roberta, ściskając go mocno. – W przyszłym roku o tej samej porze, gdzie chciałbyś być? I z kim chciałbyś być?

Odsunął się i przeszedł kilka kroków, zanim spojrzał przez ramię.

– Aha – i Wesółch Świąt.

Odwrócił się i zniknął w przepływającym tłumie.

Robert poczekał, aż uda mu się wyjść z Tempie Bar i zaraz potem wyciągnął telefon. Miał zamiar zadzwonić do Stephanie, ale powstrzymał się. Co miał jej powiedzieć? Kręciło mu się w głowie. Wydarzenia wymykały się spod kontroli, w tej chwili miał zdecydowanie za dużo problemów.

Przebiegł przez ulicę, słysząc piszczące klaksony samochodów i wściekłe okrzyki gdzieś z tyłu, po czym poszedł w stronę Trinity College, złoto-czarnego w świetle bożonarodzeniowych iluminacji. Zakochane pary zmierzały w jego stronę, szczęśliwe, uśmiechnięte, i nagle zaczął się zastanawiać, które z nich miały romanse, a które były w prawdziwych związkach. Ale czy to znaczyło, że romans to nie prawdziwy związek? Nieprawda. Zobaczył, że sam sobie przytakuje. Jego bliskość ze Stephanie była prawdziwa. Ale czy postępował fair?

Nie.

Odpowiedź była oczywista i prosta. Nie był w porządku wobec nikogo. Wyciągnął telefon z kieszeni i wybrał numer Stephanie. Odebrała prawie natychmiast.

– Nie spodziewałam się ciebie usłyszeć tak szybko – zaczęła.

– Gdzie jesteś?

– W samochodzie, jadę do domu. Spotkałam się z Sally na drinku w Shelbourne. Wszystko w porządku?

– Nie jestem pewien. Spotkajmy się u ciebie w domu.

Teraz idę wzdłuż Nassau, zostawiłem samochód przed biurem. Mogę zjawić się za jakieś czterdzieści pięć minut.

– Robert... – zaczęła Stephanie, ale wyłączył się. Nie chciał z nią w tej chwili rozmawiać,

potrzebował trochę czasu, żeby pomyśleć.

Nie tak zaplanował ten piątek – nie przypuszczał, że będzie chodził zmarznięty i nieszczęśliwy ulicami Dublina. To miał być dobry dzień: prawie podpisał kontrakt z DaBoyz, kochał się z piękną kobietą i zjadł kolację ze starym przyjacielem.

Aż do chwili, gdy Jimmy przekazał mu, co usłyszał. I wszystko się zmieniło. Czy przesadzał? Mówił, że Simon Farmer wspomniał zespołowi o romansie Roberta ze Stephanie. Znał Farmera – obrzydliwe, wredne beztalencie ze świetnymi koneksjami. Jakimś cudem jego firma od wielu lat dostawała same intratne kontrakty. Farmer był pyskатыm pijakiem i kilka razy przy różnych okazjach mocno pozarli się z Robertem. Spotykali się kilka lat temu na wspólnych zebraniach i zwyczajnie nie mogli się dogadać. Przypominając sobie tę dawną współpracę, Robert uświadomił sobie, że szczególnie nie lubił w Farmerze jednej rzeczy: był plotkarzem, uwielbiał opowiadać pogłoski i roznosić złe wiadomości. Komu jeszcze powiedział?

Robert skrzył w prawo, przecinając Kildare i kierując się w stronę Green. Musiał zaakceptować fakt, że jeśli Farmer wiedział o jego związku ze Stephanie i zauważył, że to ona kieruje w stronę R&K intratne zlecenia, na pewno komuś doniesie. Roberta zakłuło w żołądku – może już to zrobił!

Wyjął komórkę i podszedł do bramy, żeby spojrzeć na ekran. Przewinął nazwiska w książce adresowej, aż znalazł numer Jimmy'ego. Przyjaciel odebrał po pierwszym sygnale.

– Jimmy Moran.

– Tu Robert.

– Zmieniłeś zdanie? Wpadnij.

Robert usłyszał dźwięk szkła. Jimmy otwierał butelkę i nalewał płyn do szklanki.

– Nie, nie mogę. Jadę się spotkać ze Stephanie. Musimy porozmawiać.

– Dobry pomysł.

– Chciałem cię tylko o coś zapytać. Jak dawno temu rozmawiałeś z Farmerem? Mówiłeś, że ostatnio byłeś na spotkaniu reżyserów. Kiedy to było?

– Ostatni weekend listopada. Mogę ci podać dokładną datę, jeśli chcesz.

– Nie, w porządku. Chciałem tylko sprawdzić, od jak dawna Farmer wie.

– Robercie – poważnie powiedział Jimmy – kiedy on o tym wspomniał, nikt nie był specjalnie zdziwiony. Kilka osób pokiwało głowami, jakby od dawna się domyślały. Musisz zaakceptować to, że ludzie wiedzą, i to wiedzą już od jakiegoś czasu... I wiesz co? Większości z nich wcale to nie obchodzi, i tak powinno być. A teraz idź, porozmawiaj ze Stephanie. I pamiętaj, że możesz zawsze do mnie zadzwonić. Zawsze – podkreślił.

– Wiem. Dzięki, Jimmy. Jesteś świetnym kumplem.

Rozłączył się, włożył telefon z powrotem do kieszeni i pobiegł dalej. Musiał dotrzeć do samochodu, spotkać się ze Stephanie i koniecznie z nią porozmawiać.

Dlaczego nikt mu nic nie powiedział? Niedawno był w Belfaście na spotkaniu oddziału BBC w Północnej Irlandii. Stacja przedstawiała nowych redaktorów i omawiała zamówienia na seriale i

filmy dokumentalne. Prawie wszystkie niezależne firmy producenckie z Wielkiej Brytanii były wtedy obecne. Nikt nic nie mówił o Stephanie. Nawet Farmer. Wymienili kilka uprzejmych zdań. Robert zmarszczył czoło, próbując przypomnieć sobie tamto wydarzenie. Czy coś przeoczył? Jakieś subtelne aluzje, wymowne spojrzenia? Kiedy siedział w sali konferencyjnej Hotelu Europa – czy ludzie patrzyli się na niego, szepcząc za plecami, spiskując?

Zaśmiał się – nagły głośny dźwięk sprawił, że młoda para idąca z naprzeciwka skręciła nagle w bok. Ależ był głupi. Oczywiście, że nikt o nim nie mówił. Jimmy miał rację: nikogo to nie obchodziło.

Ale tak nie można żyć – stale zastanawiać się, czy ktoś nie plotkuje; nie można bezustannie martwić się, co o nim myślą inni, i bać się, że żona się dowie. Musiał wszystko poukładać.

Teraz.

Dziś wieczorem.

Rozdział 26

Robert użył swojej karty magnetycznej, żeby otworzyć bramę wjazdową prowadzącą do małego kompleksu mieszkaniowego tuż przy Grand Canal, gdzie mieszkała Stephanie. Miejsce było prawie zupełnie ciemne, jedynie kilka domów świeciło się w ciemności. Kompleks zamieszkiwali głównie single albo młode pary yuppies, choć większe domy kupili także emeryci. Teraz wielu z nich spacerowało zapewne po mieście – była przecież pełnia świątecznego sezonu. Zaparkował audi na pustym miejscu przed numerem 28, tuż obok srebrnego bmw Stephanie. Mimo że miał klucz do jej mieszkania, rzadko go używał, nacisnął więc dwa razy dzwonek, krótko i wyraźnie.

Za bąbelkową szybą coś się poruszyło i pojawiła się Stephanie, ubrana jedynie w brzoskwinowy jedwabny szlafroczek, z włosami owiniętymi ręcznikiem. Pod cienkim materiałem widział jej ciało, jeszcze wilgotne po niedawnym prysznicu, twarde sutki sterczały wyraźnie pod tkaniną. Uśmiechnęła się zalotnie.

– Naprawdę się ciebie nie spodziewałam.

– Nastąpiła zmiana planów.

Pocałował ją szybko i przechodząc obok, wszedł do mieszkania.

Mieszkanie Stephanie było zupełnie inne od domu Roberta. Zawsze czuł się nieco klaustrofobicznie w małych pokojach. Stephanie przedkładała wygodę nad wygląd, więc w salonie stały ciężkie, za duże meble pokryte prążkowanym materiałem, obrzydliwy sekretarzyk z ciemnego drewna z witryną, wypełnioną wizerunkami ręcznie malowanych domków, a ściany oblepiały dziesiątki obrazów malowanych różnymi technikami – głównie farbami olejnymi i akwarelami. Wysokie łądugi suszonych kwiatów w wazonach ze żłobionego szkła stały po obu stronach gazowego kominka. Płaski telewizor LCD został dyskretnie upchany między prawie puste półki z książkami, a pod nim widać było odtwarzacz CD, z którego rozlegała się nowoczesna muzyka w stylu New Age, której Robert nienawdził, a którą Stephanie uwielbiała.

– Wyglądasz, jakbyś miał ochotę na drinka.

Nie czekając na odpowiedź, skręciła w stronę małej kuchni.

– Kawa, nie alkohol – zawołał za nią Robert. Zdjął płaszcz i rzucił go na krzesło, po czym podążył za Stephanie do kuchni i oparł się o framugę. Pomieszczenie było małe i nieskazitelnie czyste – najwyraźniej rzadko używane. Kuchenka też wyglądała sterylnie, ale blat zastawiony był kuchennymi urządzeniami – czajnik, toster, mikrofalówka, filtr do wody i czarno-srebrny ekspres do kawy o nowoczesnym designie.

Pochyliła się, żeby otworzyć lodówkę.

– Mam dobrze schłodzone białe wino...

– Lepiej nie, jestem samochodem.

Stephanie wyprostowała się i na jej czole pojawił się wyraz z troskaniem.

- Nie zostaniesz?
- Nie, nie dzisiaj. Nie mogę.
- Plan był inny – uśmiechnęła się.
- Plan się zmienił.

Stephanie zawiązała ciasniej szlafrok.

- Zrobię kawy.

Robert patrzył w milczeniu, jak wysypuje mieloną kawę do ekspresu. Co takiego było w tej kobiecie, jak się jej udało go usidlić? Była ładna, ale nie piękna, zgrabna, ale nie wychudzona. Miała duże, ale nie za duże piersi. Była zwyczajna. Bardzo zwyczajna. Właściwie, uświadomił sobie nagle z rosnącym uczuciem paniki, wyglądała trochę jak... wyglądała zupełnie jak Kathy, jak młodsza, szczuplejsza wersja Kathy. Robert gapił się uważnie na Stephanie, zdziwiony, przerażony i zafascynowany odkryciem, którego właśnie dokonał. Jak mógł tego dotychczas nie zauważyć? Nie mógł, ponieważ nigdy do tej pory nie zadał sobie pytania, co przede wszystkim zachwyliło go w tej kobiecie.

Patrzył, jak się porusza, świadomy – boleśnie świadomy – że pod szlafrokiem jest zupełnie naga. Stephanie naląła wody do ekspresu i szlafrok rozchylił się, odsłaniając kawałek piersi. Spojrzała na niego z ukosa i poczuł, że został przyłapany.

- Już je widziałeś.

– Jeśli nadejdzie dzień, w którym nie będę chciał na nie patrzeć, to będzie znaczyło, że umarłem.

– Ale były różnice, ogromne różnice między dwiema kobietami. Kathy nigdy nie robiłaby kawy, mając na sobie jedynie cienki szlafroczek. Kathy już go nie rozśmieszała ani nie podniecała. Stephanie robiła to i jeszcze więcej.

Gdzieś głęboko czuł jednak, że nie był całkowicie w porządku wobec Kathy: To dla Stephanie starał się bardziej, próbował ją rozśmieszyć, zadowolić, przynosił jej drobne prezenty, od czasu do czasu bukiet kwiatów. Nie pamiętał, kiedy ostatnio kupił coś małego Kathy albo podarował jej kwiaty.

– Powiesz mi, co się stało? – spytała Stephanie. – Domyślam się, że ma to coś wspólnego z Jimmym, bo wszystko było w porządku – nawet lepiej niż w porządku – kiedy rozstawaliśmy się kilka godzin temu. U niego wszystko dobrze?

- Tak. Jego życie jest w strzępach, jak zwykle.

- Myślę, że on to lubi – zauważyła Stephanie.

– Ale jest coraz starszy, a bałagan w jego życiu jest tym razem większy niż zwykle. Żona w końcu zgodziła się na rozwód.

- To chyba dobra wiadomość...

- I chce w zamian połowę wszystkiego, co Jimmy posiada.

Stephanie spojrzała na niego gniewnie.

- Słusznie. Ma do tego prawo.

– Wiem. On ożeni się z Frances, żeby mogli wychowywać razem dziecko.

– Tak powinno być.

Robert wzruszył ramionami. Zauważył, że Stephanie zupełnie nie współczuła Jimmy’emu.

– Ty chyba się z tym nie zgadzasz – powiedziała Stephanie, przyglądając się mu uważnie.

– Pamiętam tylko, że to Frances sprzedała tę historię brukowcom. Wykorzystała go, żeby się zareklamować w nadziei, że dostanie tamtą rolę.

Kawa zaczęła się parzyć i mocny aromat kenijskiej mieszanki wypełnił małą kuchnię.

– Te rewelacje tak naprawdę były początkiem końca jego małżeństwa.

– Ale przecież jest z Frances – odparła Stephanie, otwierając szafkę i wyciągając dwie maleńkie filiżanki. – Wrócił do niej i zrobił jej dziecko.

– Nalej mi do kubka, dobrze? Do czegoś większego niż ten naporstek.

Stephanie sięgnęła do szafki i wyjęła kubek ozdobiony żółtą śmiejącą się buzią.

– Masz go ode mnie.

– Wiem.

– Frances zrujnowała jego reputację dla kilku linijek w gazecie.

Stephanie zaśmiała się wesoło i głośno.

– Nieprawda. Już nie miał reputacji, którą mogłaby zniszczyć. Wiesz, że wszyscy w Dublinie znali go doskonale. Jednym z powodów, dla którego żadna szanująca się researcherka nie chciała z nim pracować, jest ten, że zawsze je podrywał i oczekiwał, że odwzajemnią zaloty.

Nalała gęstej, czarnej kawy do kubka, potem napelniła swoją maleńką filiżankę.

– Wszyscy wiedzieli, jaki jest.

Robert przyjął z jej dłoni kubek. Pociągnął spory łyk i skrzywił się, jednocześnie delektując się wyrazistym, gorzkim smakiem.

– Ludzie wiedzą o nas, Stephanie – powiedział cicho.

– Jimmy mi o tym powiedział dziś wieczorem.

Zamarła, trzymając filiżankę w jednej, a spodek w drugiej ręce. Potem skinęła głową i mijając Roberta, weszła do pokoju. Jednym zręcznym ruchem skuliła się na sofie, podwijając pod siebie gołe nogi.

Robert przyszedł za nią z kuchni.

– Słyszałaś, co powiedziałem?

Usiadł w fotelu naprzeciwko Stephanie.

– Ludzie wiedzą o nas.

Pokój był spokojny i cichy, jeśli nie liczyć dzwonek z odtwarzacza CD. Zachowanie Stephanie i brak reakcji z jej strony znaczyły jedno: nie była zaskoczona tą wiadomością. On był zupełnie zbity z tropu, gdy Jimmy powiedział, co wie. Jej reakcja powinna być podobna, chyba że...

– Wiedziałaś – był zaszokowany i nagle poczuł się zdradzony. – Wiedziałaś i nic mi nie powiedziałaś.

– Tak, wiedziałam.

Robert oblizał spierzchnięte wargi i ponownie przełknął trochę kawy.

– Od jak dawna... dlaczego nie... co z twoją pracą?

– Od kilku miesięcy krążyły plotki o naszym związku – w końcu odezwała się Stephanie. – Ignorowałam je. Nasza branża opiera się na plotkach i pogłoskach. A kiedy dwoje ludzi często widywanych jest razem, wszyscy będą mielić językami, nawet jeśli nie mają racji. Miesiąc temu wezwano mnie do szefostwa. Charles Flinton zapytał wprost, czy ja i ty jesteśmy ze sobą.

– Zaprzeczyłaś – natychmiast odparł Robert.

– Potwierdziłam.

Robert gapił się na nią otępiałym wzrokiem.

– Mieć z tobą romans to jedno – on ma to gdzieś. Ale przekazywanie ci zleceń to co innego. Jednak dopóki jesteśmy uczciwi, da się to jakoś przeżyć. Nie mogłam go okłamać. Jeśli zadał mi to pytanie, na pewno znał na nie odpowiedź. Powiedziałam mu prawdę.

Roberta zamurowało. Chciał zapytać o tyle spraw, ale nie mógł znaleźć właściwych słów.

– Zrobiłam słusznie. Miał przy sobie kontrakty na zlecenia, które ci załatwiłam, i zestawienia kosztów. Porównał rachunki z innymi propozycjami i obiektywnie ocenił ostateczne rezultaty przetargów.

Wzruszyła ramionami.

– Wszystko było w porządku. Robert w końcu odzyskał głos.

– Więc ile osób wie? Stephanie zamyśliła się.

– Dlaczego pytasz? W czym problem?

– Bo jeśli ludzie wiedzą, to tylko kwestia czasu, kiedy Kathy też się dowie.

Twarz Stephanie stała się nagle maską bez wyrazu. Skupiła się wyłącznie na swojej kawie.

– Chciałem sam jej o tym powiedzieć. Kiedy nadejdzie właściwy czas.

– A kiedy on nastąpi, Robercie?

– Wtedy, kiedy nastąpi. Kiedy się pozbieram – wymamrotał.

– Ale kiedy to będzie? I co oznacza „pozbieram się”?

Teraz Robert wpatrywał się w swoją kawę. Nie tak miało być. Jadąc tu, obmyślił różne wersje rozmowy, którą zamierzał odbyć ze Stephanie. Zamierzał wytłumaczyć jej, że ludzie z branży podejrzewali ich o romans, i że dla dobra jej pozycji w firmie powinni odpocząć od siebie przez jakiś czas. Nie będą się spotykać przez kilka tygodni, może nawet kilka miesięcy, a inni szybko zapomną. Informacja Stephanie – że jej szef już wie, a ona potwierdziła krążącą plotkę – wszystko zmieniła.

– Jesteśmy kochankami od osiemnastu miesięcy. Dokąd zmierzamy? Jaka jest nasza przyszłość?

Zadawał sobie te same pytania.

– Opowiadałeś mi, jak bardzo jesteś nieszczęśliwy w swoim domu. Zasugerowałeś – nie, więcej niż zasugerowałeś – powiedziałeś mi, że zostawisz Kathy...

– Jestem pewien, że nigdy tego nie powiedziałem.

– Może nie tymi słowami, ale tak cię rozumiałam.

Inaczej nie związałam się z tobą. Mówiłeś, że odejdziesz od niej, kiedy przyjdzie czas.

Słyszała wyraźnie gorzkość i złość w jej głosie.

Skinął szybko głową. Tak powiedział. Pamiętał, jak to obiecywał. Spędzili cały dzień w łóżku, tutaj, w jej mieszkaniu. Był wykończony, trochę pijany. Mówił wiele rzeczy.

– A kiedy przyjdzie właściwy czas? – ciągnęła Stephanie. – W tym miesiącu? Nie, nie w tym miesiącu, bo są święta, i nie chcesz zrujnować rodzinie Bożego Narodzenia. Ale nie przejmujesz się tym, że zepsujesz święta mnie.

Może w przyszłym miesiącu. Jednak to początek nowego roku i pewnie tego też nie chcesz psuć. Na pewno nie w lutym – wtedy będą urodziny Teresy i nie możesz jej zafundować takiego prezentu. Marzec? Wiesz co? Z pewnością pojawi się kolejny problem.

Stephanie zamilkła. Potem westchnęła.

– Jestem zmęczona. Nie chcę teraz o tym rozmawiać.

Robert pokiwał głową. On też nie chciał. Zdziwiła go złość, którą usłyszał w jej głosie.

– Umówiłam się dzisiaj na drinka z Sally...

– Czy ona wie?

– Oczywiście, że tak. Wiedziała od samego początku. Robert zacisnął powieki. Czy istniał ktoś, kto jeszcze nie wiedział?

– Ostrzegala mnie, żebym nie wiązała się z żonatym facetem. Tłumaczyła dokładnie, co się stanie, i wiesz co? Do tej pory miała rację. Całkowitą.

– Stephanie – zaczął Robert. Zdenerwował się, widząc łzy w jej oczach. – Może rzeczywiście to nie jest właściwa pora. Oboje jesteśmy zmęczeni. Prześpijmy się.

– To chyba dobry pomysł.

Wstała szybko, podniosła płaszcz Roberta i podała mu go.

– Do zobaczenia. Jutro porozmawiamy.

Skinęła głową, odprowadzając go do drzwi. Położyła mu dłoń na ramieniu.

– Nie potrafię uwierzyć, że zrobiłeś ze mnie idiotkę. Nie chcę nawet myśleć, że mnie wykorzystywałeś.

Pochyliła się i pocałowała go delikatnie, muskając ustami jego wargi.

– Jutro. Powiedz mi prawdę. Nie zawieź mnie.

– Dobrze – odparł Robert, czując smak szminki na ustach, zdziwiony łagodnym tonem jej głosu. Podeszedł do samochodu, wcisnął pilota, otworzył drzwi i wsiadł, nie odwracając się. Sadowiąc się w fotelu kierowcy, popatrzył na drzwi wejściowe. Stephanie już je zamknęła i widział tylko brzoskwinowy kolor jej szlafroka, kiedy szła w głąb korytarza. Zazwyczaj czekała w drzwiach, aż dojedzie do bramy. Chwilę później światło w salonie zgasło. Potem wyłączyło się także to w kuchni. Przekręcił kluczyk w stacyjce i wrzucił wsteczny. Zapaliło się światło w sypialni, ciepłe i żółte na tle zasłon. Zobaczył jej cień poruszający się w tle. Wiedział, jak wygląda

sypialnia, jak wspaniale jest mu w łóżku, kiedy czuje ciało Stephanie tuż obok siebie. Oczekał chwilę, zastanawiając się, czy wyjrzy. Nie wyjrzała i światło zgasło. Robert wrzucił bieg i odjechał.

Rozdział 27

– Nie byłam pewna, czy wrócisz dziś do domu.

Zaskoczył go cichy głos żony dobiegający z ciemnej sypialni.

– Nie chciałem cię budzić.

– Nie obudziłeś.

Kathy nie spała. Mógł jej to wyznać w tej chwili, usiąść na krawędzi łóżka i szeptem wypowiedzieć w ciemności prawdę.

Ale co niby miałyby jej powiedzieć?

Gdyby przedstawił całą tę historię, musiałyby od razu przejść do konkluzji. A nie wiedział, jaka miałyby ona być. Którą wersję chciał opowiedzieć żonie – że ma romans ze Stephanie czy że usłyszał od Jimmy'ego plotkę, że ma romans ze Stephanie, co jest nieprawdą? Co właściwie powinien zrobić? To pytanie dręczyło go w drodze do domu. Zostać z Kathy czy odejść ze Stephanie?

Robert pociągnął za krawat, poluzował węzeł i usłyszał podobny do dźwięku zamka błyskawicznego szelest jedwabiu. Krawat rzucony na krzesło stojące obok toaletki ześlizgnął się na podłogę. Oczywiście nie było to aż takie proste. Jeśli powie Kathy o swoim romansie, czy żona z nim zostanie? Pamiętał, jak zareagowała sześć lat wcześniej. Może, jeśli teraz się przyzna, każe mu się wynosić i podejmie ostateczną decyzję. Czy tego właśnie chciał? Żeby Kathy się dowiedziała, żeby podjęła decyzję? Robert zacisnął oczy, czując do siebie obrzydzenie.

– Wypiłem tylko kilka drinków i nie było strasznych korków.

Ściągnął marynarkę, przewiesił ją przez oparcie krzesła i zaczął rozpinać koszulę.

– Dzwoniłam wcześniej.

Jej głos był trzeźwy i wyraźny – nie brzmiał wcale tak, jakby dopiero się obudziła.

– Nie słyszałem.

– Od razu włączyła się poczta głosowa. – Poszliśmy do Market Bar przy George's Street – pewnie kamienne ściany zagłuszyły sygnał.

Jadąc do domu rozważał, czy powiedzieć Kathy. Czy mają obudzić, wziąć za rękę i przyznać się. Ale Stephanie miała rację. Święta były tak blisko. Wesołych Świąt. Mam romans.

To była wersja emocjonalna. Potem wtrącił się rozsądek i zapytał, dlaczego w ogóle miałby mówić Kathy cokolwiek. Odpowiedź była prosta – chciał się przyznać, zanim ktoś inny jej powie, a on będzie mógł opowiedzieć własną wersję całej historii i pokazać się w dobrym świetle. Potem przypomniał sobie, że Kathy właściwie nie interesowała się już firmą. Nie pamiętał nawet, kiedy ostatnio wpadła do biura, będąc w mieście. A teraz, skoro Maureen była chora, nie było nikogo, kto mógłby go wydać. Może w ogóle nie warto poruszać tego tematu? A może powinien jedynie porozmawiać jutro ze Stephanie i porozumieć się z nią, zanim cokolwiek powie Kathy?

Problem w tym, że nie wiedział, czego naprawdę chciała Stephanie. Nie podobała mu się ich rozmowa dzisiejszego wieczoru. Wcześniej było wesoło i miło: jedli wspólnie, kochali się, kiedy mieli na to ochotę, cieszyli swoim towarzystwem. Zawsze był świadomy tego, że Stephanie oczekiwała czegoś więcej; wiedział też, że coś jej obiecał, ale miało się to zdarzyć w bliżej nieokreślonej przyszłości, kiedyś, gdy „będzie inaczej”.

Cokolwiek to znaczyło.

Kiedykolwiek miałoby to nastąpić.

– Co u Jimmy'ego?

– Wszystko dobrze. Pozdrawia cię.

– Dziwię się, że mnie jeszcze pamięta.

– Oczywiście, że tak.

– Więc nie poszliście do Shanahana?

Znów to samo, wyraźna podejrzliwość. To jednak nie on popadał w paranoję spowodowaną dzisiejszymi wydarzeniami; chodziło o coś więcej, znacznie poważniejszego.

– Zadzwoń tam rano i złożę skargę. Jestem pewien, że Maureen robiła rezerwację, ale oni twierdzą, że jej nie mają.

Nagle zdał sobie sprawę, że to chyba była ich najdłuższa od pewnego czasu rozmowa.

– A co mówi Maureen?

– Maureen jest chora.

– Nie mówiłeś o tym.

Wyczuł oskarżycielski ton w jej głosie.

– Na pewno wspomniałem.

– Z pewnością bym zapamiętała – krzyknęła. – Pracowałam z Maureen, pamiętasz? Od jak dawna jest chora?

– Trzy... cztery tygodnie – mruknął Robert. Cholera, cholera, cholera. Po co w ogóle otwierał usta i wymówił imię Maureen? Teraz najprawdopodobniej Kathy będzie chciała z nią porozmawiać. A tego bardzo nie chciał. Postanowił, że musi spotkać się z Maureen jeszcze przed świętami, wręczyć jej mały prezent i wspomnieć o nowym zleceniu, które dostali dzięki Stephanie.

– I nic mi nie powiedziałeś!

Kathy na chwilę podniosła głos, po czym znów go ściszyła.

– Nic mi nie powiedziałeś. Zadzwońalabym do niej, odwiedziła.

Jezu, czy ona nie rozumiała, że ma w tej chwili zbyt wiele na głowie? Gdyby bardziej interesowała się firmą, wiedziałyby o Maureen. Gdyby bardziej interesowała się nim, być może nie miałby romansu.

– Byłem zajęty. Widocznie zapomniałem.

– Co jej jest?

– Infekcja płuc czy coś takiego. Nie wróci do pracy aż do Nowego Roku. A to najgorętszy czas.

– Mówisz tak, jakby specjalnie zachorowała. Nie pamiętam, kiedy ostatnio była chora. A ty pamiętasz?

Robert nie odpowiedział. Wszedł do łazienki, zamknął za sobą drzwi, włączył światło i wziął do ręki elektryczną szczoteczkę. I co z tego, że będzie chciała odwiedzić Maureen? Podejrzewał, że Maureen wiedziała o jego romansie – cholera, chyba cała branża telewizyjna o nim wiedziała. Nawet jeśli Kathy spotka się z nią wcześniej, Maureen nie jest głupia. Wie, w jakiej kondycji znajduje się firma, i zdaje sobie sprawę, że tylko dzięki zleceniom od Stephanie utrzymywali się na powierzchni, a ona sama dostawała pensję. Nic nie powie. Ale i tak będzie lepiej, jeśli się z nią spotka jak najszybciej. Może jutro. Nie, w niedzielę albo w poniedziałek. Zadzwoń do niej. Nie zaszkodzi, jeśli delikatnie napomknie, kto wypłaca jej pensję, a także wspomni, że w tym wieku nie dostanie łatwo tak ciepłej posadki. Maureen wydawało się, że ma świetne kontakty w świecie biznesu. Ale czas mijał i powoli, jeden po drugim, jej koledzy stawali się zupełnie bezużyteczni, bo starzy znajomi byli zastępowani nowymi ludźmi.

Robert postanowił, że zadzwoni do niej rano, bo kobiety, jak przypuszczał ze swojego dość niewielkiego doświadczenia, zwykle trzymają się razem. Na przykład ta Sally, przyjaciółka Stephanie, ciągle ją przed nim ostrzegała. Dlaczego nie pilnowała własnego nosa? Jeśli zatem Kathy pójdzie do Maureen ze swymi wątpliwymi podejrzeniami, Bóg jeden wie, czego się dowie. Tak, lepiej będzie, jeśli zadzwoni do niej rano, zanieś bukiet kwiatów i świąteczną premię. To jej zamknie usta.

– Kto teraz pracuje w sekretariacie? – spytała Kathy, kiedy wyszedł z łazienki. Białe światło zalało sypialnię, więc szybko zamknął drzwi, widząc, jak żona podnosi dłoń, żeby zasłonić oczy.

– Stażystka. Illona. Chyba Rosjanka. Dostałem ją z agencji. Jest świetna.

– Może Illona zrobiła rezerwację? – zasugerowała.

Robert wyjął świeżą piżamę i założył spodnie.

– Może. Ale to było jakieś cztery tygodnie temu. Jestem pewny, że Maureen jeszcze wtedy pracowała. I tak złożę skargę w restauracji, jak tylko znajdę rano chwilę.

– Chcesz, żebym zrobiła to za ciebie?

Coś w jej głosie, jakaś nieoczekiwana chęć, zdenerwowało go. Słyszał ten ton już wcześniej i wiedział, wiedział na pewno, że Kathy go podejrzewa. Znów. Tyle że tym razem miała powód. Czuł, że serce bije mu w piersi jak oszalałe, a ręce drżą. Wziął głęboki oddech i spróbował uspokoić głos, potem uśmiechnął się w ciemności.

– Jeśli znajdziesz czas – byłoby świetnie. Stolik dla dwóch osób, piątek wieczór, dziewiętnasta trzydzieści, na nazwisko moje albo Jimmy’ego Morana. Podałem także jego, gdyby przyszedł przede mną.

Pozwolę jej sprawdzić, pomyślał. Niczego nie odkryje i może to uspokoi jej podejrzenia.

Wszedł do łóżka. Pościel wydała mu się lodowata, być może dlatego, że on sam był rozpalony. Pochylił się i niedbale pocałował żonę w policzek.

– Dobranoc – mruknęła i odwróciła się od niego.

Jak zwykle. Nie zapytała, jak minął mu dzień, co robił, ledwo pamiętała, by spytać go o miniony wieczór. Rozzłościł się. Dlaczego to znosił? Jaka będzie jego przyszłość? Czy miał spędzić kolejne lata na spełnianiu pozbawionego miłości obowiązku, coraz bardziej oddalając się od Kathy, aż w końcu nie zostanie między nimi nic prócz goryczy?

Miał jednak inne wyjście.

Miał Stephanie.

Kochał ją, a ona kochała jego. Kochała być z nim. Mieli wspólną szczęśliwą przyszłość. Ale Stephanie nie będzie czekała wiecznie. I, jak powiedziała dziś, nie chce już czekać dłużej.

A dzieci? Co z dziećmi?

Zasnął, jednak potem przewracał się i wiercił. Śniło mu się, że ściga Brendana i Theresę w Market Bar. Ciągle mu uciekali, a przy każdym stoliku siedziały Kathy i Stephanie.

Rozdział 28

Sobota, 21 grudnia

– Mówiłem wam, że lepiej kupić mniejsze drzewko.

– Tato! Przecież wiesz, że zawsze kupujemy największe, jakie znajdziemy – upierała się Theresa.

– A potem spędzamy godziny na odcinaniu czubka przypomniał siostrze Brendan.

– Jakie „my”? – spytał Robert. – Wygląda na to, że tylko ja w tej chwili coś piłuję.

– A my przytrzymujemy – odparł nastolatek.

Przed godziną Robert z dziećmi wybrał się do Swords po choinkę. Od wielu lat, zgodnie z ich rodzinną tradycją, starali się kupować drzewko jak najpóźniej, ale trudno było ten zwyczaj utrzymać, bo w oknach sąsiadów choinki pojawiały się już na początku grudnia i stały potem aż do stycznia. Tradycyjnie też Kathy zawsze narzekała na drzewko – zbyt wysokie, zbyt gęste, za rzadkie, za bardzo przechylone.

Ale przynajmniej tego ranka mieli spokój i Robert był wdzięczny za tę małą łaskę. Mimo że Kathy była jeszcze w łóżku, kiedy wyruszyli po choinkę, wyszła z domu godzinę później, zanim zdążyli wrócić. Na stole leżała kartka: *Poszłam na zakupy*.

Roberta to nawet ucieszyło. Kiedy wciągnął drzewko do domu i wygrzebał z garażu dekoracje, postanowił spotkać się ze Stephanie. Spojrzał na zegarek – musi wyjść, zanim Kathy wróci i wywoła nową awanturę.

Ale drzewko było za wysokie i nie mieściło się w pokoju.

Spędził koszmarne pół godziny, odpiłowując pniak. Umazał się klejącą żywicą i pokłuł drobnymi igłami. W każdej chwili spodziewał się usłyszeć nadjeżdżający samochód Kathy. W końcu udało mu się odpiłowac jakieś osiemnaście cali, i razem z Theresą podtrzymującą czubek i Brendanem trzymającym środek wnieśli choinkę przez kuchenne drzwi.

– Możemy ją postawić w holu – rzucił głosem zduszonym nieco przez gałęzie, które smagały go po twarzy.

– Tato! – pisnęła z oburzeniem Theresa. Co roku proponował to samo i co roku ustawiali drzewko w salonie.

– Kiedy wreszcie postawili choinkę w rogu pokoju w wiadrze wypełnionym kamieniami, Robert spojrzał znacząco na Brendana.

– Wiem, wiem – odezwał się syn. – Trzeba posprzątać igły. Zaraz to zrobię.

– A ja przyniosę dekoracje. Potem umyję się i jadę do biura na jakąś godzinę.

– Tato! Musisz?

– To sprawa DaBoyz! – pochylił się i pogłaskał Theresę po policzku. – Pomyśl, jeśli dostanę

to zlecenie, będziesz mogła przyjść na plan podczas kręcenia teledysku.

Theresa spojrzała na niego obojętnie, w charakterystyczny dla nastolatek sposób.

– Wątpię!

– Myślałem, że są dobrzy – powiedział zdziwiony. – Na fali. Pokazali się w *Top of the Pops**

[*Top of the Pops* – nadawany od wielu lat brytyjski program muzyczny (przyp. tłum.)].

– I byli do kitu – odparła Theresa. – Ich ostatni singiel w ogóle nie wszedł na listy. A Ben – solista...

– Który to?

– Ogolona głowa, szpiczasta bródka.

Robert pokiwał głową, ledwo przypominając sobie młodego człowieka. Wydawało mu się, że wszyscy członkowie grupy wyglądali podobnie.

– Ben jest w gejowskim związku z Vivem, perkusistą dodała poważnie Theresa.

Robert przytaknął i ugryzł się w język, by tego nie skomentować. Miał nadzieję, że jego córeczka nie wie, co to jest „gejowski związek”, ale bał się spytać w obawie, że jednak wie.

– Ostatnio mówili w MTV, że mają się rozstać.

Zobaczyła wyraz twarzy ojca i uśmiechnęła się.

– Jesteś pewien, że chcesz kręcić ten teledysk?

Robert oblizał spierzchnięte wargi, czując smak sosny i goryczy.

– Nie, nie jestem pewien.

– Może to błąd, tato – odezwał się Brendan, który wrócił do jadalni, dźwigając odkurzacza. – Jeśli już mają się rozstać, to takie zespoły zwykle winią wszystkich, tylko nie siebie. A teledysk jako winowajca to świetna wymówka.

– Szkoda, że nie porozmawiałem z wami wcześniej – mruknął Robert, wychodząc z pokoju.

– Zawsze do usług, tato – zawołał za nim Brendan. – Czy dostaniemy za to jakiś procent z zysków?

Robert wszedł do swojego gabinetu, zamknął drzwi i po chwili zastanowienia przekręcił klucz w zamku. Skrzyżował ramiona i gapił się przez okno na nagi zimowy ogród, nie wiedząc, co ma myśleć. Wielkie zlecenie, wielka szansa mogły okazać się wcale nie tak wspaniałe, jak sobie wyobrażał. Powinien porozmawiać o tym ze Stephanie – ona będzie wiedziała, co robić.

Usiadł na krześle i sięgnął po komórkę. Nigdy nie dzwonił na domowy telefon Stephanie – nie chciał, by billingi pokazały niezliczone rozmowy na ten sam numer. Wcisnął szybkie wybieranie i czekając na połączenie, przeglądał korespondencję w koszyku. Był ostatnio tak zajęty, że nie miał czasu się tym zająć. Wepchnął wszystko do teczki, wychodząc z biura w poniedziałek wieczorem. Zamierzał przejrzeć pocztę w domu w ciągu tygodnia, ale jak do tej pory nawet na nią nie spojrział.

– Jak... jak się czujesz? – spytał, jak tylko Stephanie odebrała.

– Jestem zmęczona.

– Chcesz się ze mną spotkać?

– Zawsze chcę się z tobą spotkać – prawie słyszał, że się uśmiecha.

– Zamierzałem zadzwonić. Nie wiem, ile czasu zajmie mi dojazd. Korki na pewno będą koszmarnie.

– Właściwie jadę teraz do miasta. W Stephen's Green jest darmowy koncert kolęd.

– O której?

– Zaczyna się o drugiej.

– To może spotkamy się na miejscu? Posłuchamy kolęd, a potem pójdziemy coś zjeść.

– Dobrze – odparła krótko. – Zadzwoń do mnie, kiedy dotrzesz do centrum.

Telefon zamilkł.

Robert siedział przez chwilę wpatrzony w słuchawkę. Rozmowa była krótka i niezbyt miła. Odłożył telefon i przejrzał szybko papiery w koszyku.

Przez moment myślał, że dostanie zawału.

W pliku dokumentów leżał wyciąg z Visy w MBNA. Jak się tutaj znalazł? Musiał zabrać go z pocztą, którą przyniósł z biura do domu. Skorzystał z oferty na kartę kredytową wkrótce po tym, jak zaczął się jego romans ze Stephanie. Myślał, że będzie to dobry sposób na wydawanie pieniędzy bez wiedzy Kathy. To ona prowadziła domową księgowość i płaciła wszystkie rachunki. Nie chciał, żeby zaczęła wypytywać o niektóre wydatki. Zwykle biznesowe koszty ciągle pokrywał kartą BOI, ale zakupów mających związek wyłącznie ze Stephanie dokonywał za pomocą nowej karty. Wyciągi przychodziły do biura i spłacał je czekiem każdego miesiąca. Zazwyczaj wydatki te opisywał jako fikcyjne spotkania służbowe, najczęściej obiady.

Obracał wyciąg w rękach. Czy Kathy go widziała? Mało prawdopodobne. Rzadko wchodziła do jego pokoju i nie miałaby powodu, żeby przeglądać pocztę.

Chyba że coś podejrzewała.

Ta myśl powoli i podstępnie zaczynała świtać mu w głowie.

Czuł, że coś podejrzewała.

Przejrzał wyciąg. Nie było tak źle, jak się obawiał: większość zakupów mógł wytłumaczyć służbowymi wydatkami, a książki i płyty, które podarował Stephanie, posłużą jako rzekomy materiał pomocniczy do filmów dokumentalnych. Research zamaskuje wiele grzeszków. Odwrócił stronę. Cholera! Na drugiej stronie widniały trzy transakcje, które mogą okazać się trudne do wytłumaczenia. W biurze miał podpiętą kablówkę, na której podczas pracy często oglądał QVC, kanał zakupowy, zwłaszcza gdy akurat sprzedawali filmowe gadzety, które zbierał. Kupił tam też jednak bransoletkę dla Stephanie – część jej prezentu urodzinowego – płacąc nową kartą, a potem zamówił bukiet kwiatów przez Internet. Zabrał też Stephanie do Białej Orchidei w Dublinie i tam zapłacił rachunek Visą.

Dobra. Jaki był najgorszy możliwy scenariusz? Kathy widziała ten wyciąg. Jeśli tak było, prawdopodobnie zapyta go o tę kartę. Może ją jakoś zbyć. Wytłumaczyć książki, płyty. Ale te trzy transakcje...

Cóż, wyciąg pokazywał jedynie kwotę, bez wymieniania kupionych rzeczy.

Rachunek z QVC przypisze do sprzętu komputerowego. W biurze posiadał kilka przedmiotów – bezprzewodową myszkę, karty pamięci – które może pokazać Kathy, jeśli będzie to konieczne. I tak nie ma pojęcia, ile kosztowały.

Kwiaty. Urodzinowy prezent albo podziękowanie. Może bukiet z pozdrowieniami dla Maureen – musi pamiętać, by naprawdę go jej wysłać, gdyby Kathy zapytała o kwiaty.

Kolacja. Hm, to może być jakakolwiek służbowa kolacja.

OK.

Usiadł w skrzypiącym fotelu i zastygł, zdając sobie nagle sprawę z tego, co robi. Tworzył najgorszy możliwy scenariusz, w razie gdyby Kathy oskarżyła go. A jeszcze wczoraj wieczorem miał zamiar wszystko jej wyznać. Więc czego, do cholery, naprawdę pragnie: zostać z Kathy czy odejść ze Stephanie?

Jednego i drugiego, pojawiła się cyniczna myśl. Jednego i drugiego.

Rozdział 29

– Cholera, cholera, cholera. Nie traciła czasu.

Robert zwolnił zaraz po skręceniu w Finglas Road. Samochód Kathy stał przed domem Maureen. Pamiętał dobrze to miejsce – kiedy R&K miała kręcić program w rodzaju „Dom nie do poznania”, wykorzystali mieszkanie Maureen do odcinka pilotowego. Zbudowali bardzo ładną oranżerię. Miał nadzieję, że Maureen i Kathy siedzą tam teraz, a nie patrzą, jak kręci się w pobliżu. Spojrzał na kwiaty leżące na tylnym siedzeniu. Wygląda na to, że Maureen ich dzisiaj nie dostanie. Chciał wpaść do niej bez uprzedzenia, zobaczyć, „jak się czuje”, i dać jej premię świąteczną – czek na tysiąc euro włożony do koperty przypiętej do bukietu. Miał zamiar delikatnie zasugerować, że mógł jej wypłacić premię także dzięki zleceniom od Stephanie. Ale cóż, premii też dzisiaj nie dostanie. Przyspieszył, z trudem opierając się pokusie zajrzenia przez okno do domu Maureen.

Dotarcie z Finglas do centrum zajęło mu kolejną godzinę. W końcu zostawił samochód na parkingu Christchurch, gdzie na najwyższym poziomie ciągle były wolne miejsca, mimo że wielkie znaki parkingowe w całym mieście pokazywały, że wszędzie jest komplet.

Założył gruby tweedowy płaszcz i owinął szyję jedwabnym szalikiem, po czym pospieszył w miasto. Temperatura wahała się w okolicy zera, ale Dublin wyglądał pięknie w mroźnym grudniowym świetle. To był jeden z tych rzadkich zimowych dni, kiedy niebo było bezchmurne, a nisko wiszące słońce oświetlało ulice złotym cieniem. Katedra Świętego Patryka widoczna naprzeciwko wyraźnie odcinała się na tle niebieskiego nieba, można było dostrzec każdą pojedynczą cegłę, każdą dachówkę. W całym mieście grały dzwony; to dzwonnicy ćwiczyli przed Pasterką. Obserwując chmurkę oddechu wydobywającą się z ust, Robert poczuł atmosferę Bożego Narodzenia.

Nigdy za nim nie przepadał. Miał zbyt wiele złych wspomnień z młodości. Rodzice wiecznie się kłócili, matka piła, prowokowana przez nieczulego ojca – to wszystko czyniło święta i każdy inny czas, kiedy musieli żyć ze sobą jak normalna rodzina, męczącym koszmarem. Kiedy rodzice w końcu się rozstali, spędzał Boże Narodzenie z matką, wysłuchując jej narzekań na ojca, a w dzień Świętego Stefana jeździł do ojca, wysłuchując skarg na matkę.

Nie chciał, by jego własne dzieci przeżywały to samo, by musiały wybierać między jednym a drugim rodzicem.

Pragnął nigdy nie dopuścić do takiej sytuacji, a jednak... to, co robił, mogło do niej doprowadzić. Kiedy pierwszy raz szedł do łóżka ze Stephanie, nie myślał o konsekwencjach. Bawili się, dwoje dorosłych robiło to, co robią dorośli, nie krzywdząc nikogo.

Ale to nieprawda. Nawet jeśli Kathy i dzieci nigdy nie dowiedzą się o jego romansie, i tak zniszczył on to małżeństwo. Robert potrząsnął głową. Nie, to nie romans zniszczył małżeństwo,

on sam to zrobił.

Długa droga do miasta pozwoliła mu jednak podjąć pewną decyzję. Bardzo chciał przeżyć święta bez kłótni, jeśli będzie to możliwe. Głęboko w sercu kiełkowała jednak myśl, że chce raczej przetrwać ten czas, nie będąc zmuszony do podjęcia bardziej zdecydowanych kroków. Jeśli będzie wystarczająco sprytny, może mu się to uda. Potrzebował jedynie trochę więcej czasu, żeby wszystko przemyśleć. Kilka dni, tydzień, może miesiąc, i coś zdecyduje.

Coś w podświadomości syknęło: „Tchórz”. I musiał się z tym zgodzić.

Przeszedł przez centrum handlowe przy Hotelu Westbury i skierował się w stronę Grafton. Droga była zatłoczona i musiał przepychać się między hordami kupujących: przytulonych do siebie nastolatków, matek pchających wózki, ojców niosących na rękach niemowlaki i ciągnących za rękę starsze dzieci. Kto normalny zabiera dzieciaki do miasta na kilka dni przed świętami? Jednak gdy jeszcze raz spojrzął na dzieci i ich rodziców, żadne nie wydawało się nieszczęśliwe. Uśmiechali się zadowoleni i Robert przypomniał sobie, że kiedy Brendan i Theresa byli mali, on i Kathy zabierali ich do centrum, żeby zobaczyli porozwieszane na ulicach świetlne dekoracje, obejrzeliby wystawy i nacieszyli się świąteczną atmosferą.

Byli wtedy szczęśliwi we czwórkę, często się śmiali – jako para i jako rodzina. Próbował sobie przypomnieć, kiedy to się skończyło. Nie było jednej takiej chwili. Zwyczajnie tak się stało: świat się zmienił. Dzieci dorosły, on zaczął pracować więcej i więcej, żeby utrzymać ich życie na dotychczasowym poziomie, a z Kathy oddalili się od siebie. Przepchnął się przez wejście do centrum handlowego Stephen's Green, wyjął komórkę i wcisnął numer Stephanie. Czekał dłuższą chwilę, zanim odebrała.

– Gdzie jesteś? – spytała od razu.

– Przy wejściu do centrum handlowego.

– Zostań tam. Znajdę cię. To jakieś szaleństwo. Robert wyłączył telefon i nerwowo czekał w okrągłym przedsionku. To było chyba jedno z najbardziej odsłoniętych miejsc w Dublinie – tłumy ludzi przepływały koło niego, witając się i pozdrawiając, wchodząc i wychodząc z centrum. Już zdążył zauważyć kilka znajomych twarzy.

I nagle Stephanie stanęła tuż przed nim. Z powodu zimna opatulona była w jasnoczerwonej kurtkę, na głowie miała trykotową czapkę w tym samym kolorze, a czarne narciarskie spodnie włożyła w kozaki obszyte wełną. Grube ubranie zakrywało jej ciało i widać było tylko mały fragment twarzy – oczy, usta i nos – podobieństwo do Kathy było uderzające.

Pochylił się i pocałował ją szybko w policzek, potem złapał za ramię, prowadząc dalej od wejścia.

– Gdzie zostawiłaś swoje sanie? – zażartował.

– Zaparkowałam na górze, obok innych reniferów. Robert pociągnął ją przez drogę, zostawiając z tyłu wejście do Green. Gdzieś z parku dochodził dźwięk *Away in a Manger* wyraźnie rozlegający się ponad hałasem samochodów, dźwiękiem tramwajów i szumem zgromadzonego tłumu.

– Chcesz tam pójść?

Potrząsnęła głową.

– Chór jest głośny, ale okropnie fałszuje, a park pełen ludzi. Przejdźmy się i pooglądajmy obrazy.

Wielka wystawa została umieszczona na wolnym powietrzu na sztalugach rozstawionych dookoła centrum. Dziesiątki artystów pokazywało tu swoje prace. Młodszy stali zdenerwowani przy swoich obrazach, rozmawiając z każdym, kto zatrzymał się, by na nie popatrzeć. Starsi, bardziej doświadczeni, siedzieli na krzesłach lub stali przy otwartych samochodach, pozwalając, by ich sztuka przemawiała sama.

– W prawo czy w lewo? – wesoło zapytała Stephanie.

– W prawo – odparł Robert, łapiąc ją za rękę i prowadząc w stronę przystanku tramwajowego, i – co ważniejsze – dalej od tłumu przechodniów. Gdyby poszli w przeciwnym kierunku, musieliby przejść obok Dawson Street i Shelbourne.

– Przepraszam za wczoraj... – zaczął.

– Ja też – odparła natychmiast. – Powinam ci była powiedzieć, że nasz związek nie jest już tajemnicą. Ale żyjesz w tak ogromnym stresie, że nie chciałam ci jeszcze dokładać problemów.

– Byłoby lepiej, gdybyś mi powiedziała. Kiedy Jimmy wyskoczył z tymi rewelacjami wczoraj wieczorem, myślałem, że dostanę zawału.

Stephanie spojrzała na niego ze zdziwieniem. Zatrzymała się, żeby rzucić okiem na obrzydliwie abstrakcyjne jaskrawozielone malowidło, pomazane smugami czerwieni i fioletu. Zbliżyła się, by mu się dokładniej przyjrzeć.

– Powiedz – wyszeptala tak cicho, że Robert musiał się pochylić, żeby coś usłyszeć. – Kochasz mnie?

Instynktownie chciał od razu odpowiedzieć „tak”, ale coś w tym pozornie zwyczajnym pytaniu powstrzymało go.

Gdy nie odpowiedział natychmiast, odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć.

– Nic nie powiesz?

– Chyba zdziwiłem się, że musisz mnie o to pytać.

– Chcę wiedzieć.

Odsunęła się od obrazu, a Robert podążył za nią.

– Chcę wiedzieć, jak bardzo.

– Mówiłem ci tyle razy.

– Wiem. Ale czy mi to okazałeś?

– Dawałem ci różne dowody, prezenty...

Złość w jej ciemnych oczach sprawiła, że zamknął usta.

– Czym jest miłość, Robertcie?

– Miłość to... – miotał się – ... cóż, miłość.

– Mówisz jak typowy facet! – zachnęła się. – Pomyśl tylko: co to jest miłość? Mówisz, że mnie

kochasz. Co to znaczy?

– To znaczy... to znaczy, że chcę z tobą być. Że Kocham z tobą być.

– Mówisz o zaangażowaniu?

Nagle dostrzegł, dokąd zmierza ta rozmowa, ale nie mógł już się wycofać.

– Tak – zgodził się.

Stephanie przystanęła, żeby spojrzeć na kolejny obraz, małą delikatną akwarelę, przedstawiającą pojedynczego żonkila.

– Jesteś mi oddany? – ciągnęła.

– Bardzo.

Stephanie wyprostowała się.

– Jak mi to okazujesz?

Miał zamiar odpowiedzieć, ale nadgorliwa malarka, młoda dziewczyna z burzą włosów i wielkimi okularami, zbliżyła się do nich.

– Nie jesteśmy zainteresowani – odezwał się Robert, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć. Złapał Stephanie za rękę i poprowadził w głąb Green przez małą furtkę naprzeciwko College of Surgeons.

– Porozmawiajmy szczerze, a sztukę zostawmy na inną okazję. Czego ode mnie chcesz?

– Prawdy – rzeczowo odparła Stephanie. – Chcę prawdy.

– Kocham cię. Taka jest prawda.

– Wierzę ci.

Jej odpowiedź zdziwiła Roberta. Stephanie przeszła kilka kroków, zanim odwróciła się, by spojrzeć do tyłu. Na ścieżce było sporo ludzi i na chwilę Robert stracił kobietę z oczu. Kusiło go, żeby stąd odejść. Kiedy opustoszało, stała w tym samym miejscu, czekając na niego.

– Jeśli chcesz mnie jeszcze o coś zapytać, zrób to teraz – odezwał się.

Stephanie zanurzyła ręce w kieszeniach kurtki. Jej oczy błyszczały, a policzki były czerwone – Robert nie wiedział, czy to z zimna, czy z emocji.

– Mówisz, że mnie Kochasz, że chcesz ze mną być. Chyba lubisz moje towarzystwo. Na pewno lubisz moje ciało.

Zatrzymała się i wzięła głęboki oddech.

– Chcę wiedzieć, czy jest też coś więcej. Czy będzie coś więcej.

– Więcej?

– Tak. My razem, nie na szybkich lunchach albo godzinnych kolacyjkach i nie w twoim biurze lub na potajemnych weekendach za miastem. Chcę wiedzieć, czy będziemy razem. Jako para. Otwarcie.

– Spojrzała gdzieś daleko, na drugą stronę parku wypełnioną tłumem.

– To wszystko.

W końcu musiało do tego dojść, pomyślał Robert. Czuł, że od odpowiedzi na to pytanie zależy reszta jego życia. Wszystkie wątpliwości poprzedniej nocy, rozmyślenia całego dnia, do

niczego nie doprowadziły, nie przygotowały go do tej chwili. Mógł próbować na chłodno podjąć decyzję i w wyrachowany sposób dokonać wyboru między dwiema kobietami: bezpieczeństwem, które miał przy Kathy, albo niepewną przyszłością obiecywaną przez Stephanie. Mógł też nie podejmować żadnej decyzji i zrezygnować ze Stephanie, ale wtedy ona mogłaby pójść do Kathy – i straciłby je obie. Przypomniawszy sobie słowa Jimmy'ego Morana: „Wszystko ma swoją cenę”.

– Byłam już przedtem w różnych związkach. Wiesz o tym. Nigdy do nikogo nie czułam tego, co do ciebie. Kocham cię. Muszę wiedzieć, czy ty kochasz mnie wystarczająco mocno, żeby coś z tym zrobić.

Wyszli z Green i przeszli przez ulicę, kierując się w górę Harcourt Street. Dwa tramwaje Lua przejechały obok, dzwoniąc głośno. Ani Robert, ani Stephanie nie spojrzeli w tamtą stronę.

Robert obserwował ją kątem oka. Kiedy zakochali się w sobie, ale jeszcze nie zaczęli ze sobą sypiać, często spacerowali. Spędzali wspólnie weekendy, chodząc po ulicach Dublina, Galway, Cork i Kilkenny; spacerując ramię w ramię, nawet nie trzymając za ręce. Miała lepszą kondycję niż on. Czasem ledwo za nią nadążał.

Potem rozumiał, dlaczego tak się działo. Oboje mieli w sobie tyle energii – nerwowej, seksualnej energii. Kiedy zaczęli regularnie ze sobą sypiać, przestali spacerować.

Teraz znów szli obok siebie, ale było zupełnie inaczej. Stawiali kroki powoli, jakby z trudem.

– Chcesz, żebym się bardziej zaangażował.

– Nie zamierzam dłużej być kimś na boku. Tak było dobrze przez chwilę, kiedy nie miałam pewności, czy jesteś tym jedynym.

– Tym jedynym?

– Którego kocham. W końcu pozwoliłam sobie zakochać się w tobie, mimo że jesteś żonaty, bo wierzyłam, że mamy szansę.

Stephanie westchnęła głęboko i Robert poczuł, że jego serce wali jak młotem.

– Nie od razu zdałam sobie sprawę, na czym polega taki związek. Moje koleżanki wyjeżdżały na święta, lecz ja spędzałam je sama, bo chciałam być blisko mojego faceta. A mój facet był wtedy ze swoją rodziną. Tak samo w zeszłym roku – nie pozwolę, żeby w przyszłym było podobnie.

– Stephanie, ja... – wtrącił szybko.

– Jeśli nie ma dla nas przyszłości, powiedz. Nie będę histeryzować i nie zrobię ci sceny. Jestem dużą dziewczynką. Nie powiem też Kathy, jeśli o to się martwisz.

Stało się. Robert głęboko odetchnął. Kilkoma zdaniem Stephanie zdjęła mu z głowy największe zmartwienie. Mógł jej teraz powiedzieć, że nie było dla nich przyszłości, przynajmniej przez następnych kilka lat, dopóki dzieci się nie usamodzielnią. Mógł też wrócić do żony, która nigdy nie dowie się o jego romansie, a Stephanie zniknie z jego życia. I wszystko potoczy się własnym torem aż do momentu, w którym... zupełnie się od siebie oddalą. Dzieci będą miały swoje życie, założą własne rodziny, a on zostanie sam.

Teraz jeszcze miał wybór.

Mógł podjąć ryzykowną decyzję i raz w życiu zrobić coś dla siebie. Od chwili, kiedy się ożenił,

z dnia na dzień czuł się jak w pułapce. Żył coraz szybciej, zebrał o pracę, by wszystkich zadowolić i zapewnić rodzinie dach nad głową. Poświęcił przyjaciół, wakacje, weekendy i długie wieczory, żeby znaleźć dla firmy zlecenia, które i tak okazywały się nic niewarte. Co stało się z jego marzeniem o karierze uznanego reżysera albo o produkowaniu wartościowych poruszających dokumentów, zmuszających ludzi do myślenia? To także poświęcił.

Tkwiał w małżeństwie bez miłości, z kobietą, której nie interesował on sam, a jedynie pensja wpływająca co tydzień do banku. Brendan i Theresa go kochali, wiedział to i musiał upewnić się, że zawsze będą bezpieczni. Nie chciał być ojcem powtarzającym dzieciom, jak zła jest ich matka. I będzie je regularnie widywał, może nawet częściej niż teraz. Poświęci im znacznie więcej czasu, bez przeszkód, bez telefonów, bez spotkań.

Ale czy może ot tak, wszystko porzucić? Żonę, rodzinę, dom i przyjaciół? Czuł się za stary, żeby zaczynać od nowa.

A może odszedł już dawno temu, a teraz miał okazję na nowe życie z kobietą, która go kochała, i z którą mógłby się starać, żeby zawsze tak było?

Zawirowało mu w głowie tak, że prawie zemdlął. Stephanie złapała go za ramię. Nawet przez grube warstwy ubrania jej dotyk go elektryzował. Decyzja, która w końcu do niego dotarła, była szokiem. Czuł, jakby nagle wszystkie elementy układanki znalazły się na swoim miejscu. Stał naprzeciwko Stephanie. Złapał ją za ramiona, zaglądając w ciemne oczy, powiększone jeszcze nieotartymi łzami. Oddychał szybko, jakby przed chwilą biegł.

– Kocham cię. Chcę być z tobą. Chcę się z tobą ożenić. Wyjdiesz za mnie?

Łzy popłynęły jej strumieniem. Stephanie objęła go, przyciągnęła jego twarz i pocałowała. Czuł, jak łzy spływają mu za kołnierz, i wiedział, że sam także płacze. Nieustannie słyszał w głowie jej wypowiedane szeptem westchnienia:

– Tak, tak, tak!

Rozdział 30

Sobota 21-Niedziela 22 grudnia

Robert siedział do późna, oglądając na Sky Movies *Biegnij Lola, biegnij*. Uwielbiał ten niemiecki film z trzema różnymi zakończeniami, bo można było przekonać się, jak skończyłaby się ta historia, gdyby wydarzenia potoczyły się tylko troszeczkę inaczej.

Reszta soboty minęła jak we śnie. Od chwili, kiedy zdecydował się zostać ze Stephanie, czuł się tak, jakby spadł mu kamień z serca. Chciał nawet zadzwonić do znajomych i przekazać im wspaniałą wiadomość: kochał kobietę, która kochała jego.

Nie musiał w tej chwili podejmować żadnej decyzji. Stephanie zadowolona się tym, że obiecał się z nią ożenić. Śmiała się i płakała na przemian, a kiedy szli w stronę jej domu nad kanałem, oboje maszerowali z dawną energią. Zaprosiła go do środka, ale oparł się pokusie. Gdyby wszedł, znaleźliby się razem w łóżku, a Robert z jakiegoś nieokreślonego powodu czuł, że byłoby to wobec niej nie fair. Kiedy stali przy bramie wejściowej, pocałowała go namiętnie, z miłością, i podziękowała.

– Za co? – spytał.

– Za to, że mnie uszczęśliwiłeś.

Film skończył się o wpół do pierwszej. Dom był cichy. Kathy wcześniej poszła do łóżka, wymawiając się kolejnym niekończącym się bólem głowy. Dzieci położyły się znacznie później. Robert chodził po domu, sprawdzając drzwi, wyciągając wtyczki, wyłączając światła. Kto się tym zajmie, kiedy on odejdzie? Zdziwił się, że już o tym myśli. Poszedł po schodach na górę i wyłączył główne światło, potem cicho zamknął za sobą drzwi sypialni. Rozebrał się po ciemku, rzucając ubranie na oparcie krzesła i położył się do łóżka, z westchnieniem ulgi kładąc głowę na poduszce. Tego dnia na pewno nie zapomni.

– Byłam dzisiaj u Maureen.

Głos Kathy zaskoczył go. Myślał, że żona już od dawna śpi.

Zaczął wątpić, czy sam w ogóle dzisiaj zaśnie – był podekscytowany z nadmiaru myśli i emocji – ale nie chciał rozmawiać o Maureen. Poza tym, kiedy wszystko wyjdzie na jaw, Maureen nie będzie już miała – prawdziwego lub wymyślanego – wpływu na niego. Mógł ją zwolnić bez wahania. Wtedy uporządkuje firmę i także zacznie wszystko od nowa. Może Stephanie do niego dołączy? To był podniecający pomysł. Obrócił się w łóżku, żeby spojrzeć na Kathy. Widział jej szeroko otwarte oczy, błyszczące w świetle ulicznych latarni.

– Jak ona się ma?

– Lepiej. Ale nie wróci przed Nowym Rokiem.

– Tak myślałem – wymamrotał.

– Nie jest już taka młoda, jaką udaje.

– Wiem.

– Maureen czasem myślała – i ubierała się – tak, jakby ciągle miała dwadzieścia lat. Przewrócił się znowu, tym razem na plecy.

– Ta nowa dziewczyna, Rosjanka...

– Illona?

– Tak, Illona.

Nie był zdziwiony, że Kathy ciągle pamiętała imię sekretarki, więc kontynuował:

– Jest bardzo dobra. Robi, co jej się każe, nie pyskuje, zjawia się punktualnie w pracy i je lunch dokładnie przez godzinę. Maureen wszystko robi po swojemu, traktuje mnie jak chłopca, a przerwa na lunch nigdy jej nie wystarcza.

– Chyba nie chcesz jej zwolnić?

– Myślałem o tym – przyznał.

– Ani mi się waź! – wrzasnęła Kathy. – Zabraniam ci!

– Zabraniasz?

Naprawdę go zaskoczyła. Odgryzł się jej nieco złośliwie:

– Ty mi zabraniasz?

– Ciągle jestem właścicielką połowy firmy, pamiętaj. Może nadszedł czas, żebym ci o tym przypomniała. I żebym bardziej zaczęła się nią interesować.

Usiadła na łóżku i włączyła światło. Robert zajęczał i zakrył dłonią oczy.

– Na miłość boską, jest już po pierwszej. Porozmawiajmy o tym rano.

Mimo że w nazwie firmy widniały inicjały ich obojga, to on ją prowadził, to on wykonywał całą pracę i zawsze myślał o R&K jak o swojej własności. Kathy mogła jednak – miała do tego formalne prawo – podważyć wszelkie jego decyzje i zablokować te, których nie akceptowała. Więc co teraz... Szczerze mówiąc, wiedział dokładnie, co będzie. Dokładnie to, co stało się z Jimmym. Kathy zażąda połowy wszystkiego. Gdyby udało mu się zamienić połowę firmy na dom...

– Teraz, kiedy dzieci są starsze, może w nowym roku zacznę chodzić z tobą do pracy trzy czy cztery razy w tygodniu. Nawet kiedy Maureen wróci, nie będzie mogła pracować na pełen etat. Spróbuję robić to, co kiedyś: pomogę ci prowadzić firmę. Przywrócę „K” do R&K Productions.

Było jeszcze gorzej! Znacznie gorzej. Obliznął spierzchnięte wargi suchym językiem.

– A kiedy znajdziesz na to czas?

– Znajdę. Skupię się na wyszukiwaniu nowych zleceń, a ty na realizowaniu materiału.

– Tak, na pewno będzie super, jestem pewien. Porozmawiamy o tym rano.

Nie chciał ciągnąć tej rozmowy. Potrzebował czasu, żeby przemyśleć zawiloci tego, co właśnie usłyszał.

– Maureen – sugerowała, że interesy nie idą zbyt dobrze.

Robert przewrócił się na łóżku.

– Daj już dzisiaj spokój.

– Rzadko mamy okazję, żeby porozmawiać. Wiesz o tym? Oddaliśmy się od siebie. Ale nowina!

– To chwilowe. Z powodu świąt – powiedział pojednawczo. – W tym czasie zawsze panuje gorączka.

Zamknął oczy, próbując zakończyć rozmowę, ale Kathy naciskała.

– To nie jest chwilowe i nie z powodu świąt. Tak się dzieje od miesięcy, może dłużej. Niemal cię nie widuję.

Prawie codziennie wracasz do domu późno, wyjeżdżasz na weekendy, a kiedy jesteś w domu, zamykasz się w gabinecie i pracujesz.

Więc zauważyła. Dlaczego to wywlokła, co ją sprowokowało?

Wzruszył ramionami.

– To zwariowany czas. Przyznaję.

– Uspokój mnie – powiedz, że interesy idą dobrze. To miało coś wspólnego z Maureen. Co ta suka jej powiedziała? Z samego rana podrze świąteczny czek z premią.

– Mieliśmy trudny okres, ale dostaliśmy kilka nowych zleceń. Teraz znów jest dobrze. Następny rok będzie OK.

– Czy to znaczy, że w przyszłym roku także będziesz tak dużo pracował?

Przyszły rok na pewno będzie inny, obiecywał sobie, ale nie tak, jak ona to sobie wyobraża.

– Dopóki będę miał zamówienia, tak. Nie mam innego wyjścia. Takie są uroki pracy na własny rachunek, wiesz o tym.

– Więc jeszcze bardziej jestem zdecydowana ci pomóc. Nowy Rok zaczniesz, mając nowego pracownika, mnie. Możesz zwolnić tę swoją Rosjankę.

Cholera! Robert zrobił dziwną minę i potrząsnął głową. Tak długo nie interesowała się firmą, że równie dobrze teraz mogła sobie dać spokój. Wydawało mu się, że to, co mówi jego żona, spowodowane jest dziwacznymi wyrzutami sumienia.

– O co chodzi?

– O nic, Kathy.

Ta bezsensowna rozmowa zaczynała go irytować.

– Oto, co się stanie: przez tydzień, może dwa, będziesz ze mną chodziła do pracy, potem weźmiesz wolne, żeby coś pilnego zrobić w domu. Potem weźmiesz jeszcze więcej wolnego, a wkrótce wrócimy do sytuacji, jaka jest teraz. Tylko że ja będę znów musiał szukać nowej sekretarki.

– Mówisz tak, jakbyś nie chciał, żebym z tobą pracowała.

– Tego nie powiedziałem. Chciałbym, żebyś bardziej interesowała się firmą – skłamał. Ale jej propozycja przyszła przynajmniej dwa, trzy lata, a nawet pięć za późno. Podniósł budzik z szafki. – Spójrz, jak późno. Pogadamy jutro.

– OK – zgodziła się, wyłączając lampkę i wślizgując się pod kołdrę. – Ale dokończymy tę

rozmowę.

Wydało mu się, że w jej głosie słyszy groźbę.

– Oczywiście – odparł.

Teraz było już jasne: nie prześpi tej nocy. Z jednej strony wiedział, że nie powinien być zły na Kathy za to, że oferowała mu pomoc. Każdego innego dnia może by się ucieszył, że w końcu znów zechciała z nim pracować. Najwidoczniej Maureen rzuciła coś, co ruszyło sumienie Kathy. Może powiedziała jej, jak trudno było w firmie, jak ciężko pracował, żeby utrzymać ją na powierzchni. Teraz jednak bardziej martwił się tym, że żona przypomniała o swoim udziale w R&K. Będzie musiał w tej sprawie poradzić się prawnika. Nie chciał ryzykować głupiego i drogiego procesu, miał raczej nadzieję, że uda mu się z nią porozumieć.

Ten sam głos, jak sumienie ukryte gdzieś głęboko, zaczął się histerycznie śmiać. Zamierzał po osiemnastu latach rozstać się z żoną i myślał, że załatwi to polubownie? Zabierze mu wszystko, co będzie mogła.

I nie mógł jej za to winić.

Świtało, kiedy wyczołgał się z łóżka, zdenerwowany i wyczerpany, z piekącymi oczami i uporczywym bólem z tyłu głowy. Pozbierał z podłogi spodnie i koszulę, wrzucił do łazienki i tam szybko się ubrał, nie chcąc budzić Kathy. Nie miał ochoty na rozmowę z nią; nie wiedziałby, co jej powiedzieć. Nabazgrał szybko krótki liścik i zostawił na poduszce.

Pojechałem do biura, żeby dokończyć pracę. Wrócę później. Kocham. R.

Kocham. R. dodawał z przyzwyczajenia, ale tym razem zawahał się, zanim to napisał. Nie mógł stwierdzić, że nie kochał Kathy, ale po prostu nie kochał jej wystarczająco mocno. Nie tak, jak kochał Stephanie.

Rozdział 31

Poniedziałek, 23 grudnia

Robert ćwiczył na bieżni już od piętnastu minut spocony jak mysz, gdy Stephanie wyłoniła się z przebieralni i weszła na przyrząd obok niego. Złapała za uchwyt i uruchomiła sprzęt. Wąska ścieżka pod stopami zaczęła się poruszać, a Stephanie weszła w jej powolny rytm.

– Przepraszam za spóźnienie. Zamykaliśmy dzisiaj biuro, w sali konferencyjnej był mały bankiet.

– Nie ma sprawy. Dostałem twoją wiadomość. Jakież nowiny na temat...

– Naszego romansu? Nic. Nikt nic nie wspominał. Ale słyszałam pogłoski, że prawdopodobnie dostaniesz kontrakt dla DaBoyz.

– To super! Chyba... Właśnie miałem cię o to spytać. Theresa mówiła, że dwóch członków zespołu to geje.

Stephanie potrząsnęła głową:

– Nie miałam o tym pojęcia. Choć nie zdziwiłabym się. To jakiś problem?

– Nie, wcale. Wspomniała też, że w MTV mówiono o ich planowanym rozpadzie.

– Taki mieli zamiar. Dlatego ten singiel jest tak ważny. Sporo ludzi w nich zainwestowało i teraz nie chcą stracić włożonych pieniędzy, więc zespół ma ostatnią szansę. A przy okazji – ta szansa to ty. Zrób porządnie ich teledysk, a wielu oszczędzi pieniądze. Ale jeśli to spieprzysz, nie znajdziesz innej pracy w tym mieście – zaśmiała się.

– Nie jestem pewien, czy mówisz serio, czy żartujesz.

– Jedno i drugie. Na pewno ci się uda. Pamiętaj, zaryzykowałam dla ciebie swoją karierę.

– Więc nie ma obaw – zamruczał.

– I przepraszam za wczoraj. Naprawdę chciałam się z tobą spotkać, ale wcześniej obiecałam Sally, że wybierzemy się razem na zakupy.

Robert spojrział na nią z boku i uśmiechnął się.

– Wcześniej?

– Zanim mi się oświadczyłeś.

Miała na sobie prosty czarny kostium gimnastyczny i czarne spodnie do joggingu. Podobał mu się ten strój, bo pokazywał jej idealną skórę.

– Może i lepiej, że tak się stało. Skończyłem parę rzeczy w biurze. Gdybyśmy się spotkali, to ...

Teraz ona spojrzała z ukosa. – To co?

– To byśmy nadal rozmawiali i planowali...

– Tak, wiem. Uszczęśliwiłeś mnie. Nawet Sally jest zadowolona.

Robert ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć nic, co wywołałoby kłótnię.

– Chciałbym w końcu spotkać tę tajemniczą Sally.

– Ona też chce cię poznać. Tyle jej o tobie opowiadałam.

– Robert nigdy nie spotkał przyjaciółki i powierniczki Stephanie. Wiedział tylko, że go nie akceptowała i robiła wszystko, żeby ich rozdzielić.

– Pewnie była zaskoczona tymi wieściami.

– Zaskoczona? Wręcz zdumiona. Umówiliśmy się, że po świętach spotkamy się i to oblejemy.

Ona stawia.

– Dobry pomysł. – Robert wcisnął guzik z boku bieżni, zwiększając tempo. – Dlaczego ona?

– Bo kiedyś założyłyśmy się o najlepszy posiłek na świecie, że nigdy nie zostawisz dla mnie żony.

– Cóż, upewnijmy się, że to będzie drogi zakład. Osobiście zamówię na tę okazję stolik u Shanahana w Green.

– Myślałeś już o świętach? – spytała Stephanie.

Robert skrzywił się, zastanawiając się, do czego prowadzi to pytanie.

– Tak, i to sporo – przyznał szczerze.

– Spędzisz ze mną pierwszy dzień świąt?

Robert jeszcze bardziej zwiększył tempo ćwiczeń. Szumiący jazgot utrudniał rozmowę.

– To niemożliwe. – Zauważył rozczarowanie na jej twarzy. – Bądź rozsądna. – Zorientował się, że kilka osób patrzy w ich kierunku, ponieważ podniósł głos. Pochylił się więc w kierunku Stephanie i powtórzył: – Bądź rozsądna.

Nie mogę dziś lub jutro pójść do Kathy i dzieci, by oznajmić „Wiecie co? Odchodzę. Wesołych Świąt”, prawda?

Stephanie przytaknęła:

– Nie, oczywiście, że nie.

– Ale spotkamy się jutro. I zjrzę w Boże Narodzenie – dodał, mimo że nie miał pojęcia, jakiej użyje wymówki, aby wydostać się z domu. Może skłamię, że włączył się alarm w biurze albo coś podobnego.

Stephanie otarła czoło ręcznikiem zawieszonym wokół szyi.

– Kiedy zamierzasz jej powiedzieć?

– Myślałem o piątku, dwudziestego siódmego.

– Dlaczego nie w czwartek?

– Obiecałem, że pójdziemy do siostry Kathy na obiad. To zostało zaplanowane.

– A ja co mam robić w Boże Narodzenie? Czekać, aż się pojawisz?

Robert zignorował pytanie.

– Powiem jej w piątek i spędzę z tobą Sylwestra. Razem przywitamy Nowy Rok. Pamiętaj, że dla nas to też będzie nowy rok. Nie dąsaj się więc i pójdźmy na kompromis. To poważna decyzja, muszę zrobić wielki krok. Ty myślisz tylko o sobie, a ja mam na głowie Kathy i dzieci.

Stephanie pokiwała głową:

– Oczywiście, masz rację. Całkowitą. Kilka dni nie zrobi nam wielkiej różnicy, prawda? A Boże Narodzenie to tylko kolejna środa.

Przenieśli się z bieżni na rowery. Stephanie ustawiła forsowne tempo i zaczęła pedałowac. Mięśnie jej nóg poruszały się rytmicznie. Robert wybrał wolniejszy program.

– Potrzebuję pewnej porady. Stephanie spojrzała na niego.

– Co masz na myśli?

– Chodzi o firmę. R&K Productions. Wiesz, że „K” oznacza Kathy, która ma połowę udziałów.

– Wiem.

– Zastanawiałem się, czy chciałabyś wejść ze mną do spółki, przejąc udziały Kathy. Nazwalibyśmy firmę R&S Productions. Oczywiście, jeśli uda mi się wykupić tę połowę.

Wydawało mu się, że Stephanie popatrzy na niego ze zdziwieniem. Odczekała dłuższą chwilę, zanim odpowiedziała.

– Nie jestem pewna, czy chcę rezygnować z mojej obecnej pracy. Wydaje mi się, że praca u ciebie byłaby raczej krokiem wstecz w mojej karierze.

Przez chwilę Robert myślał, że żartuje. Zaczął się nawet śmiać, ale zdał sobie sprawę, że Stephanie jest śmiertelnie poważna.

– Poza tym musimy pamiętać, że nie mogę już kierować kolejnych zleceń do twojej firmy. Nie będzie to dobrze wyglądało, jeśli miałabym wspierać firmę mojego partnera.

Był w szoku.

– Żadnych zleceń...

– Nie ode mnie. Ale będę trzymać rękę na pulsie. I informować cię o tym, co się dzieje. Będzie dobrze.

Robert czuł, że jego głowa zaraz eksploduje. Wczoraj, siedząc w zimnym biurze i próbując dodzwonić się do Stephanie (stale włączała się automatyczna sekretarka), rysował nowe logo R&S na komputerze, łącząc wymyślnie inicjały R i S. Gdy jego związek ze Stephanie stanie się jawny, nie powinno być problemu z podsyłaniem mu klientów z jej firmy, myślał. Byłoby to korzystne, ponieważ potrzebne mu dodatkowe pieniądze, żeby spłacić Kathy.

– W każdym razie – ciągnęła Stephanie – myślałam, że może zamkniesz R&K.

– Co?

– Postarasz się o pracę w jednej z dużych firm.

Robert skoncentrował się na pedałowaniu. Większość swego dorosłego życia spędził na budowaniu R&K, a teraz ona proponowała, żeby ją zamknął.

– Byłoby ci łatwiej pod każdym względem – kontynuowała. – Dostawałbyś regularną pensję i mógłbyś wyjść z biura o piątej trzydzieści albo nieco później i nie myślałbyś o pracy aż do następnego dnia rano. Mielibyśmy też dla siebie weekendy.

– Ale pracowałbym dla kogoś innego. Przez długi czas byłem swoim własnym szefem.

– W tej chwili pracujesz dla Kathy, dzieci i banku. Oni są twoim szefem. A tak miałbyś więcej

czasu, także dla mnie. I dla twoich dzieci – dodała po chwili.

Musiał przyznać, że był to przekonujący argument. Jak na ironię, w zeszłym roku w rozmowie z Kathy podniósł podobny temat. Wtedy to żona przypominała mu o ogromnej ilości czasu i pieniędzy, które włożył przez lata w firmę.

Zaczął się śmiać chrapliwie, aż złapał go kaszel.

Stephanie zeszła z roweru i klepnęła go w plecy.

– Wszystko w porządku? – Tak. Myślałem...

– O czym?

– Że jesteś rodzajem katalizatora – zmieniasz wszystko wokół siebie.

Stephanie przytuliła się mocno do niego, aż poczuł nacisk jej piersi.

– Sami dokonujemy zmian, ale czasem potrzebujemy kogoś lub czegoś, żeby trochę ponaciskał. Dobra, idę się przebrać.

Robert obserwował, jak zmierza przez salę, kołysząc biodrami. Jeden czy dwóch facetów także się jej przyglądało. Był zdziwiony, że nie jest o nich zazdrosny. Wiedzieli, że jest z nim, co znaczyło, że to oni byli zazdrośni.

Sztywno zsiadł z roweru i rozruszał plecy. Boże! Wszystko zmieniało się w piorunującym tempie. Oto on: czterdziestodwulatek myślący o nowej kobiecie, nowym domu i nowej pracy. Brakowało tylko dziecka...

– Chciałabym mieć dzieci – oświadczyła Stephanie, kiedy wyszli z siłowni w mroźną, ciemną noc. Robert wspominał o swoich przemyśleniach, kiedy szli w stronę wyjścia. Oczekiwał, że się roześmieje, tymczasem ona potraktowała go serio.

– Kiedy chciałabyś je mieć? – spytał. Czuł, jak jej dłoń chwyta jego i rozwiera mu palce, splatając je ze swoimi.

– Nie natychmiast, oczywiście. To trochę jak paragraf dwudziesty drugi. Teraz mam trzydzieści pięć lat. Nie mogę zbyt długo czekać, ale potrzebuję jeszcze dwóch lat do awansu. Moglibyśmy zacząć się starać rok później.

Mały wredny chochlik, który wydawał się ostatnio jego nieodłącznym towarzyszem, przypomniał Robertowi, że on i Kathy planowali dzieci zaraz po ślubie, a wkrótce po tym, jak żona dowiedziała się, że jest w ciąży, zaczęła mniej pracować.

Ich samochody stały obok siebie w ciemnym kącie parkingu. Równocześnie wyłączyli alarmy, a wszystkie światła zamrugwały.

Robert otworzył drzwi srebrnego bmw Stephanie. Zapaliła się lampka w suficie, zalewając wnętrze miękkim perłowym światłem i oświetlając skórzane siedzenia. Stephanie rzuciła torbę na siedzenie pasażera i odwróciła się do Roberta. Objęła go za szyję, prawą ręką złapała za kark, żeby zniżyć jego głowę do poziomu swojej.

– Pomyśl, ile frajdy da nam płodzenie naszych dzieci wyszeptła. Potem pocałowała go. Robert upuścił swoją torbę na ziemię i przyciągnął Stephanie bliżej. Uwielbiał czuć ją w swoich ramionach, cieszyć się jej namiętnością i siłą. Uwielbiał, jak przyciska swoje usta do jego. Kochał

jej żarliwość.

W końcu oderwali się od siebie, a Stephanie wsiadła do samochodu. Pomachała mu na pożegnanie i odjechała. Robert podniósł torbę i podszedł do auta. Zadzwoiła komórka. Wyciągnął ją z kieszeni marynarki i odebrał, nie patrząc na ekran.

– Cześć, to ja – głos Kathy był zadziwiająco dobrze słyszalny. Wydało mu się, że wyjątkowo jest w dobrym humorze. – Zastanawiałam się tylko, o której będziesz w domu.

Robert spojrzął na zegarek.

– Właśnie wychodzę z biura. Powinienem dotrzeć za jakieś czterdzieści minut.

Wyłączył komórkę i zaczął się zastanawiać, po co wymyślił to głupie kłamstwo. Żona wiedziała, że chodził do siłowni, to żadna tajemnica. Ale chyba przyzwyczyił się już, że okłamuje Kathy. Czas zacząć mówić prawdę.

Ale nie teraz.

Nie dzisiaj.

KSIEGA TRZECIA

Opowieść kochanki

*Oczywiście, byłam świadoma, że jest żonaty. Wiedziałam,
że okłamuje żonę, i w głębi serca czułam, że okłamuje
także i mnie.*

Ale kochałam go.

Przynajmniej tak mi się wydawało.

Rozdział 32

Czwartek, 19 grudnia

Stephanie Burroughs przejechała grzbietem dłoni po jedwabnym krawacie. Materiał zaszeleścił pod dotykiem skóry. Spojrzała na młodą kobietę stojącą za ladą. Dziewczyna patrzyła się na nią nieprzytomnie, z profesjonalnym, lecz nienaturalnym uśmiechem, i pustym wyrazem twarzy kogoś, kto jest przeraźliwie zmęczony.

– Długi dzień? – spytała współczująco Stephanie, wkładając krawat z powrotem do pudełka.

– Długi tydzień – mruknęła dziewczyna, rozglądając się wokół siebie, żeby sprawdzić, czy w pobliżu nie ma szefowej. – I nie widać końca.

Stephanie postawiła obok siebie na ladzie dwa pudełka i porównała krawaty – jeden w kolorze głębokiego karmazynu, drugi mocno złoty – próbując dokonać wyboru.

– Nie ma pani wolnego weekendu?

– Chciałabym! – odparła dziewczyna, wyraźnie wdzięczna, że może z kimś pogadać. – Ale święta dopiero w środę, więc pracujemy nawet w Wigilię.

– O której pani wtedy skończy?

– Pewnie o siedemnastej trzydzieści. Wigilia jest zawsze koszmama, bo ludzie ruszają na zakupy w ostatniej chwili.

– A kiedy pani wraca do pracy?

– Otwieramy w następny piątek. Ale za to poniedziałek będę miała wolny – dodała dziewczyna z uśmiechem – no i środę, Nowy Rok. Potem wszystko jak zwykle. Grudzień jest najgorszy.

Stephanie uśmiechnęła się ze zrozumieniem i podała sprzedawczyni krawaty.

– Wezmę oba – zdecydowała.

Nagle poczuła współczucie dla dziewczyny, która spędzała długie godziny za ladą, otrzymując kiepską pensję. Sama nigdy nie myślała o pracy w handlu, gdzie zawsze dzień zaczyna się o dziewiątej, kończy o siedemnastej trzydzieści albo osiemnastej, w czwartki zwykle jeszcze później, i do tego zajęte weekendy. Niemal jak w więzieniu. Kiedy Stephanie skończyła college, od razu wciągnął ją świat telewizji, co pozwoliło jej pracować własnym rytmem. Teraz, jako starszy account manager jednej z największych agencji reklamowych na świecie, powoli posuwała się naprzód ścieżką kariery, która często wymagała długich godzin spędzonych w pracy, ale dawała także sporo wolnego czasu. A kiedy pojawiała się kolejne zlecenie, Stephanie mogła sama ustalić tempo pracy. Także świetnie zarabiała. Dla niej grudzień był wyjątkowo krótkim miesiącem. Zwykle miała tylko kilka drobnych rzeczy do skończenia, potem biuro zamykano w poniedziałek, a otwierano na powrót dopiero drugiego stycznia.

– Gotówka czy karta?

– Karta – Stephanie podała sprzedawczyni plastik z napisem American Express.

Dziewczyna skasowała należność i włożyła dwa długie prostokątne pudełka z krawatami do czarnej torby.

– Prezent świąteczny? – zapytała.

Stephanie przytaknęła.

– Dla kogoś wyjątkowego – uśmiechnęła się. – Wesołych Świąt.

– Na pewno mu się spodoba. Wesołych Świąt.

Stephanie wyszła na Grafton Street i pozwoliła ponieść się tłumowi. Miała jeszcze zamiar kupić parę rzeczy i postanowiła zajrzeć do BT. Wiedziała, że Robertowi spodobają się krawaty, zauważyła, że nosił te, które podarowała mu w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Pasowały do koszul Pinksa, które kiedyś wcale mu się nie podobały. Ciągłe nie kupiła mu najważniejszego prezentu i, w miarę upływu czasu, wydawało jej się to coraz trudniejsze. Robert miał fatalny zwyczaj kupowania sobie wszystkiego, czego potrzebował. Podobały jej się najnowsze poręczne laptopy Tungstena, ale Robert już zdążył kupić sobie XDA, który był połączeniem telefonu i palmtopa. Miał też najnowszy aparat cyfrowy – sama kupiła mu jeden na poprzednie święta. Myślała teraz o i-Podzie Apple'a, malutkim pudełku wielkości paczki papierosów, w którym mieściły się tysiące piosenek i godzin muzyki. Tylko że Robert raczej nie słuchał muzyki, co ją ogromnie dziwiło. Dla niej muzyka była jedną z największych radości w życiu. Zawsze jej towarzyszyła, dobiegała z każdego pomieszczenia w domu, słuchała jej w toalecie, na komputerze, w samochodzie i w biurze. Miała tysiące płyt, Robert może dziesięć. Z pewnością było to wadą tego tak wyjątkowego i kreatywnego faceta. Stephanie weszła do BT. Uwielbiała nowy wygląd sklepu, który wydawał jej się teraz znacznie przestronniejszy i bardziej zachęcający. Niezależnie od liczby kupujących, zawsze było tu miejsce, żeby spokojnie pochodzić. Skierowała się na schody, w stronę działu męskiego.

Bardzo lubiła kupować Robertowi prezenty. Nie potrzebowała pretekstu ani specjalnej okazji, podczas osiemnastu miesięcy trwania ich związku nie było miesiąca, żeby czegoś mu nie podarowała.

A on robił to samo dla niej.

Jednak to miały być ich drugie święta i Stephanie zamierzała bardziej się postarać. Jak dotąd wyszukała kilka koszul w stylu oksfordzkim, a teraz miała dopasowane do nich krawaty. Wybrała też piękny album z lotniczymi zdjęciami świata, który powinien mu się spodobać, i małą książeczkę *Celtycka mądrość w interesach*, pełną inspirujących powiedzeń i cytatów, idealną do umieszczenia w skarpecie. Potrzebowała jednak jeszcze jednego prezentu, czegoś zupełnie wyjątkowego...

Oczywiście zawsze mogła zrobić to samo, co w zeszłym roku: owinąć się łańcuchem i dekoracjami świątecznymi, a potem dać mu siebie jako bożonarodzeniowy prezent. Obojgu podobało się jego odpakowywanie.

Dotknęła torby Louisa Vuittona, którą dostała od niego. Była okropnie niepraktyczna, miękka czarna skóra przyciągała zadrapania jak magnes, ale Stephanie uwielbiała jej lekkość i fakturę... i zazdrosne spojrzenia dziewczyn w biurze albo kobiet idących ulicą, które rozpoznawały wartość

prezentu.

Stephanie pogrzebała w torebce i wyjęła z niej małą komórkę Siemens. Namiary Roberta znajdowały się na początku listy. Zadzwoiła na bezpośrednią linię w jego biurze, omijając biurko Illony, ale telefon nie odpowiadał. Spojrzała na zegarek: piętnasta trzydzieści. Trochę za wcześnie, żeby zamykać biuro. Rozłączyła się i wcisnęła numer jego komórki.

Odczekała kilkanaście sygnałów, ale rozłączyła się, zanim usłyszała pocztę głosową. Później go złapie.

Spacerowała po dziale męskim BT. Co tak naprawdę kupuje się facetowi, który ma wszystko, czego zapagnie, i niczego już nie potrzebuje? Ubrania? Owszem, ale nie były to najbardziej ekscytujące prezenty na świecie. W golfa nie grał. Przyszło jej na myśl, że nie ma on właściwie prawdziwego hobby, całe życie Roberta kręciło się wokół pracy.

Nie znalazłszy nic w BT, wyszła ze sklepu i przecisnęła się przez ulicę, idąc w stronę jubilera Weira. Może kosztowny zegarek, to właściwie nie biżuteria. Zegarki występowały tylko w dwóch rodzajach: filigranowe cacka albo wielkie „cebule”, i Stephanie zastanawiała się, który wolałby Robert. Może coś nowoczesnego, z dużą ilością wskazówek i przycisków – pod tym względem był jak duże dziecko. Skinęła głową z aprobatą, widząc swoje odbicie w lustrze w sklepowej witrynie. Podobał jej się ten srebrny z czarną tarczą, wodoodporny, z trzema wskazówkami i optycznym szkiełkiem.

Potem naszła ją praktyczna myśl, która zawsze jej towarzyszyła i ograniczała wszystko, co kupowała Robertowi: czy będzie mógł go nosić, nie przyciągając uwagi żony i nie narażając się na jej pytania?

Westchnęła, a obłoczek pary zamglił szybę przed jej twarzą. Kto by pomyślał, że banalne kupowanie prezentu może być tak skomplikowane i ograniczone tak wieloma warunkami?

Robert twierdził, że żona w ogóle się nim nie interesuje, a Stephanie mu wierzyła. Wprawdzie wszystko wskazywało na to, że Kathy rzeczywiście nie zajmowała się ani pracą Roberta, ani tym, gdzie przebywa, jednak nie znaczyło to, iż przeoczy nowy elegancki zegarek na jego rękę. Robert zawsze może powiedzieć, że to prezent od klienta, ale Stephanie tego nie chciała: zdecydowanie wolała, żeby go nosił i mówił: „Dostałem go od swojej dziewczyny”.

„Dziewczyna” brzmi lepiej niż „kochanka”, pomyślała.

Może jednak nie zegarek. Porzuciła wystawę Weira, ponownie przebyła Grafton Street i skracając sobie drogę przez Grafton Arcade i księgarnię Hodges Figgis, szybko znalazła się na Dawson Street. W sklepie było mnóstwo ludzi i Stephanie pomyślała z żalem, że Robert czyta tak niewiele książek. Twierdził, że zwyczajnie brak mu na to czasu. W tym roku na urodziny kupił mu wprawdzie kilka książek na CD do odsłuchania w samochodzie, ale ostatnio, kiedy siedziała w jego aucie, zauważyła, że płyty leżą ciągle w oryginalnych opakowaniach.

A może grafika albo ładny oryginalny obraz? Niestety, mimo że w pewnych dziedzinach mieli zbliżone upodobania, to jednak w innych, szczególnie jeśli chodziło o sztukę, zupełnie się różnili. Ona wolała twórczość nowoczesną: jasne, proste maźnięcia pędzlem. Podobała się jej energia i emocje,

jakie przekazywały. On preferował – jeśli można to nazwać upodobaniem – fotorealizm.

Poza tym, jeśli kupi mu zdjęcie albo obraz, gdzie miałyby je powiesić? Znow wróciła do tego samego pytania, którego miała już serdecznie dość: co powie jego żona? Nie mógł przecież przynieść obrazu do domu i powiesić go na ścianie, prawda?

Po wyjściu z księgami skręciła w prawo i poszła w górę Dawson Street, pospiesznie zaglądając na wystawy sklepów, które mijała. Mogła jeszcze kupić płaszcz – może coś moherowego – albo ładną aktówkę, portfel, pióro...

Zatrzymała się i uśmiechnęła do siebie. Zaczynała zachowywać się desperacko i głupio. Jak mogłaby podarować swojemu facetowi zestaw do pisania? W zeszłym roku Robert dał jej piękny, stary złoty naszyjnik z opalem wielkim jak paznokieć kciuka. A na urodziny otrzymała cudowną, nowoczesną srebrną bransoletkę. Poświęcał czas i uwagę na wybieranie prezentów. Ostatecznym wyborem mógł być teraz bon prezentowy, ale Stephanie tego nie znosiła, to było takie bezosobowe.

Robert dostał bon prezentowy od żony w zeszłym roku – przynajmniej tak jej powiedział.

Stephanie czuła, jak jej wesoły nastrój powoli opada. Czasem wydawało jej się, że mieszka z Kathy Walker! Rozejrzawszy się po ulicy, przebiegła przez drogę prawie dokładnie naprzeciwko Mansion House. Orkiestra Armii Zbawienia zebrała się wokół wielkiej choinki ustawionej na zewnątrz, więc głośne dźwięki trąbek i cymbałków były słyszalne nawet przy hałasie samochodów.

Ostatnio zdała sobie sprawę, że żona Roberta w pewien sposób stale była obecna w jej myślach. W chwilach takich jak ta, gdy kupowała Robertowi prezent, zastanawiała się, co Kathy włoży mu pod choinkę albo co dostał od niej na święta. Czasem próbowała się nawet domyślić, co Robert kupuje swojej żonie.

Kiedy zaczął się ich romans, myślała o tym. Stephanie wiedziała, że był żonaty, ale wiedziała także, że nie był związany emocjonalnie z kobietą, która wydawała się nie dbać o niego. Spodobał się jej, a ona jemu. Byli w końcu dorośli i jak dotąd nikomu nie zrobili krzywdy...

Stephanie skręciła w lewo na końcu Dawson Street, kierując się ku Shelbourne.

Było jeszcze coś. Kiedy zaczęli się spotykać, nie przypuszczała, że ten związek przetrwa. Dawała mu trzy miesiące, może pół roku. Nigdy nie myślała o jego żonie, dzieciach i innym życiu, które wiódł u ich boku, jego drugim życiu. W miarę upływu czasu powoli, nieubłaganie, prawie nieświadomie zakochała się w Robercie i robiła wszystko, co robi zakochana kobieta: chciała wiedzieć o nim wszystko. Co lubił i czego nie lubił, zapragnęła poznać jego marzenia, plany, przeszłość... i tu sprawy zaczęły się komplikować, bo przeszłość Roberta była ciągle jego teraźniejszością, skupioną wokół żony i dwójki dzieci, domu po drugiej stronie miasta i pracy, na punkcie której miał obsesję.

Cholera! Dlaczego musiałam się w nim zakochać?

Bo jesteś głupia.

Nie należy zakochiwać się w żonatyh mężczyznach.

To właśnie odpowiadała koleżankom, które były w podobnej sytuacji i zawsze przysięgała sobie,

że nie popełni tego błędu.

Nie należy zakochiwać się w żonatych mężczyznach.

Ale ona się zakochała.

Wydało jej się, że cichnące powoli dźwięki orkiestrowych trąbek biegną za nią niczym szyderyczy śmiech.

Rozdział 33

Kiedy otworzyła drzwi, mieszkanie wydało się spokojne i ciche. Podniosła zakupy ze schodka i postawiła je na podłodze w holu. Stara pani Moore, sąsiadka Stephanie, obserwowała ją z okna swojej bawialni po drugiej stronie podwórka, i przez chwilę Stephanie miała ochotę jej pomachać. Starsza pani była jak alarm przeciwwłamaniowy, dzwoniła na policję przy najmniejszym podejrzeniu. Trzy tygodnie wcześniej zobaczyła dwóch młodych ludzi czających się wzdłuż kanału i od razu zadzwoniła na lokalny posterunek. Wyjący samochód Gardy* [Garda – irlandzka policja (przyp. tłum.)] zatrzymał chłopaków na przesłuchanie.

Okazało się, że mieli przy sobie rękawiczki, śrubokręty i taśmę klejącą. Twierdzili, że są pomocnikami cieśli. Nie umieli jednak wytłumaczyć kilkunastu zwiteków srebrnego papieru zawierających heroinę i asortymentu kart kredytowych na różne nazwiska, znalezionych w ich torbach. Miejscowy sierżant przyjechał osobiście podziękować pani Moore za pomoc. Od tamtego czasu pani Moore przypisała sobie rolę ochroniarza małego kompleksu mieszkaniowego. Stephanie przyszło do głowy, że powinna kupić sąsiadce ładny prezent świąteczny.

Weisnęła przycisk automatycznej sekretarki i odsłuchiwała wiadomości, odpakowując drobne zakupy, które zrobiła po drodze do domu. Robert zawsze wyśmiewał to, że miała w domu tak mało jedzenia, ale ona po prostu rzadko tu jadła – przekąski, śniadanie, herbata, kolacja – tak, ale nigdy nie gotowała pełnego posiłku na kuchence. Przecież Bóg wynalazł mikrofalówki.

Stef, tu mama. Jesteś tam? Gdzie się podziewasz?

Stephanie otworzyła lodówkę i wstawiła do środka pół litra odtłuszczonego mleka, zaraz obok w połowie opróżnionego kartonu soku pomarańczowego i nieotwartej butelki szampana. Nie znosiła, kiedy ludzie mówili do niej „Stef.

Pewnie imprezujesz gdzieś na mieście...

Zrezygnowana pokręciła głową. Nieważne, jak często przypominała matce o różnicy czasu między Dublinem a Nowym Jorkiem, Toni Burroughs zawsze o niej zapominała. Czasem Stephanie wydawało się, że jej matka jest pewna, iż córka mieszka w Australii.

Chciałam się tylko upewnić, że nie przyjeżdżasz do domu na Boże Narodzenie...

Stephanie włożyła jogurty do lodówki. Tysiąc razy mówiła matce, że na święta zostaje w Irlandii. Któregoś roku – tylko raz – popełniła błąd i pojechała w tym czasie do domu rodzinnego na Long Island. Od tamtej pory co roku matka dzwoniła i – bardziej lub mniej subtelnie – namawiała ją, żeby znów przyjechała.

Będą wszyscy twoi bracia i siostry. Twoi kuzyni też.

Stephanie Burroughs dorastała na Long Island jako córka profesora college'u i nauczycielki w szkole średniej. Rodzina była głęboko wierząca, siedmioro dzieci – czterech chłopców i trzy dziewczynki – mieszkało razem w domu z czterema sypialniami w katolickiej dzielnicy, wiodąc

spokojne, dostojne życie spełnionego amerykańskiego snu. Między najstarszym Billem a najmłodszą Joan było tylko dwanaście lat różnicy. Stephanie była mniej więcej w środku i jakoś udało jej się uniknąć klik, grup i grupek, jakie tworzą się w każdej dużej rodzinie. To sprawiało, że wydawała się nieco wyobcowana z reszty ogromnej rodziny, która była bardzo mocno ze sobą związana. Zawsze czuła się trochę jak outsiderka, co tylko ułatwiło jej podjęcie decyzji o opuszczeniu domu i wyjeździe najpierw do Nowego Jorku, a potem do Chicago. Była także pierwszą osobą w rodzinie, która opuściła ojczyznę, a teraz – w podeszłym wieku trzydziestu pięciu lat – była jedyną niezamężną. Billy, ku przerażeniu matki, miał za to już trzecią żonę.

Twój ojciec grzebał wczoraj w sieci i znalazł dobrą ofertę na bilety. Jeśli miałabyś problem z pieniędzmi, wiesz, że może ci je wysłać...

Stephanie nalała sobie wody z filtrującego dzbanka i pokręciła głową. Sumując pensję, premie i wydatki, zarabiała rocznie około stu pięćdziesięciu tysięcy euro. Ona i bank kupili ten dom, miała swój samochód, jeździła regularnie na wakacje, dobrze jadła, chodziła do teatru, kina i siłowni, kiedy miała ochotę. Latała pierwszą albo przynajmniej biznes klasą i była prawdopodobnie najlepiej zabezpieczoną finansowo ze wszystkich dzieci Burroughsów. Odniosła też największy sukces zawodowy, ale nie wiedzieć czemu, Toni ciągle traktowała córkę jako sekretarkę albo nisko postawioną dziennikarkę zarabiającą grosze. Nie miała męża i przynajmniej jednego dziecka, więc matka martwiła się o nią. W zeszłym roku, kiedy odwiedziła rodzinę na Święto Dziękczynienia, Toni zaaranżowała serię domowych spotkań z młodymi i interesującymi bądź niezupełnie młodymi i wcale nieinteresującymi mężczyznami, ale to swatanie nie było zbyt subtelne.

Byłoby cudownie cię zobaczyć. Może, jeśli ładnie poprosisz, szefowie dadzą ci trochę więcej urlopu. Powiedz, że nadrobisz to w nowym roku.

Stephanie ciągle miała niewykorzystane dziesięć dni urlopu z tego roku. Chciała spróbować przenieść je na następny. Gdyby udało jej się przekonać Roberta, żeby wziął kilka dni wolnego, mogliby razem polecieć do Nowego Jorku i na Long Island, aby poznać jej rodziców. Stephanie zamarła na chwilę, uświadamiając sobie, o czym myśli. Spotkanie z rodzicami to była poważna decyzja. Wiedziała, że na pewno polubią Roberta – odnoszącego sukcesy irlandzkiego biznesmena, kilka lat starszego od niej. Jednak faceta przedstawia się rodzicom tylko wtedy, kiedy związek jest poważny. Uśmiechnęła się i twarz jej pojaśniała. Była pewna co do niego – uśmiech nieco zbladł – i w miarę upływającego czasu stawała się coraz bardziej zaangażowana.

Zadzwoń do mnie, jak ci się uda, ale pewnie zapracowujesz się tam na śmierć. Może w Wigilię. Wszyscy będą u nas, twoi bracia i siostry, ich żony i dzieci. Przyjdą wszyscy...

No właśnie, pomyślała Stephanie i wymówiła następne słowa razem z matką:

... oprócz ciebie, oczywiście.

Stephanie zanurzyła się w kąpiel z puszystą pianą i przycisnęła komórkę do ucha.

– No i wtedy ona powiedziała: „Przyjdą wszyscy oprócz ciebie, oczywiście”. I mów mi o emocjonalnym szantażu!

Sally Wilson, najlepsza przyjaciółka Stephanie, zaśmiała się wesoło.

– Moja matka jest dokładnie taka sama. Wszystkie matki na całym świecie są takie same. Chyba chodzą na te same kursy.

Stephanie wyciągnęła nogę z wody i pozwoliła, by miękka piana spływała po gładkiej skórze. Posiadanie wanny na tym osiedlu było koszmarnie drogie, ale były to dobrze wydane pieniądze. Po długim, ciężkim dniu nic nie dorównywało kąpeli.

– Wiesz, przez chwilę była to kusząca propozycja. Byłoby fajnie pojechać do domu, spotkać się z całą rodziną. Wiem, że mama i tata robią się coraz starsi...

– Więc czemu nie? – poważnie spytała Sally. Stephanie wyraźnie usłyszała, jak jej przyjaciółka bierze głęboki oddech i przypala papierosa. Wyobraziła sobie, jak stoi gdzieś przed pubem z drinkiem w jednej ręce i papierosem w drugiej.

– Czemu nie, co?

– Czemu nie wsiądziesz w samolot, nie pojedziesz tam i zaskoczysz wszystkich w Wigilię? Nie mów nikomu, po prostu jedź.

– Nie mogę!

– Co cię zatrzymuje? – ostro spytała Sally. – Jestem pewna, że twoja matka będzie uszczęśliwiona, kiedy cię zobaczy.

– Na pewno.

– A ty sama wiesz, że czas płynie i kolejne święta mogą być jej ostatnimi.

– Wiem.

– Ale... ? – naciskała Sally.

– Co z Robertem? – Stephanie zamknęła oczy, jak tylko, wypowiedziała jego imię. Wiedziała, co się święci.

– Ach tak, Robert – zimno oświadczyła Sally i Stephanie mogła wyobrazić sobie, jak mocno zaciąga się papierosem. – Ciekawe, gdzie będzie Robert. Och, już wiem, w do- mu z żoną i dziećmi. Tak jak rok temu i dwa lata temu, i przyszłym roku, i jeszcze w następnym.

Stephanie usiadła w wannie i sięgnęła po szklankę wody stojącą na brzegu.

– Nie lubisz go, prawda? – powiedziała wesoło, próbując uniknąć kolejnej kłótni na temat Roberta.

– Nie bardzo. Nie.

– On jest naprawdę miły. Muszę was ze sobą poznać.

– Jestem pewna, że jest wspaniałym mężczyzną, głaszcze psy, daje pieniądze na kościół, całuje dzieci i kocha swoją żonę. I oczywiście okłamuje ją.

Stephanie westchnęła.

– Przepraszam – odezwała się natychmiast pojednawczo Sally. – Nie zamierzałam się z tobą kłócić. Po prostu nie chcę, żebyś siedziała w Wigilię sama, czekając, aż Robert wpadnie na godzinę, a potem w Boże Narodzenie wyczekując odwiedzin, które nie nastąpią. To wszystko.

– Wiem – westchnęła znów Stephanie. Myślała o tym prawie cały czas w miarę, jak zbliżały się święta: co będzie robić w Boże Narodzenie? Pamiętała ostatnie – nigdy nie czuła się tak

samotna, opuszczona, nieszczęśliwa. – Wiem, że masz rację. Zamierzam go o to zapytać.

– Im szybciej, tym lepiej, skarbie. Już niecały tydzień do świąt – poradziła Sally.

– Jutro wieczorem. Umówiliśmy się na kolację. Porozmawiam z nim.

– OK. A jakie masz plany na dzisiaj?

– Żadnych. Wzięłam pół dnia wolnego, potem przeszłam całe miasto w poszukiwaniu prezentu dla Roberta, ale nic nie znalazłam. Co kupiłaś Dave'owi?

– Ładną skórzaną kurtkę i zestaw Gwiezdných Wojen na DVD. Ma je na kasecie video, ale wiem, że będzie się cieszył, oglądając je znów na DVD. Jak duże dziecko.

– Masz szczęście. Dave przynajmniej ogląda filmy i czyta książki. Robert nie robi ani jednego, ani drugiego.

– Twój Robert to jakieś dziwadlo – zgodziła się Sally.

Stephanie czekała już na następny wykład, ale nagle przyjaciółka urwała:

– Muszę iść. Przyszedł Dave. Pogadamy jutro.

Rozłączyła się, a Stephanie odsunęła telefon od ucha.

Była pewna, że słyszała delikatny sarkazm w głosie Sally, kiedy wymawiała słowo „twój”. Bo, oczywiście, to nie był „jej” Robert. To był Robert kogoś innego.

Sally i Robert do tej pory się nie spotkali, Stephanie z premedytacją unikała zapoznania ich ze sobą. Sally nie ukrywała, że nie lubi Roberta: był żonatym mężczyzną zabawiającym się z wolną kobietą. Była też surowa dla Stephanie, przypominając jej bezustannie, że głupio robi, wiążąc się z kimś takim. Stale się kłóciły i Stephanie była zmuszona poświęcić tę przyjaźń dla romansu z Robertem. W końcu jednak zrozumiała, że Sally chce dla niej jak najlepiej, próbując uratować przyjaciółkę przed czymś, co miało skończyć się złamanym sercem i nieuniknionym cierpieniem.

A ona naprawdę jest głupia, wiedziała o tym. Złamała jedną ze swoich odwiecznych zasad: nie wchodzi między inną kobietę i jej faceta. Jest przecież wielu innych. Ale nie takich jak Robert. On był inny.

Stephanie wyprostowała się i odkręciła kurek, żeby dolać więcej gorącej wody do kąpieli. Wrzuciła do wanny sól i delikatnie korzenny zapach zielonej herbaty przeniknął wilgotne powietrze. Wyciągnęła się wygodnie, kładąc głowę na poduszce z piany. Obok jej prawego ramienia dopalała się gruba niska świeca. Kiedyś w mieszkaniu nie było wanny, tylko prysznic. Przed wprowadzeniem się Stephanie ściągnęła zespół dekoratorów wewnątrz, żeby przebudowali fragment drugiej sypialni i włączyli go do łazienki, powiększając ją. Zdecydowała się na rustykalny wystrój: Miedziano-podobna wanna, pseudoantyk na nóżkach, stała teraz na środku podłogi wyłożonej terakotą. Trzy ściany pokrywały ręcznie malowane kafelki, czwartą – fresk, który dawał wrażenie drzwi otwierających się na tokański krajobraz. Kiedy miała wyjątkowo stresujący dzień, Stephanie wypełniała wannę po brzegi, dodawała sól o zapachu zielonej herbaty albo minerałów z Morza Martwego, zapalała świece, leżała i patrzyła na fresk. Wtedy czuła, jak stresy i napięcie całego dnia odpływały.

Jak na ironię, kiedy sześć lat wcześniej po raz pierwszy spotkała Roberta, wcale go nie

polubiła. Nie był specjalnie przystojny, za to arogancki i obcesowy, prawie niegrzeczny. Wydawał się siedzieć pod pantoflem żony i Maureen, starej smoczycy, która praktycznie prowadziła jego firmę.

Stephanie domyślała się jednak, że stosunki między Robertem a jego żoną już wtedy były napięte. Starał się o tym nie wspominać, ale łatwo było wyciągnąć wnioski z tego, co mówił, i jak mówił. Ponadto przysłuchując się rozmowom Kathy i Maureen, Stephanie dowiedziała się jeszcze więcej: żadna z dwóch kobiet nie szanowała go i mu nie współczuła.

Stephanie została zatrudniona, żeby zrobić research do programu, który miał stać się zapowiedzią długiej serii – *Sto lat temu dzisiaj* – wydarzenia z poprzedniego wieku prezentowane tak, jakby wydarzyły się współcześnie, z wyraźnym naciskiem na kwestie irlandzkie. Odcinki nieskomplikowane, za to dobrze udokumentowane. Każdy fragment musiał być perfekcyjny, bo R&K zamierzała sprzedać serię do kanału Discovery, a także nakręcić kasetę video i wydać książkę na podstawie programu. Żaden z tych planów nie wypalił. Problemem stała się liczba odcinków – zaplanowali dwutygodniową emisję, pięć dni w tygodniu, co dawało sumę sześćdziesięciu programów. Im usilniej Stephanie szukała materiałów, tym trudniejsze okazywało się znalezienie interesujących informacji dla każdego dnia sprzed stu lat. Przeszłość bywała też nudna i w niektóre dni w poprzednim wieku nic się nie wydarzyło, co utrudniało kręcenie dwuminutowych filmików. Poza tym Roberta nie stać było na drugiego researchera, więc Stephanie musiała radzić sobie zupełnie sama. Wtedy właśnie zaczęli razem pracować, przemierzając całą Irlandię, bo chcieli kręcić w oryginalnych sceneriach. Podczas tych podróży zaczęła lepiej poznawać Roberta i z zaskoczeniem odkryła, że pod maską aroganta krył się wrażliwy i inteligentny mężczyzna, który porzucił marzenia o produkowaniu wartościowych filmów dokumentalnych, żeby utrzymać rodzinę.

W rezultacie okazało się, że to Stephanie wyprodukowała całą serię: zbierała materiały, pisała scenariusze, wyszukiwała zdjęcia i materiały archiwalne do tekstów, chodziła nawet do wypożyczalni kostiumów w poszukiwaniu ubrań i biżuterii potrzebnych do rekonstrukcji teatralnych. Na Robertcie zrobiło to tak wielkie wrażenie, że dał jej nazwisko w tyłówce jako scenarzystki i producentki, a sam został producentem wykonawczym. To w pewnym sensie przyspieszyło jej własną karierę i była mu za to wdzięczna.

W tamtym czasie Robert nie interesował jej pod żadnym względem. Właśnie zakończyła związek z piłkarzem biednym jak mysz kościelna, który pozwalał jej płacić za wszystko, ale jak tylko odeszła, podpisał wielomilionowy kontrakt z angielskim klubem. Teraz mogła oglądać go regularnie co dwa tygodnie na pierwszych i ostatnich stronach brukowców, bo znów „popisał się” na boisku albo poza nim. Uznała więc, że uciekła w dobrym momencie.

Jej praca nagle się skończyła, pamiętała to dokładnie. Trzy tygodnie przed wygaśnięciem kontraktu Robert wezwał ją do biura w poniedziałek rano... nie, wtorek, zaraz po Bank Holiday. Dał jej trzytygodniową pensję, premię w wysokości dwutygodniowych zarobków i powiedział, że jest wolna. Nigdy jej tego nie wyjaśnił i dopiero lata później, kiedy zaczęli się spotykać, Stephanie odkryła, że w tamtym czasie Kathy oskarżyła męża o romans. Jakby wiedziała, co ma nastąpić!

Za tę niespodziewaną premię Stephanie pojechała na wakacje do Hiszpanii, gdzie spotkała młodą kobietę pracującą przy produkcji porannego programu w Anglii. Wymieniły się adresami i sześć tygodni później Stephanie pracowała już w „Dzień Dobry”, najpierw jako researcherka, potem – kiedy dowiedziano się, że współtworzyła *Sto lat temu dzisiaj* – jako współproducent. Pracowała tam przez rok, a potem dołączyła do jednej z największych agencji reklamowych na świecie. Znowu pomogło przypadkowe spotkanie: gościem jej porannego programu był Charles Flintoff, dyrektor zarządzający agencji, na którym Stephanie zrobiła ogromne wrażenie. Od razu zaproponował jej pracę, a ona ją przyjęła.

Życie pełne jest drobnych przypadków, krótkich chwil, kiedy prosta decyzja okazuje się mieć skomplikowane konsekwencje. Gdyby nie przyjęła wtedy pracy w R&K, nie pojechałaby do Hiszpanii, nie dostałaby pracy w angielskim programie, nie spotkałaby Charlesa i nie dostała oferty obecnego etatu, która sprowadziła ją z powrotem do Dublina, z powrotem w świat Roberta.

Dwa lata temu przyjechała do Dublina jako account manager agencji. Była w mieście niecały tydzień, kiedy na niego wpadła. Pogadali o dawnych czasach, poszli na drinka do Dobbins – bynajmniej nie najbardziej romantycznego miejsca w mieście. Tamto spotkanie doprowadziło do kolacji kilka dni później. Zastanawiała się, czy to właśnie wtedy zaczął się ich romans – na drinku w pubie Dobbins.

Rozdział 34

Stephanie stała w kuchni opatulona w ciepły pikowany szlafrok, czekając, aż zadzwoni mikrofalówka. Bezsmakowy i bezsodowy substytut posiłku, idealny przy niskokalorycznej diecie, obracał się powoli za szkłem. „Szybki posiłek” głosił napis na pudełku – to oznaczało piętnaście minut przygotowania, włączając oczekiwanie, co – jak się właśnie dowiedziała – przekładało się na czas stania przed kuchenką mikrofalową.

Zadzwoniła komórka i Stephanie automatycznie otworzyła drzwi mikrofalówki, zanim zdała sobie sprawę z tego, co robi. Telefon zostawiła na blacie. Podniosła go i uśmiechnęła się, widząc trzy x zamiast jego imienia. Czowała mrowienie w żołądku. Co teraz będzie?

– Cześć.

Telefon zaskrzeczał, więc odsunęła się od mikrofalówki.

– Chciałam zadzwonić później. Tęskniłam za tobą dziś wieczorem.

Słyszała poruszenie na drugim końcu linii, sygnał zanikał i znów wracał. Zastanawiała się, gdzie teraz jest Robert, jak wygląda, co ma na sobie.

– Wiem. Przepraszam – odezwał się cicho.

Z tonu jego głosu domyśliła się, że jest w domu. Zawsze mówił do niej szeptem, jeśli dzwonił stamtąd, jakby się bał, że ktoś go podsłuchuje.

– Pracowałem nad projektem dla DaBoyz. Potem wyszedłem, zanim korki zrobiły się jeszcze większe.

– Jak idzie?

Kontrakt z DaBoyz był największym zleceniem, jakie do tej pory udało jej się przepchnąć, ale dręczyły ją ogromne wątpliwości. Robert nigdy nie kręcił teledysku i, mimo że była pewna jego umiejętności, zaczynała żałować, że mu pomogła. Wyszła z kuchni i przeszła do salonu, układając się na kanapie.

– Chyba dobrze. Pokażę świetną prezentację.

– Potrafisz to zrobić. Wiem, że potrafisz.

– Mam nadzieję.

Usłyszała zwątpienie w jego głosie.

– Wierzę w ciebie. To nada firmie nowy kierunek. Zrobisz jeden dobry popowy teledysk i staniesz się grubą rybą. Zespoły będą waliły drzwiami i oknami.

Zastanowiła się, kogo właściwie chce przekonać. Dla DaBoyz teledysk to ostatnia szansa. Byli na krawędzi rozpadu, a ich manager, Eddie Carson, zamierzał prawdopodobnie wziąć jednego z chłopaków pod swoje skrzydła, zrobić z niego solistę i rzucić całą resztę.

– Masz rację. Wiem, że masz rację. Jeszcze raz dzięki za to zlecenie.

Miał znużony, smutny głos. Wiedziała, co to oznacza: pokłócił się z Kathy. Kiedyś myślała, że

Robert jest zwyczajnie tchórzem, nieumiejącym sprzeciwić się żonie. Ostatnio zrozumiała jednak, że nie robił tego, bo nie chciał jej denerwować. A to było dość szokujące odkrycie, bo nasuwało pytanie: czy Robert ciągle czuł coś do Kathy? Twierdził, że nie, ale...

– Co się stało? – zapytała delikatnie.

– Nic.

– Przecież słyszę.

– Skąd wiesz?

– Krótkie zdania. Kiedy jesteś zmęczony albo zmartwiony, odpowiadasz krótkimi zdaniami.

– Ty i twoje wyższe wykształcenie – szybko odpowiedział Robert, ale usłyszała zmianę w jego głosie i wiedziała, że uśmiecha się do słuchawki.

– To nie ma nic wspólnego z moim wykształceniem – poza tym nie jestem pewna, czy „Interpretacja zachowań kochanka” to przedmiot na dziennikarstwie. Zmusiła się, żeby mówić wesoło i z otuchą. Chciała, żeby był dobrej myśli i żeby skupił się na porannym spotkaniu. – W takim razie powiedz mi, co cię gryzie.

– Jak zwykle. Jestem tylko zmęczony. Miałem długi dzień.

– A Kathy? – naciskała.

Nastąpiła długa pauza.

– Jest w kiepskiej formie. Widziałem, jak łykała dziś tabletki, chyba bierze ją jakaś choroba.

Stephanie otwierała już usta, żeby odpowiedzieć, ale zamknęła je szybko. Irytowało ją, że ma problemy w małżeństwie, ale nie chciał stawić im czoła i, co ważniejsze, rozwiązać ich. Zawsze znajdował wymówkę: Kathy kłóciła się z nim, bo była zmęczona, chora, zdenerwowana. .. Kiedy on wreszcie zrozumie, że żona kłóci się z nim, bo to jedyna forma komunikacji, jaką zna?

– Myślisz, że ją usprawiedliwiam, prawda? – warknął.

Nagły przypływ złości zdziwił ją. – Przepraszam, nie powinienem był tego mówić – dodał łagodniejszym już tonem. – Jestem zmęczony. Tak, pokłóciliśmy się dzisiaj.

Ale to wina świąt i tej fatalnej pory.

To było zdanie, na które czekała.

– Zobaczę cię w te święta? – spytała. Jeśli odmówi, będzie mogła od razu rezerwować lot do domu i zaskoczyć rodzinę. Byłoby miło spędzić rodzinne święta, zwłaszcza jeśli miała do wyboru samotność. A jeśli pojedzie na Long Island, na pewno nie będzie samotnie ani cicho, lecz głośno i wesoło, wszyscy zwykle krzyczą, kłócą się i jedzą. Dużo, dużo jedzą. Matka przyniesie stare albumy ze zdjęciami, a ojciec projektor. Spozstrzegła, że sobie przytakuje: ta perspektywa spodobała się jej.

– Jasne – odparł szybko.

– Wiesz już kiedy?

– Cóż, zobaczymy się w Wigilię. Mam coś dla ciebie. A potem pewnie w Świętego Stefana... nie, nie wtedy, może dzień później.

– Dlaczego nie w czwartek?

Więc nie zobaczy go w środę ani w czwartek. Jeśli wejdzie teraz do Internetu, może uda jej się zarezerwować bilet. Bezpośredni lot z Dublina na JFK byłby super, ale mogła też lecieć przez Londyn. Na pewno znajdzie połączenie z Heathrow na JFK. Mikrofalówka zadzwoniła, więc Stephanie wstała z kanapy i wróciła do kuchni.

– Idziemy na obiad do siostry Kathy, Julii. Taka tradycja.

Spędzanie Bożego Narodzenia z ukochanym to też tradycja, pomyślała, ale oparła się pokusie, żeby powiedzieć to głośno.

– Pamiętam, że mówiłeś to samo w zeszłym roku. Wydaje mi się, że obiecywałeś wtedy, że to ostatni obiad, w którym uczestniczysz.

Przełożyła gorące opakowanie na talerz i dziabnęła przykrywkę widelcem, żeby wypuścić parę. Delikatny aromat hinduskich przypraw wypełnił kuchnię.

– Chyba mówię tak co roku.

– Lubisz tam chodzić?

– Nie.

– Masz przecież wybór: obiad u szwagierki albo czas spędzony ze mną. Co wybierasz?

– Bez wahania ciebie – odparł natychmiast.

– Więc tak zrób.

Wiedziała jednak, że Robert zaraz znajdzie kolejny problem.

– To nie takie proste.

– Będzie proste, jeśli tak zdecydujesz.

– Wiesz, że bardzo chcę.

Stephanie poczuła się zmęczona tą wymianą zdań. Musiała zaakceptować, że nie spotka się z nim w święta: taka była cena za związek z żonatym facetem.

– Wiem. Przepraszam. Nie powinnam cię tak dręczyć. Chyba też jestem zmęczona. Ale jutro się zobaczymy?

– O tym właśnie chciałem z tobą porozmawiać. Umówiłem się podwójnie. Jutro wieczorem spotykam się z Jimmym Moranem. Przykro mi. Możesz za to winić sytuację w biurze. Myślałem, że Maureen odwołała to spotkanie, a Illona nie pomyślała, żeby to sprawdzić. Przepraszam.

– Nic nie szkodzi.

Była zadowolona, że udało jej się mówić spokojnie i ukryć rozczarowanie.

– Zdarza się. Maureen ma zamiar wrócić?

– W styczniu. Albo i nie. Nie może – lub nie chce – dać mi jasnej odpowiedzi.

– Jeśli chodzi o tę sprawę, musisz w końcu zacząć myśleć głową, a nie kierować się sercem – zasugerowała. – Jeśli uda ci się zrobić ten klip, chyba nie chcesz, żeby za sekretarskim biurkiem siedziała kobieta wyglądająca jak staromodna niania, prawda?

– Masz rację. Oczywiście, masz rację – westchnął. – Sam się zorientowałem, że tak jest. Ale nie mogę jej zwolnić przed świętami.

– Jesteś za miękki – zamruczała Stephanie. – Chociaż mi zazwyczaj udaje się to zmienić –

dodała szybko delikatnym i namiętym głosem, zbijając go z tropu.

- Masz tupet!
- Czasami. Więc jutro się nie zobaczymy?
- Mam prezentację dla zespołu i ich managera z samego rana, a wieczorem kolację.
- Wpadniesz później?
- Może – powiedział niepewnie.
- Może – zaśmiała się głośno i wesoło. – Tylko „może”?
- A warto?
- Oczywiście – obiecała.
- Zobaczę, co da się zrobić.

Stephanie zaniósła swoją nieskomplikowaną kolację do pokoju. Wcisnęła guzik pilota leżącego na oparciu fotela. *Timeless Medwyn Goodall* wypełniło powietrze. Lubiła prostą muzykę z klimatem. Skupiła się na delikatnych dźwiękach gitary, mechanicznie przelękając posiłek. Nie czuła smaku. Bez powodzenia usiłowała zapomnieć o rozmowie, którą właśnie przeprowadziła.

Sally miała rację. Sally zawsze miała rację, jeśli chodziło o mężczyzn. I wyznawała jedną zasadę: nigdy z żonatym. W ciągu piętnastu lat przyjaźni ze Stephanie poznała dziesiątki facetów, były to głównie niezobowiązujące, ale i trzy poważne związki, lecz żaden z jej partnerów nie był żonaty. Sally starała się ograniczać swoje przyjacielskie spotkania z żonatymi albo zajętymi facetami do absolutnego minimum. Kiedy Stephanie żartowała, że przecież możliwe są związki platoniczne, przyjaciółka śmiała się, twierdząc, że wcześniej czy później „platoniczny” zmieni się w „seksualny”, a jeśli seks wkradnie się do przyjaźni, wszystko się zmienia.

Z pewnością zmieniło się dla Stephanie, kiedy poszła z Robertem do łóżka. Napięcie seksualne między nimi narastało już od pewnego czasu. Widziała, co się święci na długo, zanim on się zorientował. Kiedy odwiedzali różne miejsca w Irlandii, snując plany, często spacerowali i dużo rozmawiali. Nauczyła się wtedy o nim bardzo wiele – o młodym mężczyźnie, którym był kiedyś, pełnym pomysłów i marzeń na przyszłość, i o tym, którym się stał – z zawiedzionymi nadziejami, uwięzionym w małżeństwie bez miłości, i w pracy, która powoli ciągnęła go na dno.

Ten pierwszy raz, kiedy się kochali... był niezwykle. Robert wydawał się namięty i zarazem delikatny, bał się, żeby jej nie zranić, nie stracić, a po wszystkim płakał. Nigdy nie była zupełnie pewna, dlaczego. Mówił jej, że to ze szczęścia, do tamtej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest nieszczęśliwy. Ale nie była pewna, czy może mu wierzyć.

Nigdy nie miała uczucia, że odbiera go kochającej żonie. Robert był zawsze bardzo lojalny wobec Kathy i nigdy nie powiedział o niej nic złego, ale ze strzępków informacji, które zdradzał podczas rozmów i spacerów, Stephanie domyśliła się, że pomiędzy nimi istnieje ogromna przepaść. Gdyby nie mieli dzieci, pewnie rozeszliby się w różne strony, ale ich związek – zarówno ze strony Roberta, jak i Kathy – opierał się właśnie na dzieciach, domu, firmie... Dość skomplikowane. Robert zachowywał się jak wolny mężczyzna i Stephanie tak go traktowała. Kochali się, bo chcieli. Ani

on, ani ona, nie czuli się winni. Robert był staroświeckim i nużącym kochankiem, ale doceniał fizyczny aspekt ich związku. Stephanie lubiła budzić się w jego ramionach, doznając uczucia ciepła i spokoju.

Odsunęła talerz, nie czując smaku jedzenia. Zniosła naczynie do kuchni i wrzuciła je do zlewu. Wiedziała, że powinna pozmywać, ale ogarniała ją rosnąca niemoc, chciała jedynie wejść do łóżka i zasnąć. Muzyka umilkła, mieszkanie znów było spokojne i ciche. Stephanie przeszła przez pomieszczenia, sprawdzając, czy drzwi są zamknięte, a światła wyłączone. Czowała, co się dzieje. Zajął jej dużo czasu, zanim zdała sobie z tego sprawę, a kiedy zrozumiała, przeraziło ją to i zdziwiło. Była samotna.

Kiedyś była Stephanie Burroughs, pewną siebie, samowystarczalną i dzielną odkąd skończyła siedemnaście lat i odeszła z domu. Zawsze miała kontrolę nad wszystkim, nie potrzebowała nikogo i nie chciała nikogo w swoim życiu.

To się zmieniło.

Teraz była samotna.

Te chwile, smutne dni, jak je nazywała, zdarzały się czasem w przeszłości, kiedy chciała mieć Roberta blisko, a on, z różnych powodów, nie mógł przy niej być. Ostatnio jednak smutne dni zdarzały się coraz częściej. Przyzwyczała się do bliskości Roberta. Kiedyś było łatwiej, znacznie łatwiej.

Ale wtedy nie wiedziała jeszcze, czego brakuje w jej życiu. I nie chodziło tylko o faceta – uważała za bzdurę to, że kobieta potrzebuje mężczyzny, żeby ją dopełniał. Myślała o partnerze, towarzyszu, kochanku, przyjacielu. Na początku łączył ich tylko seks. Byli jak para nastolatków, cieszyli się swoimi ciałami, pieścili w samochodzie, w kinie, spędzali całe dnie w łóżku, wracali razem z biura, kochali się, chodzili na kolacje, wracali i znów się kochali. To była rodzaj gry.

Wszystko się zmieniło, kiedy się w nim zakochała.

Gdyby tylko była pewna, że ją kocha. Mówił, że tak.

Czy mu wierzyła?

Rozdział 35

Piątek, 20 grudnia

Brzęczenie telefonu obok łóżka wyrwało ją z głębokiego i pozbawionego snów letargu. Po omacku sięgnęła po aparat, prawie zrzucając go ze stołu.

– Cześć, tu twój telefon zaufania.

Poznając głos Roberta, zmusiła się do podniesienia i zobaczyła, że pościel leży zwinięta w kłębek na podłodze. Kiedy spała sama, wierciła się i kręciła, ale kiedy Robert był z nią w łóżku, leżała spokojna i nie ruszała się. Spojrzała na zegar.

– Mój Boże, która godzina?

– Dziesięć po ósmej, prawie kwadrans. Obudź się, śpiochu. Myślałem, że jedziesz już do biura.

– Dzisiaj idę później. Miałam nocną rozmowę z Los Angeles, ośmiogodzinna różnica czasu to koszmar.

Telefon zadzwonił pierwszy raz około północy, wrywając ją z głębokiego snu. To był Bill, jej brat, pytał, czy przyjedzie do Stanów na święta. Od razu domyśliła się, że to matka zaplanowała wszystko w mało subtelny sposób i zmusiła najstarszego syna, żeby zadzwonił do siostry. Zanim odłożyła słuchawkę, rozmawiali przez dziesięć minut o niczym, ale nie mogła już zasnąć aż do rana. Chciała, bardzo chciała, żeby Robert był przy niej. Nie, żeby się z nią kochał, tylko żeby ją przytulił.

Była świadoma, że on coś do niej mówi i wreszcie ledwo słyszalne słowa dotarły do niej.

– Jeśli już mówimy o rozmowach, odsłuchałem właśnie wiadomość od Carsona. Chce przełożyć spotkanie.

Ja się zgadzam.

Usiadła całkiem już wyprostowana na łóżku i potarła dłońmi oczy. Jej intuicja i znajomość branży mówiły jej, że coś jest nie tak.

– Powtórz mi dokładnie, co powiedział.

– Hm, przekazał tylko... właściwie, poczekaj chwilę, puszcę ci tę wiadomość.

Usłyszała, jak przechodzi przez biuro i wciska przycisk na automatycznej sekretarce.

Jej uszu doszedł piskliwy dźwięk, kiedy Robert przewijał pierwszą wiadomość, potem ze słuchawki popłynął głos Eddiego Carsona:

„Dzień dobry, Robercie, tu Eddie Carson, manager DaBoyz. Stephanie mówiła, że zaczynasz pracę wcześniej. Zadzwoni do mnie, jak tylko dotrzesz. Muszę przełożyć nasze spotkanie”.

Stephanie potrząsnęła głową ze zdziwieniem. Eddie robił ten sam numer każdemu, z kim pracował.

– I tyle – powiedział wesoło Robert. – Nie ma problemu. Wyczyszczę terminarz, żeby się z nimi spotkać.

– Jest problem – parsknęła Stephanie. – To bzdura. Mówiłam Carsonowi, jakie mamy szczęście, że udało nam się ciebie zdobyć. Oddzwon do niego i nie pozwól – słyszysz mnie? Nie pozwól mu przełożyć tego spotkania. Musisz pokazać temu draniowi, kto tu rządzi, bo inaczej cię zdepcze.

– Ale naprawdę nie ma sprawy... – zaczął Robert.

– Zrób, jak mówię. Bądź twardy. Zagroź, że spotykacie się dziś rano albo wcale, potem odczekaj chwilę i nic nie mów. Zwróć uwagę na jego reakcję.

Wyskoczyła z łóżka i stanęła przy oknie, wyglądając na podwórko. Pani Moore zmiatała suche liście sprzed frontu domu. Stephanie miała serdecznie dość Eddiego Carsona i jego podrzędnego zespołu. Gdyby nie byli już na wylocie, sama poleciłaby agencji pozbycie się ich.

– OK – zgodził się Robert, ale w jego głosie słyszała niezdecydowanie. Dlaczego do cholery nie mógł jej zaufać?

Bo była kobietą, a on mężczyzną, a mężczyźni zawsze wiedzieli, jak prowadzić interesy. Ale nie tym razem.

– Zaufaj mi. Zrób to od razu, a potem oddzwon do mnie.

– Tak jest!

Odłożyła słuchawkę. Z telefonem w ręce poszła do łazienki i odkręciła prysznic. Chciałaby usłyszeć, jak Robert radzi sobie z tą sprawą: jeśli ulegnie, teledysk będzie porażką, bo Carson wszystko zrobi po swojemu. Jeśli Robertowi uda się uciszyć managera DaBoyz, będzie miał szansę.

Ale Stephanie wiedziała także, że Robert desperacko szukał zleceń i dlatego może poddać się Carsonowi. Będzie jeszcze bardziej zdesperowany, kiedy się dowie, że to ostatnie zlecenie, jakie dostał od jej agencji. Już była skompromitowana. Nie wiedziała tylko, jak bardzo.

Ostatnia rozmowa, którą przeprowadziła ze swoim szefem, Charlesem Flintoffem, była bardzo zasadnicza. To był człowiek, który odkrył ją w porannym programie telewizyjnym i dał jej pracę wyłącznie na podstawie półgodzinnego spotkania. Uczył ją, a ona okazała się doskonałą uczennicą. Czuli, że traktuje ją niemal jak córkę – miał trzy własne, z których żadna nie poszła w jego ślady – a ona z kolei bardzo lubiła jego. Słyszał plotki o związku z Robertem i wezwał ją natychmiast, żeby prosić o jednoznaczną odpowiedź. Przez chwilę chciała skłamać i zaprzeczyć pogłoskom, ale zamiast tego przyznała się. Później zdała sobie sprawę, że to prawdopodobnie ocaliło jej posadę. Charles powiedział kiedyś, że zadaje tylko takie pytania, na które zna odpowiedź. Na jej korzyść przemawiało także to, że te kilka zleceń, które przekazała Robertowi, miało sensowną cenę i zostało zrealizowanych z powodzeniem. Charles nie skomentował faktu, że Robert jest żonaty, ale podkreślił, że angażując się w romans z klientem, Stephanie skompromitowała agencję. Przyznała, że kiedy dawała mu zlecenia, nie myślała o tym.

– Miłość jest ślepa – dodał Charles – ale zauroczenie może być głupie.

Jeśli chciała pozostać w branży, miała wybór: zerwie z Robertem albo przestanie podsyłać mu

zlecenia. Musiała zdecydować i mimo że Charles tego nie powiedział, wydawało jej się, że chciałby, żeby zrobiła jedno i drugie. Zapewniła go wtedy, że nie pozwoli, aby R&K starała się o kolejne zlecenia, a jeśli tak się stanie, nie weźmie ich pod uwagę.

– Dobrze, uznajmy sprawę za zamkniętą – zakończył Flintoff swoim dobrodusznym głosem z arystokratycznym akcentem. – Nie ma potrzeby do niej wracać.

Stephanie wiedziała, że już nie wspomni o tym wszystkim, ale dostrzegła rozczarowanie na jego twarzy i zrozumiała, że zaufanie, którym ją obdarzał, zostało zrujnowane, i będzie musiała ciężko pracować, by je odbudować.

Stephanie zastanawiała się nad reakcją Roberta, kiedy zda sobie sprawę, że nie będzie już dostawał zleceń z jej agencji. Wiedziała, że liczy na następne w nowym roku. Zrobił nawet, trochę podstępnie, budżet oparty na swoich nadziejach. Zdecydowała, że powie mu w styczniu. Niech cieszy się świętami.

Patrzyła na siebie w lustrze. Miała rozczochrane włosy i przekrwione oczy po nieprzespanej nocy. Skóra na twarzy zwiótczała i widać było na niej odcisnięte ślady poduszki. Odsunęła się o krok od lustra i krytycznie przyjrzała się własnemu odbiciu: jej ciało było we względnie dobrej kondycji, piersi miała raczej jędrne, brzuch płaski, ale zaczynała przegrywać wojnę z celulitem na udach. Nie była piękną, była zwyczajną. Co dokładnie Robert w niej widział, zastanawiała się. Co go do niej przyciągnęło?

Lepszy budżet dla firmy? Myśl obrzydliwa i złośliwa, ale pojawiła się nie pierwszy raz.

Zadzwonił telefon.

- Miałaś rację. Co ja bym bez ciebie zrobił?
- Miejmy nadzieję, że nigdy się nie dowiesz.
- Jestem twoim dłużnikiem.
- Och, bądź pewny, że odbiorę ten dług – obiecała.

Rozdział 36

– Cóż, lubię go – powiedział Eddie Carson. Jego głos dochodził z zestawu głośnomówiącego w bmw, więc skrzeczał i zanikał.

Stephanie śledziła wzrokiem przechodnia, który szedł po Mount Street, zonglując kluczykami do samochodu. Szedł do auta czy wysiadł z niego?

– Wiedziałam, że go polubisz, Eddie – rzuciła wesoło.

– Poza tym jest nowy, ma świeże pomysły, więc na pewno dostaniesz coś nietypowego, inny image zespołu.

– Tak, tak, miał parę dobrych pomysłów – Carson mówił znudzonym głosem.

– Nie próbowałaś przełożyć spotkania dziś rano, prawda, Eddie?

– Czy mógłbym zrobić coś takiego, panno Burroughs? – spytał niewinnie Carson.

– Oczywiście.

Przechodzień zatrzymał się przy pięcioletnim peugeot kombi i wsiadł do środka. Stephanie podjechała blisko, włączając kierunkowskaz. Teraz musiała tylko upewnić się, żeby nikt nie ukradł jej miejsca.

– Cóż, to taka gra, Stef. Musisz w nią grać. Ale ten nowy chłopak, Roger...

– Robert – poprawiła go.

– Robert. Taaak, chyba zna zasady. Rozumiem, że znasz go dobrze? – kpina w jego głosie była aż nadto słyszalna.

Kierowca peugeotu nie ruszał się. Stephanie zazgrzytała zębami.

– Jakie są szanse, że DaBoyz się nie rozpadną? – spytała, nie odpowiadając na jego pytanie i zbijając go z tropu. Jeśli chciał sobie pogrywać, ona też mogła – lepiej, niż on kiedykolwiek potrafił.

– Nie obawiaj się. To ja sprzedałem prasie historyjkę o ich rozpadzie. Singiel nie będzie numerem jeden na święta, szkoda, ale jeśli Roger...

– Robert.

– ...Robert nakręci dobry teledysk, będziemy mieli spore szanse na czołówkę z następnym singlem wczesną wiosną.

Stephanie wiedziała, że Carson kłamie w żywe oczy. Nowy teledysk wyjdzie pewnie tydzień przed tym, jak zespół ogłosi separację „z powodów artystycznych”. A powody artystyczne były takie, że tylko jeden z nich potrafił śpiewać. Sympatia i współczucie tysięcy fanów mogą wepchnąć singiel do pierwszej piątki.

Peugeot w końcu wyjechał i Stephanie wcisnęła bmw w wolne miejsce.

– Brzmi nieźle. Wesołych Świąt, Eddie. Porozmawiamy po Nowym Roku.

– Tobie też, Stef.

– I... mam nadzieję, że nie przeczytam w gazetach, że zespół się rozpada. Wypuścimy najpierw teledysk.

– Chcesz pokazać robotę swojego chłoptasia, co? – rzucił Carson i rozłączył się, zanim zdążyła odpowiedzieć.

Stephanie skinęła głową. Tę rundę wygrał.

– Byłam tego pewna – Stephanie przechadzała się po biurze, opowiadając skróconą wersję rozmowy z Eddiem.

Robert siedział za biurkiem, intensywnie wpatrując się w ekran komputera.

– Twoja rada była strzałem w dziesiątkę – powiedział, nie podnosząc wzroku znad monitora. – Przyszli punktualnie o dziesiątej. Chłopcy byli jak złoto, nieco onieśmieleni tym wszystkim, tak mi się wydawało, i totalnie zmanipulowani przez Carsona. To on podejmował wszystkie artystyczne decyzje.

Stephanie przejrzała rysunki leżące na stole konferencyjnym. Po raz pierwszy widziała skończoną prezentację i podobała jej się. Robert chciał nakręcić nowy singiel *Heart of Stone* w krajobrazie Burren w Co Clare. Miał zamiar kręcić w kolorze, ale potem przemontować obraz na biało-czarny, dając teledyskowi surowy klimat. Druga część klipu, zawierająca elementy mitologii celtyckiej, miała być nasycona prymitywną erotyką. Kiedy patrzyła na dokładne, wyraźne rysunki każdego ujęcia, przypomniało jej się, jak dobry potrafił być Robert, kiedy miał ku temu okazję.

– Wyglądają bardzo dobrze, ekscytująco. Inaczej.

– Carson sypał pochlebstwami. – Robert wyszedł za biurka, zbliżył się do Stephanie i zaczął układać obrazy w sekwencję tworzącą teledysk. – Wydaje się, że robię to całe życie – zamruczał. – Carson chciał wprowadzić kilka zmian.

– To typowe. Próbuje pokazać, że ma władzę, tak samo jak z przekładaniem dzisiejszego spotkania. Często – byłam świadkiem, jak to robił. Wydaje mu się, że jest managerem U2, a nie kolejnego, klonowanego boysbandu. Gdybyś od razu się z nim nie umówił, zwodziłby cię przez następnych kilka tygodni. Nawet gdyby udało wam się coś ustalić, wtrącałby się bezustannie...

Ściszyła głos. Nagle poczuła się świadoma, że Robert stał blisko – zbyt blisko – niej. Czują żar jego ciała, pożądała go ze zwierzęcą, głodną namiętnością. Musiała go mieć w swoich ramionach, w sobie. Patrzyła mu w oczy i widziała, jak budzi się w nich pożądanie – on też jej pragnął.

Uśmiechnęła się i uniosła odrobinę brwi, a potem spojrzała w stronę otwartych drzwi. Sekretarka udawała, że przegląda katalog, ale wyraźnie podsłuchiwała. Robert niedostrzegalnie skinął głową i wyszedł z pokoju.

Stephanie znów przejrzała szkice. Nie usłyszała, że Robert wysyła Rosjanek do domu. W rysunkach była jakaś siła, pierwotna energia, więc – o ironio – to prawdopodobnie będzie najlepszy teledysk w historii zespołu. I miał być wypuszczony na tydzień przed ich rozpadem. Przy odrobinie szczęścia ktoś go obejrzy i zleci Robertowi następny, dla innego zespołu. Ulżyło jej – Charles Flintoff będzie pod wrażeniem, – Dobranoc, panno Burroughs – głos dziewczyny

przerwał jej rozmyślenia.

– Dobranoc, Mono – odskrzyknęła Stephanie, nie podnosząc wzroku. Niespecjalnie lubiła tę Rosjankę, drażnił ją sposób, w jaki patrzyła na nią za każdym razem. Wydawało jej się również, że to, co stało się pomiędzy nią samą a Robertem, równie dobrze mogłoby wydarzyć się pomiędzy nim a sekretarką. Nie pierwszy raz przyszło jej to do głowy. Odkąd Robert zdradził żonę, Stephanie żyła ze świadomością, że równie dobrze może zdradzić ją, co nasuwało pytanie: czy może mu ufać?

Dreńczyło ją – bezustannie – że nie potrafi odpowiedzieć twierdząco na to ostatnie pytanie.

– Myślę, że ona coś podejrzewa... – zaczął, wracając do biura.

– I co z tego? – odparła Stephanie. – To tylko sekretarka.

Potem złapała Roberta za klapy marynarki i przyciągnęła do siebie, przechylając głowę i przyciskając swoje usta do jego. Pożądanie go było czysto fizyczne, pełne chuci, szokujące i zadziwiające w swej intensywności.

Pociągnęła go na stół konferencyjny i pocałowała namiętnie, podczas gdy jego palce manipulowały przy guzikach jej bluzki. Stephanie usiadła na stole i odepchnęła go od siebie, żeby ściągnąć marynarkę i rzucić ją na krzesło. Potem zdjęła bluzkę, a Robert rozdarł swoją koszulę – słyszała, jak guzik odrywa się i spada gdzieś na podłogę.

Zazwyczaj to ona inicjowała ich seks. Kiedy mieli się kochać pierwszy raz, musiała zrobić ten krok, dając mu do zrozumienia, że tego chce. Pamiętała to dziwne klucie w żołądku, kiedy stała przed nim nago, czekając, aż ją weźmie albo odtrąci, i zastanawiając się, dlaczego nie zbliżył się do niej wcześniej.

Znacznie później zrozumiała, że Robert po prostu nie miał nawyku inicjowania seksu. Przyznał się także, że on i Kathy już od dawna się nie kochali. Próbował kilka razy, ale żona zawsze była zbyt zmęczona, i czuł, że go nie chce: to wyrobiło w nim nawyk, żeby nie próbować, bo odrzucenie bołało.

Stephanie przysięgła mu, że nigdy go nie odtrąci. Obiecała, że jeśli nie będzie miała ochoty na seks, powie o tym otwarcie, bez udawania, że śpi, ma ból głowy lub żołądka. I zawsze chętnie go przytuli. To, jak szybko odkryła, było coś, czego potrzebował najbardziej: czuły, delikatny dotyk.

Położyła się naga na stole i patrzyła z rozbawieniem, jak Robert skacze dookoła na jednej nodze, ściągając skarpetki. Kiedy i on był już zupełnie nagi, otworzyła ramiona i uniosła nogi.

– To na czym skończyliśmy? – wyszeptała.

Stephanie odwróciła się w małej kabinie prysznicowej i odczekała, aż letnia woda spłynie po jej ciele. Robert powinien naprawić w tym budynku kanalizację. To był jedyny minus uprawiania seksu w biurze. Ostatnio, kiedy się tutaj kochali, musiała wrócić na popołudniowe spotkanie. Potem czuła przez cały dzień zapach Roberta na swoim ciele i wydawało jej się, że inni uczestnicy spotkania też to czują.

Wycierała się już, kiedy Robert wszedł pod prysznic. Ucieszyła się, widząc, że zaczął o siebie dbać. Kiedy zaczęli się spotykać, wyglądał flakowato, zaczynał mieć brzuszki, a jego skóra przybrała kolor starego marmuru. Zachęciła go, żeby ćwiczył, więc zapisał się do tej samej siłowni,

do której chodziła ona sama, i teraz ćwiczyli razem. Umówiła go na sesję w solarium i przekonała, żeby ufarbował włosy i zadbał o zęby. Od kilku miesięcy próbowała go namówić, żeby wstrzyknął sobie botoks w głębokie zmarszczki na czole.

Prysznic ucichł, Robert otworzył drzwi i wyszedł.

Stephanie wróciła do ciasnej łazienki.

– Spotkamy się wieczorem? – stała w drzwiach, ubrana jedynie w biały koronkowy stanik.

– Nie jestem pewien. Zrób coś dla mnie – dodał, sięgając po ręcznik. – Ubierz się, proszę.

– Dlaczego? – spytała niewinnie.

– Bo jeśli się nie ubierzesz, będę cię musiał wziąć jeszcze raz.

– Obiecanki cacanki – odeszła od drzwi i zaczęła się ubierać. Jeśli tylko by go zachęciła, znów kochałby się z nią – uwielbiała tę pasję, tę siłę, z jaką jej poządał. – To co z dzisiejszym wieczorem? – spytała znowu. Nie mogła znaleźć swoich. .. och, są, zwisają z lampy. Ciekawe, jak się tam znalazły?

– Dzisiejszy wieczór to kompletna kłapa. Pamiętasz, że Jimmy i ja mieliśmy zjeść kolację u Shanahana? Kazałem Illonie potwierdzić rezerwację i okazało się, że nikt jej nie zrobił.

– Jak to się stało?

Robert stał obok niej. Nagle sięgnął i pogładził jej pierś wierzchem dłoni. Przeszył ją silny dreszcz i poczuła, jak twardnieją jej sutki. Złapała jego dłoń i przycisnęła do swojej skóry. W porównaniu z jej chłodnymi piersiami miał gorącą rękę. Potem włożyła czubki jego palców do ust i pocałowała. Kochała tego faceta. Kochała.

To stwierdzenie zarówno przeraziło ją, jak i podnieciło.

– Nie jestem pewien, kto nawalił – Illona czy Maureen.

Przez chwilę nie miała pojęcia, o kim mówił, dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że kontynuował ich rozmowę. Zmusiła się, żeby powrócić do przerwanej wątku.

– Chyba Maureen. Ale nie o to chodzi. Za godzinę spotykam się z ważnym klientem i nie mam gdzie zabrać go na kolację.

– Trudno będzie znaleźć miejsce w knajpie przed świętami.

Nadal była podniecona, w jej głosie słychać było drzenie, ale on chyba niczego nie zauważył.

– Wiem. A Jimmy nie będzie chciał wyjechać z miasta. Mówił, że mogę przespać się w jego mieszkaniu na Tempie Bar.

Stephanie wróciła do łazienki, żeby poprawić makijaż.

– Bądź z nim szczery – poradziła. Tę zasadę sama usiłowała wcielać w życie.

Zmusiła się, żeby zapytać samą siebie: czy jej obecna sytuacja była prawdziwa i szczerą? Tak, zdecydowała stanowczo, bo kochała Roberta.

– Nigdy nic nie wiadomo, może wystarczy mu pójście na drinka. Jeśli wyjdziecie dość wcześnie, możecie zajrzeć do Market Baru przy George Street. Oprócz drinków są tam i przekąski.

– Dobry pomysł.

– Nie odpowiedziałeś na moje wcześniejsze pytanie: spędzisz ze mną dzisiejszą noc? Mam czekać? Robert wychylił się zza drzwi i uśmiechnął:

– Jeśli spędzę u ciebie noc, na pewno będę spać. Wykańczasz mnie.

Patrząc uważnie w zaparowane lustro, nałożyła szminkę.

– Dobrze, a więc posłuchaj. Jutro pracuję od rana. Jeśli dotrzesz do mnie przed pierwszą w nocy, możesz przyjechać. Ale jeśli masz być później, to zapomnij. Wyślij mi smsa, kiedy będziesz coś wiedział.

– Niezły plan.

Kiedy wychodziła z łazienki, Robert odsunął się, by się jej przyjrzeć.

– Nigdy bym nie powiedział, że niecałe pół godziny temu leżałaś na tym stole i kochałaś się tak namiętnie.

– Nie wiem, o czym pan mówi, panie Walker. Kończyłam bardzo ważny projekt.

Pochyliła się i pocałowała go, muskając wargami jego usta i pozostawiając na górnej wardze delikatny ślad koralowej szminki.

– Lubię sposób, w jaki załatwia pan interesy – dodała.

Po powrocie do samochodu sprawdziła telefon. To nagrała się Sally.

– Plan jest taki – zaczęła energicznie przyjaciółka bez zbędnych wstępów. Jej głos skrzeczał i trzeszczał. – Dostałam twoją wiadomość i rozumiem, że dziś wieczorem niespodziewanie jesteś wolna. Ja też. Możemy się wystroić i pójść na drinka do głośnego baru pełnego ludzi albo mogę przyjechać do ciebie z jedzeniem. Menu na dzisiaj to pizza z dodatkowym chili, chińszczyzna z dodatkowym chili albo krewetki w ostrym sosie. Wypasione żarcie biorę na siebie, ale wino załatwiasz ty. I obiecuję nie palić ani w środku, ani na zewnątrz.

Stephanie wcisnęła klawisz szybkiego wybierania i połączyła się z nią:

– Gdzie jesteś?

– W Shelbourne, czekam, aż korki się zmniejszą.

Stephanie słyszała dźwięk szkła w telefonie i coś, co zagłuszane przez hałas, brzmiało zupełnie jak gra na pianinie.

– Ja jestem na Mount Street. Zostawię tu auto i przejdę się. Wypijemy drinka i coś zjemy. Zgoda?

– To chyba lepszy plan.

Rozdział 37

Kiedy weszła do Shelbourne, od razu wiedziała, że popełniła błąd. Bar był pełen ludzi i natychmiast dostrzegła kilka znajomych twarzy. Oczywiście większość facetów siedzących przy barze odwróciła się, kiedy weszła, więc nie mogła wymknąć się teraz niezauważona. Uśmiechnęła się, skinęła głową i pomachała paru osobom, potem podniosła komórkę do ucha, żeby zniechęcić je do podejścia. Wcisnęła klawisz.

– Gdzie jesteś? – spytała niespokojnym głosem.

– Tuż obok ciebie – nadeszła odpowiedź i Stephanie aż podskoczyła, kiedy Sally Wilson wychynęła z tłumu.

Stephanie pochyliła się, by pocałować przyjaciółkę w policzek. Sally Wilson była o rok młodsza i przynajmniej sześć cali niższa, miała jasne włosy i wyraźne, zaostrome rysy. Stephanie natomiast była wysoką, krągłą szatynką. Różniły się niemal we wszystkim, a jednak były sobie bliższe niż siostry.

– To chyba głupi pomysł – zasugerowała Stephanie.

– Owszem – zgodziła się ochoczo Sally – ale pewnie nie najgłupszy, jaki miałyśmy. Zostaniemy godzinę, potem pojedziemy do ciebie, a po drodze kupimy jakieś jedzenie.

Stephanie wiedziała, że szanse ucieczki w ciągu godziny były nikłe i, mimo że nie miała ochoty spędzać przedświątecznego wieczoru w zatłoczonym barze, awanturniczy i wesoły nastrój podnosił ją na duchu. Lubiła być z Robertem – ale czasem, szczególnie ostatnio, kiedy był tak zestresowany – rozstawała się z nim smutna i zdołowana, jakby zaraziła się jego złym humorem.

– Co pijesz?

– Może być kieliszek białego wina.

Usadowiła się przy drzwiach i patrzyła z podziwem, jak Sally toruje sobie drogę, używając własnego czaru i łokci. Mimo iż wzdłuż baru stał sznureczek mężczyzn z pieniędzmi w dłoniach, próbujących desperacko zwrócić na siebie uwagę barmana, to Sally obsłużono natychmiast. Stephanie pomyślała, że może to mieć związek z wybitnie krótką czarną sukienką, którą przyjaciółka miała na sobie. Sally wróciła po chwili i podała Stephanie kieliszek. W milczeniu wzniosły toast.

– Nie spodziewałam się, że będziesz odwiedzać R&K po rozmowie z Charlesem.

Stephanie wzruszyła niespokojnie ramionami.

– Dałam Robertowi zlecenie na teledysk, więc muszę doprowadzić tę sprawę do końca. Ale to będzie ostatnia robota, którą od nas dostał.

Sally sączyła wino, zostawiając na brzegu kieliszka ślad jasnoróżowej szminki. – Czy on już wie?

– Jeszcze nie. Chciałam o tym powiedzieć dziś po południu, ale pomyślałam, że lepiej nie

marnować mu świąt. Poza tym – dodała z uśmiechem – coś rozproszyło naszą uwagę.

– Rozproszyło?

– Rozproszyło.

– Och – Sally gapiała się na przyjaciółkę – chyba nie... no coś ty!? – spytała przerażonym, choć zafascynowanym szeptem.

Stephanie z radością przytaknęła.

– W jego biurze. Dziś po południu. Było bajecznie. Zawsze jest super.

– Zawsze? Chcesz mi powiedzieć, że robiliście to w biurze już przedtem? Nic mi nie mówiłaś.

– Kilka razy. Poza tym ja ciebie nie pytam, jak kochasz się z Davem.

– Odpowiedź brzmi: nie dość często. Jezu, nie dziwię się, że jesteś zakręcona. A to ja miałam być blondynką, pamiętasz?

Przełknęła odrobinę wina.

– Zawsze chciałam zrobić to z Davem w moim biurze, ale to tylko plany i nie jestem pewna, czy innym dziewczynom by się to spodobało.

Sally pracowała jako sekretarka w Szpitalu Beaumont i zarabiała dodatkowo jako statystka w telewizji. Ostatnio dostała trochę więcej za pracę przy jakimś wielkometrażowym filmie kręconym w Irlandii i znów mówiła o zostaniu pełnoetatową aktorką.

– Myślałam, że wychodzisz gdzieś z Davem dziś wieczorem.

– Pracuje. Dostał po południu wezwanie – jeden z kolegów zachorował na tę gripę, która ostatnio szaleje. Szczerze mówiąc, Dave był wdzięczny za nadgodziny.

Dave – zwalisty, niedźwiedziowaty facet, znacznie wyższy od Sally – był stróżem w tym samym szpitalu. Co prawda w weekendy zarabiał więcej, pracując na bramce w ekskluzywnych dublińskich pubach, ale kochał pracę w szpitalu. Nie dawał sobie wciskać kitu nikomu z wyjątkiem Sally, która nabijała się z niego bezlitośnie.

Sally pomachała do młodego, ostrzyżonego na jeża chłopaka przy barze, który uśmiechnął się do niej.

– Pracowaliśmy razem przy scenie zbiorowej do *Fair City* – wyjaśniła, kiedy zdziwiona Stephanie podniosła pytająco brwi. – I graliśmy trupy w *Królu Arturze*. – Potem dodała od niechcenia, nie patrząc na Stephanie i spoglądając w tłum: – Wiesz, myślę, że on ma zamiar oświadczyć się w święta.

Upłynęła dłuższa chwila, zanim te słowa dotarły do Stephanie. Przez moment myślała, że Sally mówi o chłopaku przy barze.

– Kto się oświadczy? Dave? Skąd wiesz? – zapytała z radością. Sally i Dave byli razem od trzech lat, a mieszkali ze sobą od dziewięciu miesięcy.

Sally odwróciła się i podniosła kieliszek. Stephanie wzniosła swój: – Gratulacje!

– Och, znasz Dave'a. Jest starym upartym osłem. Lubi myśleć, że jest swobodny i subtelny: kilka tygodni temu kilka razy zdejmował jeden z moich pierścionków i przymierzał na swój palec. Myślał, że nie zauważę albo nie połąpię się w tym, co robi. I ostatnio jest bardzo tajemniczy. Tysiąc

razy pytał mnie, o której będę w domu w Wigilię.

– A co zrobisz, jeśli cię poprosi?

– Chyba się zgodzę.

– Chyba? Myślałam, że go kochasz.

– Kocham. Ale czy to on jest tym jedynym? – obruszyła się. – Jak możesz być pewna, czy którykolwiek z nich jest tym jedynym? Oczywiście, zgodzę się. Mogłam gorzej trafić.

– Brzmi bardzo entuzjastycznie – sarkastycznie odezwała się Stephanie. Niezły tekst z ust kobiety, która tak chętnie dawała jej miłosne rady!

– Jestem szczęśliwa – przyznała Sally. – To fajny facet, będzie dobrym mężem i dobrym ojcem. Wiem, że sam jest ciągle dzieckiem. Jego matka czuje się szczęśliwa, moja też, będziemy mieli fantastyczne wesele. Czego więcj możesz dzisiaj oczekiwać?

Stephanie potrząsnęła głową. Powinno chyba być coś jeszcze, prawda?

Grupa młodych kobiet zaczęła zbierać swoje rzeczy przy jednym z narożnych stolików. Jedna z nich spojrzała na Stephanie i podnosząc pytająco brwi, wskazała głową miejsce, gdzie siedziała. Stephanie w odpowiedzi podniosła kieliszek, potem złapała Sally za rękę i zaczęły przeciskać się przez tłum w stronę wolnych miejsc.

– Dzięki – uśmiechnęła się, kiedy zamieniały się miejscami z tamtymi dziewczynami, które wyszły w ciemność, zostawiając za sobą ślady pięciu różnych zapachów.

– Widzisz? Faceci nigdy by tego nie zrobili – powiedziała Sally. – To jedna z największych różnic między płciami: kobiety troszczą się o siebie nawzajem.

– Stephanie nie była tego taka pewna, ale nie chciała kłócić się z przyjaciółką.

– Jak myślisz, kiedy Dave się oświadczy? – spytała.

– Stawiam na Wigilię, o północy.

– Bardzo romantycznie – zamruczała Stephanie. I tak było. Zastanawiała się, czy jej ktoś kiedyś oświadczy się w równie romantyczny sposób.

– Jeśli to nastąpi – chcę, żebyś była moją druhną.

Nagle oczy Stephanie wypełniły się łzami. Zawsze obiecywały sobie, że będą sobie świadkować. Pokiwała głową, a potem mrugając zawzięcie, próbowała się uśmiechnąć.

– To oznacza, że ty będziesz moją honorową druhną.

Jeśli kiedykolwiek wyjdę za mąż – dodała, zdziwiona nutką goryczy w swoim głosie.

Twarzy Sally nie pokazywała żadnych emocji, a ona sama skupiła się na swoim drinku.

– Nie wierzysz, że on się kiedyś ze mną ożeni, prawda?

– Mogłabym skłamać i powiedzieć, że wierzę. Ale nie zrobię tego. Myślę, że tak się nie stanie. Myślę, że nawet jeśli będziesz chciała zmusić go do jakiejś deklaracji, to natychmiast ucieknie.

Tłum ludzi kręcił się i przepływał wokół nich. W którymś rogu ktoś próbował zaśpiewać *Jingle Bell Rock*, ale jego głos szybko utonął w ryku pozostałych barowiczów.

– Dlaczego go tak nienawidzisz?

– Bo on cię zrani. Mnie zraniło kilku takich mężczyzn, jak on, i wiem, jak to boli.

– Robert jest inny.

– Robert jest mężczyzną. A wszyscy oni w końcu okazują się tacy sami.

– On nie.

Ale Sally obstawała uparcie przy swoim.

– On też. Obie wiemy, że problem tkwi w tym, że się w nim zakochałaś. A to oznacza, że nie myślisz logicznie.

– On też mnie kocha – szybko odparła Stephanie.

– A jak to okazuje?

– Och proszę, nie zaczynaj znowu.

– Nie zaczynaj czego? – zapytała Sally. – Jestem najlepszą przyjaciółką, jaką masz w Irlandii. Twoją najbliższą przyjaciółką. Pierwszą, którą poznałaś po przyjeździe tutaj – przypomniała. – Przyjaciółki dbają o siebie. Mówię ci tylko, co widzę. Faceta, który romansuje z młodszą kobietą, a ona przypadkiem podrzuca jego sypiącej się firmie dodatkowe zlecenia. Nie mówię, że jest z tobą wyłącznie z tego powodu, ale jestem pewna, że traktuje to jako dodatkowy bonus.

Stephanie ugryzła się w język, żeby nie wypalić czegoś, co zmieni ten wieczór w jedną wielką kłótnię. Wiedziała, że Sally ma rację – przyjaciółka wypowiadała to wszystko, o czym ona sama myślała.

– Nie wydaje mi się, żeby ten związek mógł się dobrze skończyć. Wiem, że nie chciałaś go usidlić ani zmusić, żeby odszedł z łona rodziny – z tego, co mówiłaś, i tak się stamtąd oddalał. Wiem, że go kochasz, i to jest cudowne i magiczne; myślisz, że ratujesz go z ramion nieczulej, zimnej, okrutnej żony... ale pamiętaj, skąd masz te informacje. Wszystko, czego dowiedziałaś się o Kathy, pochodzi od niego.

– Trochę wiem z czasów, kiedy tam pracowałam – obronnym tonem wtrąciła szybko Stephanie.

– Widziałaś mały wycinek jego małżeństwa i to tylko przez chwilę. Nie możesz opierać na tym swojej wiedzy o czymś związku. Nikt oprócz męża i żony naprawdę nie wie, co dzieje się w małżeństwie.

To był fragment ich toczącej się od dawna kłótni na temat facetów. Stephanie już prawie przekonała Sally, żeby rzuciła Dave'a, a teraz proszę, on miał zamiar jej się oświadczyć.

– Jak myślisz, co powinnam zrobić? – powiedziała żałośnie, czując w głębi duszy, że przyjaciółka ma rację.

– Jesteście ze sobą od półtora roku. Czas, żeby się zadeklarował. Zmusz go do podjęcia decyzji. Każ mu wybrać. Ty albo żona. I wiesz co, tak naprawdę to zażadasz, żeby był fair wobec was obu, bo teraz jest odwrotnie – nie jest szczery ani z tobą, ani z nią. Potrzebujesz deklaracji, nie mglistych obietnic. Stephanie, najlepszy dowód, jaki może ci teraz dać, to spędzenie z tobą świąt.

Zamilkła i odstawiła drinka. Potem wzięła Stephanie za rękę i popatrzyła głęboko w jej zmartwione oczy.

– Czy to rozsądne? Tak. Czy niesprawiedliwe? Pewnie powie, że tak, ale wiesz... wcale nie.

To, co jest nie fair, to trzymanie cię w niepewności, okłamywanie.

Głęboko w torebce odezwała się komórka. Stephanie była prawie wdzięczna za pretekst do przerwania retorycznego przemówienia Sally. Zajęło jej kilka chwil, zanim znalazła telefon.

– Halo?

– Czy to Becky?

– Nie, pomyłka.

Wyłączyła się, potem przez chwilę rozglądała się po barze, przypatrując się szczególnie parom – śmiejącym się, bawiącym, dotykającym nawzajem, trzymającym za ręce, blisko i intymnie, nieprzejmującym się, że ktoś ich obserwuje.

Nie mogła w ten sposób być z Robertem. Przynajmniej nie w Dublinie. Bał się, że ludzie ich zobaczą. Że powiedzą Kathy, a wtedy...

A wtedy co?

Co by się stało, gdyby Kathy się dowiedziała? Co by zrobiła?

– O czym myślisz? – nagle spytała Sally.

– Myślę, że masz rację.

Stephanie potrząsnęła głową i uśmiechnęła się smutno.

– Wiem, że masz rację. Wypowiadasz jedynie to, co ja próbowałam wyartykułować. – Pochyliła się i pocałowała Sally w policzek. – Dzięki.

– Co zrobisz?

– Zapytam. I zażądam odpowiedzi.

– A jeśli nie dostaniesz tej, na którą czekasz?

– Wtedy koniec z nami.

Rozdział 38

Telefon zadzwonił, kiedy skręciła nad kanał. Spojrzała na ekran i zdziwiła się, widząc trzy x.

– Nie spodziewałam się usłyszeć ciebie tak szybko – zaczęła.

– Gdzie jesteś? – słowa Roberta zagłuszał wiatr.

– W samochodzie, jadę do domu. Spotkałam się z Sally w Shelbourne. Wszystko w porządku?

– Nie jestem pewien. Spotkajmy się u ciebie w domu. Teraz idę Nassau Street, zostawiłem samochód przed biurem. Mogę zjawić się za jakieś czterdzieści pięć minut.

– Robert... – zaczęła Stephanie, ale rozmowa skończyła się i nie była pewna, czy zniknął sygnał, czy to Robert specjalnie się rozłączył. Był nieswój, choć na pewno nie pijany. – Robert zawsze pił mało i, choć widziała go wstawionego, nigdy nie przesadzał.

Stephanie podjechała autem pod dom i wysiadła. Nie musiała być geniuszem, żeby się domyślić, że coś stało się podczas kolacji z Jimmym.

– Jesteś, kochana.

Stephanie podskoczyła przestraszona, kiedy pani Moore wychynęła nagle z cienia.

– Prawie przyprawiła mnie pani o zawał serca.

– Nie ma z czego żartować – sztywno powiedziała starsza pani. – Mój Frank zmarł na zawał.

– Nie żartowałam – poważnie odparła Stephanie.

Sąsiadka uważnie spojrzała na torby w rękach Stephanie, potem na jej samochód.

– Mogę pani w czymś pomóc?

– Czy spotkałaś się w końcu z tamtą kobietą?

– Jaką kobietą?

– Tą, która przyniosła kosz świąteczny. Mówiła, że musi ci go osobiście dostarczyć. – I miała ten adres?

– Tak, na kartce papieru.

To było dziwne. Niewiele osób znało jej domowy adres. Prawie wszystkich kierowała na służbowy. Może prezent od Roberta? Na pewno nie. W takim razie to musiała być paczka od matki.

– Nie dostałam go. Pewne dostarczą jutro. Dobranoc, pani Moore – dodała, mijając starszą panią, żeby włożyć klucz do zamka i otworzyć drzwi. Wścibska stara baba. Może wcale nie kupi jej prezentu.

Zanim przyjechał Robert, wzięła szybki prysznic. Jeśli wieczór potoczy się tak, jak wszystkie inne, które spędzili razem, on też będzie chciał wziąć prysznic, zanim zaczną się kochać – a nie miała żadnych wątpliwości, pomimo jego wcześniejszych zapewnień i zastrzeżeń – że będą się kochać. Kiedy tylko znaleźli się blisko siebie, nie mogli się powstrzymać. Potem wykapią się razem, zanim zasną wtuleni w swoje ramiona. I obudzą się wcześniej rano, i znów to zrobią,

uśmiechnęła się.

Dopiero co wyszła spod prysznicza i owinęła głowę ręcznikiem, kiedy zadzwonił dzwonek. Miał klucz, dlaczego z niego nie skorzystał? Wzięła pierwszą lepszą rzecz z szafy – brzoskwinowy jedwabny szlafroczek – i ubrała się. Miękki materiał natychmiast przywarł do jej mokrego ciała, ale Robert na pewno nie będzie miał nic przeciwko. Pobiegła na dół, żeby otworzyć drzwi.

– Naprawdę się ciebie nie spodziewałam.

I tak było. Myślała, że jednak spędzi noc u Jimmy’ego.

– Nastąpiła zmiana planów.

Pocałował ją szybko, przelotnie i wszedł do mieszkania. Wiedziała, że coś było nie w porządku. Prawie czuła, jak emanuje z niego napięcie i coś jeszcze – złość?

– Wyglądasz, jakbyś miał ochotę na drinka.

Weszła do kuchni, zastanawiając się, czy ma w mieszkaniu resztkę whisky.

– Kawa, nie alkohol.

Podszedł i stanął w drzwiach, krzyżując ramiona. Wyraźnie był zdenerwowany i spięty.

Otworzyła lodówkę:

– Mam dobrze schłodzone białe wino...

– Lepiej nie, jestem samochodem.

– Nie zostaniesz?

Zdziwiło ją to. Robert zazwyczaj korzystał z każdej wymówki, żeby spędzić u niej noc.

– Nie, nie dzisiaj. Nie mogę.

– Plan był inny – uśmiechnęła się, próbując żartem dowiedzieć się, co się stało.

– Plan się zmienił.

– Zrobię kawy.

Odwróciła się do zlewu i nalała wody do ekspresu. Kątem oka widziała, jak Robert się wychyla i zdała sobie sprawę, że szlafrok odsłania jej biust. Nagle uśmiechnęła się. Wiedziała, że wszystko będzie dobrze.

– Już je widziałeś.

– Jeśli nadejdzie dzień, w którym nie będę chciał na nie patrzeć, to będzie znaczyło, że umarłem.

– Powiesz mi, co się stało? – spytała delikatnie. – Domyślam się, że ma to coś wspólnego z Jimmym, bo wszystko było w porządku – nawet lepiej niż w porządku – kiedy rozstawaliśmy się kilka godzin temu. U niego wszystko dobrze?

– Tak. Jego życie jest w strzępach, jak zwykle.

– Myślę, że on to lubi – zauważyła Stephanie. Pogardzała Jimmym Moranem i tym, co sobą reprezentował, szczególną arogancją opartą na braku talentu i kilku minionych sukcesach.

– Ale jest coraz starszy, a bałagan w jego życiu jest tym razem większy niż zwykle. Żona w końcu zgodziła się na rozwód.

– To chyba dobra wiadomość...

– I chce w zamian połowę wszystkiego, co Jimmy posiada.

Stephanie spojrzała na niego gniewnie, zdziwiona niezadowolonym tonem jego głosu.

– Słusznie. Ma do tego prawo – przypomniała.

– Wiem. On ożeni się z Frances, żeby mogli wychowywać razem dziecko.

– Tak powinno być.

Znów była zdziwiona i nieco rozczarowana jego reakcją. Chyba rozumiał, że Jimmy traktował swoją żonę obrzydliwie i miał zobowiązania wobec swojej kochanki i dziecka?

– Ty chyba się z tym nie zgadzasz – zauważyła Stephanie, przyglądając mu się uważnie.

– Pamiętam tylko, że to Frances sprzedała tę historię brukowcom. Wykorzystała go, żeby się zareklamować w nadziei, że dostanie tamtą rolę.

Mocny aromat kenijskiej mieszanki wypełnił małą kuchnię.

– Te rewelacje tak naprawdę były początkiem końca jego małżeństwa.

– Ale przecież jest z Frances – odparła Stephanie, otwierając szafkę i wyciągając dwie maleńkie filiżanki. – Wrócił do niej i zrobił jej dziecko.

– Nalej mi do kubka, dobrze? Do czegoś większego niż ten naporstek.

Stephanie bez słowa sięgnęła do szafki i wyjęła kubek ozdobiony żółtą śmiejącą się buzią.

– Masz go ode mnie.

– Wiem.

– Frances zrujnowała jego reputację dla kilku linijek w gazecie.

Stephanie zaśmiała się, zdziwiona goryczą w głosie Roberta. Chyba winił Frances za problemy Jimmy'ego. Ale czyż nie tak postępowali faceci – zwalali całą winę na kobiety?

– Nieprawda. Już nie miał reputacji, którą mogłaby zniszczyć. Wiesz, że wszyscy w Dublinie znali go doskonale. Jednym z powodów, dla którego żadna szanująca się researcherka nie chciała z nim pracować, jest ten, że zawsze je podrywał i oczekiwał, że odwzajemnią zaloty.

Nalała gęstej, czarnej kawy do kubka i napelniła swoją maleńką filiżankę tym, co pozostało.

– Wszyscy wiedzieli, jaki jest.

Robert przyjął kubek z jej dłoni i upił łyk, krzywiąc się z powodu gorzkiego smaku kawy.

– Ludzie wiedzą o nas, Stephanie – powiedział cicho.

– Jimmy mi o tym powiedział dziś wieczorem.

A więc dlatego tak się zachowywał. Poszła do pokoju i jednym zręcznym ruchem zwinęła się na sofie, chowając pod siebie gołe łydki.

Robert przyszedł za nią z kuchni i usiadł naprzeciwko.

– Słyszałaś, co powiedziałem? – powiedział jakby oskarżycielskim tonem. – Ludzie wiedzą o nas.

Wydawało jej się, że słyszy w jego głosie strach albo gniew.

Z odtwarzacza CD dochodził irytujący dźwięk dzwonek, wypełniając ciszę między nimi.

– Wiedziałaś – powiedział zaskoczony. – I nic mi nie powiedziałaś.

– Tak, wiedziałam.

– Od jak dawna... czemu nie... co z twoją pracą?

– Od kilku miesięcy krążyły plotki o naszym związku – wyznała. – Ignorowałam je. Nasza branża opiera się na plotkach i pogłoskach. A kiedy dwoje ludzi często widywanych jest razem, wszyscy będą mieli jeźorami, nawet jeśli nie mają racji. Miesiąc temu wezwano mnie do szefostwa. Charles Flintoff zapytał wprost, czy ja i ty jesteśmy ze sobą.

– Zaprzeczyłaś – natychmiast odparł Robert.

– Potwierdziłam.

Robert gapił się na nią otępiąłym wzrokiem.

– Mieć z tobą romans to jedno – on ma to gdzieś. Ale przekazywanie ci zleceń to co innego. Jednak dopóki jesteśmy uczciwi, da się to jakoś przeżyć. Nie mogłam go okłamać. Jeśli zadał mi to pytanie, na pewno znał na nie odpowiedź. Powiedziałam mu prawdę.

Robert otwierał i zamykał usta, ale nic nie powiedział.

– Zrobiłam słusznie. Miał przy sobie kontrakty na zlecenia, które ci załatwiłam, i zestawienie kosztów. Porównał rachunki z innymi propozycjami i obiektywnie ocenił ostateczne rezultaty przetargów – wzruszyła ramionami. – Wszystko było w porządku.

– Więc ile osób wie?

Stephanie zmarszczyła czoło. Miał obsesję, że ludzie dowiedzą się o nich. A może miał obsesję, żeby to żona się o nich nie dowiedziała?

– Dlaczego pytasz? W czym problem? – odparła.

– Bo jeśli ludzie wiedzą, to tylko kwestia czasu, kiedy Kathy się dowie.

Miała swoją odpowiedź.

– Chciałem sam jej o tym powiedzieć. Kiedy nadejdzie właściwy czas.

– A kiedy to nastąpi, Robercie?

– Wtedy, kiedy nastąpi. Kiedy się pozbieram – wymamrotał.

– Ale kiedy to będzie? I co oznacza „pozbiere się”?

Zamiast patrzeć jej w oczy, Robert gapił się w swoją kawę.

– Jesteśmy kochankami od osiemnastu miesięcy. Dokąd zmierzamy? Jaka jest nasza przyszłość?

Objął dłońmi kubek i wpatrywał się w niego.

– Opowiadałeś mi, jak bardzo jesteś nieszczęśliwy w swoim domu. Zasugerowałeś – nie, więcej niż zasugerowałeś – powiedziałeś mi, że zostawisz Kathy...

– Jestem pewien, że nigdy tego nie powiedziałem.

– Może nie tymi słowami, ale tak cię zrozumiałam. Inaczej nie związałam się z tobą. Mówiłeś, że odejdziesz od niej, kiedy przyjdzie właściwy czas.

Dobrze pamiętała tę chwilę. Leżeli w łóżku na gorze wykończeni po ekscytującym seksie. Obiecał jej to zniecka, bez jej nalegań.

– Będę z tobą – powiedział wtedy. – Uporządkuję wszystko i zostanę z tobą, kiedy przyjdzie na to czas.

Dobrze zapamiętała te słowa. On może zapomniał, ale ona nie.

– A kiedy przyjdzie właściwy czas? W tym miesiącu?

Nie, nie w tym miesiącu, bo są święta i nie chcesz zrujnować rodzinie Bożego Narodzenia. Ale nie przejmujesz się tym, że zepsujesz święta mnie.

Już nawet nie próbowała ukryć goryczy w swoim głosie.

– Może w przyszłym miesiącu. Jednak to początek nowego roku i pewnie tego też nie chcesz psuć. Na pewno nie w lutym – wtedy będą urodziny Teresy i nie możesz jej zafundować takiego prezentu. Marzec? Wiesz co? Z pewnością pojawi się kolejny problem.

Stephanie urwała. Ogarnęło ją zmęczenie, nogi miała jak z ołowiu i nagle przestała mieć ochotę na rozmowę.

– Jestem zmęczona. Nie chcę teraz o tym rozmawiać. Robert skinął głową. Najwidoczniej on też nie chciał.

– Umówiłam się dzisiaj na drinka z Sally...

– Czy ona wie?

Stephanie ugryzła się w język, żeby nie przekląć.

– Oczywiście, że tak. Wiedziała od samego początku.

Ostrzegała mnie, żebym nie wiązała się z żonatym mężczyzną. Tłumaczyła dokładnie, co się stanie, i wiesz co?

Do tej pory miała rację. Całkowitą.

Łzy napłynęły jej do oczu i pokój wydał się rozmazany. Była zła na siebie, zawsze uważała, że łzy to tani chwyt, i teraz nie miała zamiaru się im poddać.

– Stephanie – zaczął Robert. – Może to nie jest właściwa pora. Oboje jesteśmy zmęczeni. Prześpijmy się.

– To chyba dobry pomysł.

Wstała szybko, podniosła płaszcz Roberta i podała mu go. Chciała, żeby wyszedł. Natychmiast.

– Do zobaczenia. Jutro porozmawiamy – powiedział.

Skinęła głową, odprowadzając go do drzwi. Położyła mu dłoń na ramieniu.

– Nie potrafię uwierzyć, że zrobiłeś ze mnie idiotkę. Nie chcę nawet myśleć, że mnie wykorzystywałeś.

Pochyliła się i pocałowała go delikatnie, muskając ustami jego wargi.

– Jutro. Powiedz mi prawdę. Nie zawiedz mnie.

– Dobrze.

Zamknęła za nim drzwi i odwróciła się, żeby nie widział, jak łzy spływają jej po policzkach. Automatycznie zgasła światła i poszła na górę, do łóżka. Nawet nie umyła zębów, wyłączyła lampkę i, ciągle opatulona szlafrokiem, wczłgała się pod kołdrę.

Słyszała, jak na podwórku ktoś zapala samochód i zastanawiała się, czy to Robert. A potem zdała sobie sprawę, że jej to nie obchodzi.

Miał ostatnią szansę. Sally powiedziała, że o jedną za dużo. Jutro wieczorem. Jutro wieczorem będzie wiedziała na pewno.

Z daleka dochodził cichący odgłos odjeżdżającego samochodu.

Rozdział 39

Sobota, 21 grudnia

Spała zadziwiająco dobrze.

Kiedy weszła do łóżka, czuła się, jakby ktoś ją pobił, fizycznie poranił. Siedząc naprzeciw Roberta i obserwując jego reakcję, stopniowo zaczęła rozumieć, że on nigdy nie odejdzie od żony, i była naiwna wierząc w to. Wewnętrzny alarm włączył się, kiedy zobaczyła, jak współczuł Jimmy'emu Moranowi – flirtującemu, kłamiącemu, zdradzającemu Jimmy'emu Moranowi. Zauważyła, jak zareagował na wiadomość, że żona przyjaciela chce zabrać mu część pieniędzy, i rozzłościło go, że Frances oczekiwała od Jimmy'ego alimentów. Skoro nie potrafił zaakceptować albo zrozumieć kobiecej racji w tamtej historii, to czy kiedykolwiek zrozumie, przez co ona teraz przechodzi? Jakie ma szanse?

Czuła, jak Robert się jej wymyka, i nic nie mogła na to poradzić.

Musiał się zadeklarować – ona już to zrobiła. Nie czuła się winna, że poprosiła go, by wybrał ją zamiast żony. Według niego i tak już to uczynił. Nie prosiła go, żeby zrobił cokolwiek innego niż to, na co już się zgodził.

Ale mężczyzna, który siedział naprzeciw niej poprzedniego wieczoru, mężczyzna, który tak niewiele powiedział, wydawał jej się teraz obcy.

Nie spodziewała się, że zaśnie, ale kiedy jej głowa dotknęła poduszki, zapadła w głęboki i spokojny sen, budząc się zadziwiająco świeża zaraz po ósmej. Leżała jeszcze przez godzinę, z rozmysłem nie analizując sytuacji, nie pozwalając, żeby on pojawił się w jej myślach. Musiała dzisiaj zrobić kilka rzeczy, między innymi sprawdzić loty do Stanów, a w Stephen's Green był darmowy koncert kolęd, na który chciała się wybrać. Mogła zostawić auto i pójść na piechotę do miasta. Przyda jej się nieco ruchu.

Właśnie wychodziła z łóżka, kiedy rozległ się telefon. To Robert. Stephanie zwlekała chwilę, zanim odebrała. Sześć, siedem, osiem sygnałów. Odezwała się.

– Robert.

Żadnego cześć, dzień dobry, tylko jego imię. Nie była pewna, co tego ranka do niego czuje. Ale oddalał się od niej i być może ona powinna zrobić to samo.

– Jak... jak się czujesz?

– Jestem zmęczona.

Nie fizycznie, ale emocjonalnie wyczerpana.

– Chcesz się ze mną spotkać?

– Zawsze chcę się z tobą spotkać. To akurat była prawda. Chciała.

– Zamierzałem zadzwonić. Nie wiem, ile czasu zajmie mi dojazd. Korki na pewno będą

koszmarne.

Może to też jej wina?

Nie chciała, żeby przychodził dzisiaj do niej do domu. Wolą spotkać się na neutralnym gruncie.

– Właściwie jadę teraz do miasta. W Stephen's Green jest darmowy koncert kolęd.

– O której?

– Zaczyna się o drugiej.

– To może spotkamy się na miejscu? Posłuchamy kolęd, a potem pójdziemy coś zjeść.

– Dobrze – odparła krótko, czując, jak coś się w niej zmienia. – Zadzwoń do mnie, kiedy dotrzesz do centrum.

Rozłączyła się. A potem zobaczyła, że się uśmiecha. Wskoczyła z łóżka. No dobrze, może źle go osądziła. Kiedy zobaczyła jego imię na wyświetlaczu, pomyślała, że zaraz usłyszy wymówkę, dlaczego nie może się dzisiaj z nią spotkać. Gdyby tak było – to koniec. Miała w szafie kilka jego rzeczy: dwie koszule, jakąś bieliznę, parę skarpetek. Wrzuciłaby je do torby i zostawiła na progu jego biura.

Był pełen niespodzianek. To jedna z rzeczy, które ją w nim pociągały.

Stephanie właśnie pozostawiła kolędników, torując sobie drogę przez zatłoczone Green, kiedy zadzwoniła jej komórka. Zębami ściągnęła rękawiczkę i w końcu udało jej się wyciągnąć telefon, zanim włączyła się poczta.

– Gdzie jesteś? – spytała od razu.

– Przy wejściu do centrum handlowego.

– Zostań tam. Znajdę cię. To jakieś szaleństwo.

Ostatnia sobota przed Bożym Narodzeniem, najbardziej zatłoczony dzień w roku. Wydawało się, że takim dniem powinna być Wigilia, ale wtedy większość zakupów i tak była już zrobiona, a ludzie nie przyjeżdżali do miasta lub wyjeżdżali z niego wcześniej. Jednak dzisiejszy koncert kolęd nad małym mostkiem w sercu Green przyciągnął tysiące widzów i główne wejście pod arkadą było zupełnie zapchane. Tłumy przepływały przez park i ustawiały się wokół stawów, żeby posłuchać kolędników. Ochroniarze starali się pilnować, żeby ludzie nie gromadzili się na moście.

Stephanie przebiegła tamtędy, skręciła w prawo i łokciami utorowała sobie drogę przez jedno z bocznych wejść, wychodzących na Dawson Street. Na sztalugach dokoła Green odbywała się wystawa sztuki, a to przyciągnęło jeszcze większe tłumy. Z powodu tłoku wypchnięto ją prawie na ulicę, więc spróbowała przedrzeć się ku wejściu do centrum handlowego.

Zbliżając się tam, nie dostrzegła Roberta. Okrągłe foyer także było wypełnione, a przy wejściu gromadzili się uliczni sprzedawcy świątecznych opakowań – „pięć arkuszy za euro” – zbierający na jeden z dziesiątek charytatywnych celów.

Jest.

Stał nieco z boku, spoglądał w stronę parku, marszcząc czoło na widok tłumów. Ręce miał głęboko w kieszeniach, spod podniesionego kołnierza ledwo wystawała twarz. Potrzebował jeszcze

kapelusza i papierosa, a wyglądałby jak detektyw z lat czterdziestych. Zanim ją zauważył, już stała przed nim. Mrugnął zaskoczony, pocałował ją lekko w policzek, po czym złapał za rękę i odciągnął od wejścia.

– Gdzie zostawiłaś swoje sanie? – zaśmiał się, żartując z jej praktycznego, choć niekoniecznie uwodzicielskiego zimowego ubrania.

– Zaparkowałam na górze, obok innych reniferów.

Przeszli przez ulicę, kierując się z powrotem w stronę Green. Skinął głową w kierunku parku.

– Chcesz tam pójść? – spytał.

Potrząsnęła głową.

– Chór jest głośny, ale okropnie fałszuje, a park pełen ludzi. Przejdźmy się i pooglądajmy obrazy. – Pokazała kierunki obiema rękami. – W prawo czy w lewo? – zapytała wesoło, zgadując, że będzie chciał pójść w prawo, z daleka od tłumów. Robert nie lubił, kiedy ktoś widział ich razem w mieście, szczególnie w taki dzień jak dziś, kiedy nie mógł wymyślić wymówki związanej z pracą.

– W prawo – powiedział, łapiąc ją za rękę i prowadząc w stronę College of Surgeons i przystanku tramwajowego Luas.

– Jest tak cholernie łatwy do rozgryzienia, pomyślała z goryczą.

– Przepraszam za wczoraj... – zaczął.

– Ja też – odparła natychmiast. – Powinam ci była powiedzieć, że nasz związek nie jest już tajemnicą. Ale żyjesz w tak ogromnym stresie, że nie chciałam ci jeszcze dokładać problemów.

To była połowiczna prawda. Zamierzała mu powiedzieć o rozmowie z Flintoffem, ale Robert nie był głupi. Złożyłby wszystko do kupy i domyślił się, że nie będzie już mogła podsuwać mu zleceń. A nie chciała, żeby spanikował i zepsuł tę pracę, którą ma; powinien skoncentrować się na projekcie DaBoyz.

– Byłoby lepiej, gdybyś mi powiedziała. Kiedy Jimmy wyskoczył z tymi rewelacjami wczoraj wieczorem, myślałem, że dostanę zawału.

Stephanie spojrzała na niego ze zdziwieniem. Czy był aż takim tchórzem? Zatrzymała się, żeby spojrzeć na ładne jaskrawozielone abstrakcyjne malowidło, pomazane smugami czerwieni i fioleto. Podobały jej się surowe emocje i energia obrazu. To było dzieło namalowane z pasją. Gdzie podział się ten namiętny facet, w którym się zakochała? Co się z nim stało? Na początku – zanim kochali się po raz pierwszy – przeżywali radosne dni pełne namiętności, życia i energii. Z czasem pasja powoli zbladła. Nie odwiedzali już różnych miejsc, coraz mniej rzeczy robili wspólnie, a on nie miał dla niej tyle czasu, co kiedyś. Miał za to obsesję na punkcie pracy i uważał, że powinien przede wszystkim zarabiać pieniądze i utrzymywać firmę. Jeśli tak zachowywał się w stosunku do Kathy, zaczynała rozumieć, dlaczego się od siebie oddalili.

Pochyliła się nad obrazem, wdychając wyraźny zapach farby olejnej i płótna. Nie podnosząc wzroku, powiedziała:

– Powiedz... – poczekała, aż pochyli głowę. – Kochasz mnie?

Spojrzała na niego z ukosa, nie słysząc odpowiedzi..

– Nic nie powiesz?

– Chyba zdziwiłem się, że musisz mnie o to pytać.

– Chcę wiedzieć.

Odeszła, a on podążył za nią.

– Chcę wiedzieć, jak bardzo.

– Mówiłem ci tyle razy.

– Ale czy mi to okazałeś?

– Dawałem ci różne dowody, prezenty... Wściekła Stephanie przełknęła ripostę i zamiast tego spytała:

– Czym jest miłość, Robercie?

– Miłość to... – miotał się – ... cóż, miłość.

– Mówisz jak typowy facet! – zachnęła się. – Pomyśl tylko: co to jest miłość? Mówisz, że mnie kochasz. Co to znaczy?

– To znaczy... to znaczy, że chcę z tobą być. Że Kocham z tobą być.

Mówił to automatycznie, jak wyuczoną lekcję, czy naprawdę tak myślał? Czy mówił jej to, co chciała usłyszeć?

– Mówisz o zaangażowaniu?

– Tak – zgodził się.

Jej uwagę przykuła delikatna akwarela przedstawiająca pojedynczego żonkila. Zatrzymała się, by ją dokładniej obejrzeć. Namalowana pojedynczymi pociągnięciami pędzla miała pewien orientalny urok. Była delikatna, efemeryczna, krucha – dokładnie tak opisałaby swój związek z Robertem w tym momencie.

– Jesteś mi oddany? – spytała.

– Bardzo.

Stephanie wyprostowała się.

– Jak mi to okazujesz?

Robert otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale młoda malarka zbliżyła się do nich, próbując sprzedać obraz.

– Nie jesteśmy zainteresowani – odezwał się, zanim dziewczyna zdążyła cokolwiek powiedzieć. Złapał Stephanie za rękę i poprowadził w głąb Green przez małą furtkę naprzeciwko College of Surgeons. Czula napięcie płynące przez jego dłoń, ścisnął ją tak mocno, jakby chciał zostawić siniaki.

– Porozmawiajmy szczerze, a sztukę zostawmy na inną okazję. Czego ode mnie chcesz?

– Prawdy – oparła Stephanie. – Chcę prawdy.

– Kocham cię. Taka jest prawda.

– Wierzę ci.

Zatrzymał się, zaskoczony, a nawet zaszokowany jej odpowiedzią. Odeszła od niego, potem

przystanęła. Wierzyła, naprawdę wierzyła mu, że na swój sposób, na własnych warunkach, kocha ją.

Ale czy wystarczająco mocno, żeby... zostawić wszystko, co ma, i zacząć od nowa, od początku?

– Jeśli chcesz mnie jeszcze o coś zapytać, zrób to teraz – odezwał się.

Miłość i zaangażowanie to dwie oddzielne rzeczy. A powinny tworzyć jedność. Stephanie włożyła ręce do kieszeni kurtki i odwróciła się, by na niego spojrzeć. Wiedziała, że jeśli mrugnie, po policzkach popłyną łzy, a nie chciała dać mu tej satysfakcji.

– Mówisz, że mnie kochasz. Że chcesz ze mną być. Chyba lubisz moje towarzystwo. Na pewno lubisz moje ciało.

Zatrzymała się i wzięła głęboki oddech.

– Chcę wiedzieć, czy jest też coś więcej. Czy będzie coś więcej.

– Więcej?

– Tak. My razem, nie na szybkich lunchach albo godzinnych kolacyjkach i nie w twoim biurze lub na potajemnych weekendach za miastem. Chcę wiedzieć, czy będziemy razem. Jako para. Otwarcie.

Spojrzała w przeciwnym kierunku i szybko otarła łzy z policzków, zanim zdążył je zauważyć.

– To wszystko.

Bo w końcu tylko tego chciała.

Nie liczyła się przeszłość ani teraźniejszość, ani to, co miało miejsce teraz, lecz tylko przyszłość. Z nim albo bez niego.

Spojrzała w stronę Green. Piękna pogoda ściągnęła ludzi do parku, ożywiając kolorami ogołoconą przestrzeń. Kiedy zakochała się w Robercie, wszystko wydawało się mieć cudowne barwy, ale w ostatnich tygodniach i miesiącach ich związku kolory wydawały się blaknąć.

– Byłam już przedtem w różnych związkach. Wiesz o tym. Nigdy do nikogo nie czułam tego, co do ciebie.

Kocham cię. Muszę wiedzieć, czy ty kochasz mnie wystarczająco mocno, żeby coś z tym zrobić.

Odwróciła się i odeszła. Zwlekał, przez chwilę wydało jej się, że chce pójść w innym kierunku, ale w końcu ruszył za nią. Nie zamierzała nic dodawać. I tak powiedziała zbyt wiele. Szła Harcourt Street, kierując się w stronę domu.

– Chcesz, żebym się bardziej zaangażował.

Nie była pewna, czy zadaje jej pytanie, czy stwierdza fakt. Była zmęczona i ogłupiała.

– Nie zamierzam dłużej być kimś na boku. Tak było dobrze przez chwilę, kiedy nie miałam pewności, czy jesteś tym jedynym.

– Tym jedynym?

– Którego kocham. W końcu pozwoliłam sobie zakochać się w tobie, mimo że jesteś żonaty, bo wierzyłam, że mamy szansę.

Przeszła kilkanaście kroków w milczeniu, kontrolując swój oddech.

– Nie od razu zdałam sobie sprawę, na czym polega taki związek. Moje koleżanki wyjeżdżały na święta, lecz ja spędzałam je sama, bo chciałam być blisko mojego faceta. A mój facet był wtedy ze swoją rodziną. Tak samo w zeszłym roku – nie pozwolę, żeby w przyszłym było podobnie.

– Stephanie, ja... – powiedział szybko.

Podniosła rękę do góry, by go uciszyć. Musiała skończyć:

– Jeśli nie ma dla nas przyszłości, powiedz. Nie będę histeryzować i nie zrobię ci sceny. Jestem dużą dziewczynką. Nie powiem też Kathy, jeśli o to się martwisz dodała złośliwie.

Przeszła kolejnych dziesięć jardów w milczeniu, z każdym krokiem zbliżając się do domu, z każdym krokiem oddalając się od Roberta.

Nagle on ruszył i stanął naprzeciw niej, zatrzymując się pośrodku drogi. Złapał ją za ramiona i spojrzał uważnie. Wiedziała, że jej oczy są teraz ogromne, powiększone jeszcze nieotartymi łzami, a oddech urywany, jakby biegła. Widziała, jak oblizuje językiem spierzchnięte wargi – Kocham cię. Chcę z tobą być. Chcę się z tobą ożenić. Wyjdiesz za mnie?

Miasto zniknęło. Ucichł hałas samochodów i tramwajów. Teraz był tylko Robert i jego słowa odbijające się echem w jej głowie:

Kocham cię.

Chcę z tobą być.

Chcę się z tobą ożenić.

Wyjdiesz za mnie?

Zarzuciła mu ręce na ramiona, przyciągnęła bliżej jego twarz i pocałowała go. Płakała i próbowała coś powiedzieć, ale serce biło jej zbyt mocno, bała się, że pęknie.

Kocham cię.

Chcę z tobą być.

Ożenić się z tobą.

Wyjdiesz za mnie?

Te słowa huczały jej w głowie. Nagle wszystkie wątpliwości i strachy zniknęły, jakby zmiecione czterema prostymi zdaniami.

Kochała go.

Chciała z nim być.

Chciała za niego wyjść.

Odpowiedź brzmiała „tak”.

– Tak, tak, tak!

Rozdział 40

Niedziela, 22 grudnia

– I co powiesz na to? – triumfalnie spytała przyjaciółkę.

Sally nie zdążyła jeszcze przejść przez drzwi, kiedy Stephanie wyrzuciła z siebie jednym tchem:

– Oświadczył mi się. Powiedział, że mnie kocha, chce ze mną być i ożenić się ze mną.

Gdy wypowiadała te słowa, czuła podniecenie i zarazem pewien strach gniezdzący się gdzieś w żołądku. I ogromną ulgę, nie mogła zapomnieć o uczuciu ulgi.

Sally otworzyła szeroko ze zdziwienia usta, a jej oczy stały się zupełnie okrągłe.

– Oświadczył ci się. Oświadczył! Powoli, zwolnij. Co się stało? Mów.

– Poprosił, żebym za niego wyszła. Oświadczył się. Tam, na ulicy.

Wyjdiesz za mnie?

To zdanie zaszokowało ją, zdziwiło, rozbroiło. Miała trzydzieści pięć lat, była silną, niezależną, dobrze sytuowaną bizneswoman. Dotąd nie potrzebowała mężczyzny przy swoim boku, żeby się dowartościować. Cieszyła się ich towarzystwem, niektórych kochała, ale odkąd przestała być nastolatką, nie myślała o małżeństwie. Małżeństwo to było marzenie młodej dziewczyny, a ona przestała nią być w dniu, kiedy wsiadła do autobusu jadącego do Nowego Jorku.

A mimo to...

Te trzy słowa sprawiły, że znów poczuła się nastolatką, wszystkie jej marzenia i pragnienia na powrót stały się rzeczywiste.

Sally mówiła coś do niej, więc Stephanie musiała wrócić do rozmowy.

– Co zrobiłaś, że tak drastycznie się zmienił? – zapytała przyjaciółka. – Opowiadaj ze szczegółami.

Stephanie wzięła swój płaszcz z oparcia krzesła i podniosła torebkę.

– Naprawdę cię posłuchałam. Chyba potrzebowałam cię, żebyś wypowiedziała głośno pytania, które sama sobie zadawałam. Może nie miałam dystansu do całej sytuacji i wymyślałam dla niego ciągle wymówki. Zmęczyłam się czekaniem, Sally.

Otworzyła drzwi i objęła przyjaciółkę. Przeszły przez podwórko w stronę bramy. Chciały pójść do miasta, kupić sobie nawzajem prezenty, co przez lata ich przyjaźni stało się już tradycją.

– Najpierw zapytałam samą siebie, czego chcę – nie teraz, lecz w przyszłym roku. Potem zwróciłam się do niego z pytaniem, czy mnie kocha.

– A on oczywiście powiedział, że tak – odparła Sally. – Faceci zawsze mówią, że tak, ale to dlatego, że nie znają znaczenia słowa „kochać”. „Tak” to zwykłe słowo wtrącone w rozmowie.

– Ale on to zrobił, Sally. Zrobił to. Powiedział, że się ze mną ożeni. Nie oczekiwałam tego. Byłabym szczęśliwa, gdyby chociaż obiecał, że ze mną zamieszka!

Skręciły w prawo przy kanale i przeszły przez ulicę, by pójść ścieżką. Słońce odbijało się w wodzie, dzień podobny był do letniego. Po chwili Sally zaczęła głośno się zastanawiać:

– A kiedy ogłosi dobre nowiny swojej żonie?

Stephanie poczuła, jak jej radosny nastrój pryska.

Ta sama myśl wpadła jej do głowy, ale szybko ją wygoniła.

– Cóż... nie doszliśmy do tego. Zamierzaliśmy spotkać się dzisiaj, ale za żadne skarby nie chciałam odwoływać spotkania z tobą.

– Dzięki.

– Poza tym nie miałam okazji kupić mu najważniejszego prezentu. Na to też muszę znaleźć czas.

Przeszły kolejnych kilkanaście kroków.

– Jak myślisz, kiedy się do ciebie wprowadzi?

– Och, wkrótce – zdecydowanie powiedziała Stephanie. – Pewnie przed Nowym Rokiem.

Zjemy razem noworoczną kolację – i pamiętaj, ty stawiasz.

– Jeśli wprowadzi się do ciebie i w ten sposób zdeklaruje – z chęcią zapłacę.

– Stephanie nie była pewna, czy te słowa kryją w sobie ironię, czy też nie.

Sally wzięła przyjaciółkę pod ramię:

– Chodź, kupimy, co trzeba, i obiecamy sobie nie myśleć i nie gadać o facetach przez cały dzień!

– Uda nam się? – zaśmiała się Stephanie.

– Zależy od tego, co wybierzemy, prawda? I szukamy tylko babskich rzeczy. Nic dla facetów.

– A co z prezentem dla Roberta?

– Może poczekać.

Rozdział 41

Poniedziałek, 23 grudnia

Kiedy Stephanie weszła na bieżnię obok Roberta, on dyszał już jak lokomotywa. Wymruczał kilka słów powitania, ale nie zwolnił tempa. Kiedy przekonywała go, żeby zapisał się do siłowni, nie przypuszczała, że będzie tam uczęszczał, ale jakimś sposobem udało mu się przychodzić regularnie dwa razy w tygodniu. Kiedy już przywykł do zmęczenia, wydawał się lubić te ćwiczenia. Zauważyła niewielkie korzystne zmiany w jego ciele, zwłaszcza na brzuchu, ale klatka piersiowa potrzebowała znacznie więcej wysiłku. Po pierwszych zajęciach przekonała go, żeby poszedł do solarium, a to pomogło trochę ukryć zbyteczne fałdki tłuszczu. Ostatnio, kiedy się kochali, zauważyła utrzymującą się opaleniznę.

Włączyła bieżnię.

– Przepraszam za spóźnienie. Zamykaliśmy dzisiaj biuro, w sali konferencyjnej był mały bankiet.

– Nie ma sprawy – wysapał. – Dostałem twoją wiadomość. Jakieś nowiny na temat...

– Naszego romansu? Nic. Nikt nic nie wspominał. Ale słyszałam pogłoski, że prawdopodobnie dostaniesz kontrakt dla DaBoyz.

– To super! Chyba... Właśnie miałem cię o to spytać. Theresa mówiła, że dwóch członków zespołu to geje.

Stephanie potrząsnęła głową:

– Nie miałam o tym pojęcia. Choć nie zdziwiłabym się. To jakiś problem?

– Nie, wcale. Wspomniała też, że w MTV mówiono o ich planowanym rozpadzie.

Zirytowała się nieco. Nie powinno go interesować, czy zespół był homo, hetero, czy właśnie się rozstawali. Miał jedynie skupić się na kręceniu teledysku.

– Taki mieli zamiar. Dlatego ten singiel jest tak ważny. Sporo ludzi w nich zainwestowało i teraz nie chcą stracić włożonych pieniędzy, więc zespół ma ostatnią szansę. A przy okazji – ta szansa to ty. Zrób porządnie ten teledysk, a wielu oszczędzi pieniądze. Ale jeśli to spieprzysz, nie znajdziesz innej pracy w tym mieście – zaśmiała się, by złagodzić trochę złośliwość.

– Nie jestem pewien, czy mówisz serio, czy żartujesz.

– Jedno i drugie. Na pewno ci się uda. Pamiętaj, zaryzykowałam dla ciebie swoją karierę.

– Więc nie ma obaw – wymamrotał.

– I przepraszam za wczoraj. Naprawdę chciałam się z tobą spotkać, ale wcześniej obiecałam Sally, że wybierzemy się razem na zakupy.

Robert spojrział na nią z boku i uśmiechnął się.

– Wcześniej?

- Zanim mi się oświadczyłeś.
- Może i lepiej, że tak się stało. Skończyłem parę rzeczy w biurze. Gdybyśmy się spotkali, to...
Teraz ona spojrzała z ukosa:
- To co?
- To byśmy nadal rozmawiali i planowali....
- Tak, wiem. Uszczęśliwiłeś mnie. Nawet Sally jest zadowolona.
- Chciałbym w końcu spotkać tę tajemniczą Sally.
- Ona też chce cię poznać. Tyle jej o tobie opowiadałam.
- Pewnie była zaskoczona tymi wieściami.
- Zaskoczona? Wręcz zdumiona. Umówiliśmy się, że po świętach spotkamy się i to oblejemy.

Ona stawia.

- Dobry pomysł. – Robert przyspieszył. – Dlaczego ona?
- Bo kiedyś założyłyśmy się o najlepszy posiłek na świecie, że nigdy nie zostawisz dla mnie żony.
- Cóż, upewnijmy się, że to będzie drogi zakład. Osobiście zamówię na tę okazję stolik u Shanahana w Green.

Przez chwilę biegli w milczeniu, potem Stephanie zadała pytanie, które dręczyło ją, od kiedy Sally wypowiedziała je poprzedniego dnia:

- Myślałeś już o świętach?
- Tak, i to sporo – odpowiedział szybko.
- Spędzisz ze mną pierwszy dzień świąt?

Zanim odpowiedział, sięgnął jeszcze, żeby zwiększyć tempo maszyny, i Stephanie domyśliła się już odpowiedzi. Biegł coraz szybciej, oddychał z trudem.

- To niemożliwe – powiedział w końcu.

Jego odpowiedź zmroziła ją i chyba odbiło się to na jej twarzy, bo Robert dodał natychmiast:

- Bądź rozsądna. Nie mogę dziś lub jutro pójść do Kathy i dzieci, by oznajmić „Wiecie co? Odchodzę. Wesółych Świąt”, prawda?

Cóż, kiedy tak to przedstawiał, brzmiało bardzo rozsądnie. Ale oczywiście każda jego wymówka wydawała się rozsądna.

- Nie, oczywiście, że nie.

Pokiwała głową, zdziwiona tym, co usłyszała. Czy wracał znów do sobotniej rozmowy, czy był szczerzy? Potrzebowała kilku chwil, żeby pomyśleć. Ale jej pierwsza reakcja była taka, że sukinsyn znów tchórzy.

Po tym, co jej obiecał!

Gdyby teraz odszedł, po tym, jak się oświadczył i wzbudził w niej nadzieję, czyniąc ją niewiarygodnie szczęśliwą, to poszłaby do jego żony i wyznała wszystko. Jeśli tak ją skrzywdzi, to ona mu odda.

- Ale spotkamy się jutro. I zjrzę w Boże Narodzenie – dodał.

– Kiedy zamierzasz jej powiedzieć?

Jego odpowiedź pomogła odrobinę, ale potrzebowała czegoś więcej, czegoś jasno określonego, czego mogłaby się chwycić i na co liczyć.

– Myślałem o piątku, dwudziestego siódmego.

– Dlaczego nie w czwartek?

– Obiecałem, że pójdziemy do siostry Kathy na obiad. To zostało zaplanowane.

Poczuła ogarniającą ją panikę. I koszmarny gniew. Kiedy w sobotę Robert powiedział jej, że chce być z nią, wyobraziła sobie, że to oznacza wspólne święta, ale kiedy wróciła myślami do tamtej rozmowy, zdała sobie sprawę, że nigdy nie określił konkretnego czasu.

– A ja co mam robić w Boże Narodzenie? Czekać, aż się pojawisz?

– Powiem jej w piątek i spędzę z tobą Sylwestra – powiedział, niezupełnie odpowiadając na jej pytanie. – Razem przywitamy Nowy Rok. Pamiętaj, że dla nas to też będzie nowy rok. Nie dąsaj się więc i pójdźmy na kompromis. To poważna decyzja, muszę zrobić wielki krok. Ty myślisz tylko o sobie, a ja mam na głowie Kathy i dzieci.

Dobrze, miała już datę i zmieniła Wigilię wraz z Bożym Narodzeniem na Sylwestra i Nowy Rok.

– Oczywiście, masz rację. Całkowitą. Kilka dni nie zrobi nam wielkiej różnicy, prawda? A Boże Narodzenie to tylko kolejna środa.

Przenieśli się z bieżni na rowerki. Zaczęła pedałować. Przez kilka minut Robert próbował za nią nadążyć, ale wkrótce zwolnił do normalnego tempa.

– Potrzebuję pewnej porady – powiedział, kiedy odzyskał oddech.

Stephanie nie przestawała pedałować i spojrzała na niego. Ona nadal oddychała równo i spokojnie.

– Co masz na myśli?

– Chodzi o firmę. R&K Productions. Wiesz, że „K” oznacza Kathy, która ma połowę udziałów.

– Wiem – ostrożnie przytaknęła Stephanie. O czym on mówił? Może zamierzał sprzedać firmę?

– Zastanawiałem się, czy chciałabyś wejść ze mną do spółki, przejąć udziały Kathy. Nazwalibyśmy firmę R&S Productions. Oczywiście, jeśli uda mi się wykupić tę połowę.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem. Tego nie spodziewała się usłyszeć. Zwolniła nieco, pozwalając, by rower sam się zatrzymał. Nie było dobrego sposobu, w jaki mogła mu to powiedzieć, ale niestety musiała to zrobić. Lepiej, żeby usłyszał to od niej. Oczekwała chwilę i sformułowała odpowiedź tak dyplomatycznie, jak tylko umiała.

– Nie jestem pewna, czy chcę rezygnować z mojej obecnej pracy. Wydaje mi się, że praca w u ciebie byłaby raczej krokiem wstecz w mojej karierze.

Robert zaczął się śmiać, ale szybko przestał, kiedy zdał sobie sprawę, że Stephanie mówi poważnie.

Skoro poruszył temat interesów, równie dobrze mogła powiedzieć mu resztę. Jeśli był z nią zupełnie szczerzy – a uważała, że tak – była mu to winna.

– Poza tym musimy pamiętać, że nie mogę już kierować kolejnych zleceń do twojej firmy. Nie będzie to dobrze wyglądało, jeśli miałabym wspierać firmę mojego partnera.

Wyglądał, jak rażony piorunem.

– Żadnych zleceń...

– Nie ode mnie. Ale będę trzymać rękę na pulsie i informować cię o tym, co się dzieje. Będzie dobrze. W każdym razie – ciągnęła – myślałam, że może zamkniesz R&K.

– Co?

Mimo opalenizny widać było, że zbladł. Czy aż tak bardzo liczył na zlecenia od niej?

– Postarasz się o pracę w jednej z dużych firm.

Nie patrzył na nią teraz, gapił się tępo naprzód zdenerwowanym, wyzywającym wręcz spojrzeniem.

– Byłoby ci łatwiej pod każdym względem – kontynuowała. – Dostawałbyś regularną pensję i mógłbyś wyjść z biura o piątej trzydzieści albo nieco później i nie myślałbyś o pracy aż do następnego dnia rano. Mielibyśmy też dla siebie weekendy.

– Ale pracowałbym dla kogoś innego. Przez długi czas byłem swoim własnym szefem.

– W tej chwili pracujesz dla Kathy, dzieci i banku. Oni są twoim szefem. A tak miałbyś więcej czasu, także dla mnie. I dla twoich dzieci – dodała po chwili.

Zaczął się śmiać chrapliwie, aż zaczął kaszleć. Stephanie zeszła z roweru i klepnęła go w plecy.

– Wszystko w porządku? – Tak. Myślałem...

– O czym?

– Że jesteś rodzajem katalizatora – zmieniasz wszystko wokół siebie.

Stephanie przytuliła się do niego, rozmyślnie napierając biustem w jego pierś.

– Sami dokonujemy zmian, ale czasem potrzebujemy kogoś lub czegoś, żeby trochę ponaciskał.

Sally naciskała ją, ona naciskała Roberta.

– Dobra, idę się przebrać.

– Myślę, że dwójka byłaby idealna, chłopiec i dziewczynka – powiedział Robert, kiedy zmierzali w stronę wyjścia z siłowni na parking.

– Chciałabym mieć dzieci – powiedziała, wychodząc w ciemną zimową noc. Zanim oświadczył się jej w sobotę, Stephanie nigdy nie myślała o dzieciach. Zbyt wielu jej przyjaciół potomstwo ograniczało, wiedziała więc, ile pracy trzeba włożyć w wychowanie go. Podziwiała kobiety, które znajdowały czas na rodzinę i na karierę, ale w jej zawodzie było dużo podróży i nieregularnych godzin pracy, co zupełnie wykluczało posiadanie dziecka. Jeśli byłaby sama. Ale gdyby miała partnera... mogłoby być inaczej. Może to właśnie odkrywała przy Robertcie: możliwości. Spojrzała na samotnego, lekko zdesperowanego, uwięzionego mężczyznę, i wydało jej się, że ma on ogromny

potencjał.

Jeśli będą razem, a czas będzie właściwy, bardzo chciałyby mieć dziecko. Chłopca czy dziewczynkę, wszystko jedno.

– Kiedy chciałybyś je mieć? – dopytywał się.

– Nie natychmiast, oczywiście – zastrzegła na wszelki wypadek, gdyby przyszło mu do głowy od razu zakładać – rodzinę. Sięgnęła po jego dłoń, ciesząc się jej ciepłem i siłą. – To trochę jak paragraf dwudziesty drugi. Teraz mam trzydzieści pięć lat. Nie mogę zbyt długo czekać, ale potrzebuję jeszcze dwóch lat do awansu. Moglibyśmy zacząć się starać rok później.

Ale czy trzydzieści osiem lat to nie za dużo, żeby myśleć o pierwszym dziecku? Chyba tak. Może pomyśli o przerwie w pracy, urodzi dziecko, potem wróci na pół etatu.

Idąc do samochodu, uśmiechała się: cały jej świat się zmieniał. Rozważała możliwości, które jeszcze czterdzieści osiem godzin temu w ogóle nie istniały.

Ich samochody stały obok siebie w ciemnym kącie parkingu. Równocześnie wyłączyli alarmy, a wszystkie światła zamrugały. Robert otworzył drzwi jej samochodu, Stephanie wrzuciła torbę na siedzenie pasażera, potem odwróciła się. Kochała tego mężczyznę. I chciałyby mieć z nim dziecko. Objęła go za szyję, prawą ręką złapała za kark, żeby zniżyć jego głowę do poziomu swojej.

– Pomyśl, ile frajdy da nam płodzenie naszych dzieci wyszeptala. Potem pocałowała go mocno i namiętnie.

W końcu oderwali się od siebie, wzdychając. Stephanie już bez słowa wsiadła do samochodu, pomachała i ruszyła.

Patrząc we wstecznym lusterku na Roberta, który stał przy aucie i rozmawiał przez telefon, wymyślała dziecięce imiona.

Powinna zachować własne nazwisko czy przyjąć jego?

Podobało jej się nazwisko Walker. Wypróbowała je, powtarzając głośno:

– Stephanie BurroughsWalker.

Nie, po prostu Stephanie Walker. Będzie nią wkrótce. Pani Walker.

Rozdział 42

Wtorek, 24 grudnia

Kiedy Stephanie Burroughs otworzyła drzwi wejściowe, od razu rozpoznała kobietę stojącą na progu. Nagle wstrząsnęły ją sprzeczne emocje – szok, strach, złość i, co zaskakujące, ulga.

– Witaj, Stephanie.

– Pani Walker. Kathy.

Jadąc tutaj, Kathy ćwiczyła rozmowę ze Stephanie Burroughs na milion różnych sposobów. Przechodziła najrozmaitsze uczucia: gwałtowny gniew, rezygnacja, obrzydzenie, nawet strach, a teraz... nie czuła nic. Tylko ogromną pustkę wewnątrz.

Do chwili, w której wcisnęła dzwonek, wiedziała, co powie Stephanie, jak powinna zareagować. Będzie grzeczna, opanowana. Jeśli ta suka chce Roberta, niech go sobie bierze.

Kiedy jednak Stephanie Burroughs otworzyła drzwi i spojrzała na nią, poznając od razu, z kim ma do czynienia, misternie przygotowany plan i starannie dobrane słowa natychmiast uleciały.

Kathy zrobiła krok naprzód i spoliczkowała Stephanie wierzchem dłoni.

Obie kobiety spojrzały na siebie, zdziwione i przerażone tym, co się właśnie stało. Kathy poczuła, że drży. Nigdy w życiu nie podniosła na nikogo ręki.

Stephanie przycisnęła dłoń do piekącego policzka. Nie miała najmniejszego zamiaru oddawać ciosu. Nie nosiła w sobie niechęci do tej kobiety. Kathy nie zrobiła jej nic złego. Od początku swojego związku z Robertem Stephanie bała się spotkania z jego żoną, a zarazem czekała na nie. Wiedziała, że jeśli Robert powie kiedyś Kathy, że odchodzi, ona może spodziewać się wizyty. A jeśli już odwiedziła dom kochanki swojego męża, równie dobrze mogła ją spoliczkować.

– Przepraszam! – zaczęła Kathy bez tchu. – Obiecałam sobie, że tego nie zrobię. Przepraszam.

Stephanie nie spodziewała się jednak odwiedzin tak szybko. Nie myślała, że Robert powie wszystko swojej żonie przed świętami.

Kathy zebrała się w sobie.

– Możemy... – zaczęła, ale głos miała niespokojny. Przełknęła ślinę i zaczęła jeszcze raz. – Możemy porozmawiać tu na progu albo wpuść mnie do środka.

Stephanie przyjrzała się jej. Nie chciała rozmawiać... ale gdzieś w głębi duszy nosiła współczucie dla tej kobiety. Kathy zasługiwała na odpowiedź. Zasłony pani Moore drgnęły i to zadecydowało. Odsunęła się na bok.

– Tak, powinnaś wejść.

Kathy Walker zwlekła chwilę, po czym skinęła głową i weszła do holu. Stephanie wprowadziła ją do pokoju. Sama potrzebowała chwili, żeby się pozbierać. W oczach miała łzy, bardziej strachu niż bólu po uderzeniu. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze w przedpokoju – na policzku widniały

odciśnięte ślady palców Kathy.

Ona sama rozglądała się po pokoju i ze zdziwieniem stwierdziła, że podoba się jej tutaj. Nie był w jej guście, trochę zbyt ozdobny, ale ciepły i wygodny, zupełnie inny, niż sobie wyobrażała. Wydawało jej się, że kochanka Roberta będzie miała klasę i wybierze raczej jasne drewno i błyszczący chrom. Było nienagannie czysto, ale łatwo utrzymać dom w porządku, jeśli nie ma się dzieci.

Stephanie pojawiła się w drzwiach z dłonią przyciśniętą do policzka, obserwując żonę Roberta. Różniła się od tej Kathy, którą pamiętała: zdecydowanie starsza, o zmęczonej zwiotczalej twarzy, pod przekrwionymi oczami widniały szare cienie. Ubrana była prosto – w kremowy wełniany golf i czarne spodnie, nosiła skromną biżuterię: złoty łańcuszek, bransoletkę, ślubną obrączkę i drobny pierścionek zaręczynowy. Stephanie wydało się, że Kathy Walker poświęciła sporo czasu na przygotowanie się do tego spotkania.

Próbowała wyobrazić sobie, co czułaby, gdyby to jej mężczyzna powiedział właśnie, że odchodzi. Jak czuła się teraz Kathy? W tym momencie współczuła tej kobiecie. Założyła ręce na piersi. Nie, nie mogła sobie pozwolić na takie emocje. To była kobieta, która z powodzeniem odtrąciła swojego męża.

Kathy odwróciła się.

– Ładnie tu – powiedziała w końcu. Cieszyła się, że na ścianach nie było zdjęć Roberta i Stephanie, żadnego znaku, że już tu mieszkał. – Wiesz, dlaczego tu jestem.

Stephanie przyjrzała się jej bliżej, zauważając z przerażeniem niesamowite podobieństwo między nimi – widziała samą siebie za pięć lat. Albo przynajmniej tak by wyglądała, gdyby to jej mąż zostawił ją dla młodszej kobiety.

– Więc powiedział ci o nas? – spytała zimno. Kathy pokręciła głową.

– Robert mi niczego nie powiedział.

Stephanie skinęła głową. Próbując uspokoić głos, ciągnęła dalej:

– Ale się dowiedziałas.

– Owszem – odparła Kathy równie lodowatym głosem. – Dowiedziałam się o was. – W jej głosie słychać już było gniew.

– Myślałam, że ci powiedział. Taki miał zamiar.

– Robert obiecuje wiele rzeczy. Potem zapomina – odparła Kathy. – Chcę tylko odpowiedzi na kilka pytań. To wszystko. Nie mogę go zapytać, nie mogę zapytać go o was, bo skłamię. Okłamię mnie – powiedziała z goryczą.

Mimo że Stephanie nie miała ochoty na rozmowę, stwierdziła, że choć tyle jest winna Kathy. Pokiwała głową.

– Miałam zamiar zrobić herbatę. Napijesz się?

– Tak, chętnie.

Ściągnęła płaszcz i powiesiła go na oparciu krzesła, podczas gdy Stephanie zniknęła w kuchni. Kathy odczekała chwilę, po czym podążyła za nią, nieświadomie przyjmując tę samą pozycję, co

Robert w piątkowy wieczór.

– Jadąc tutaj, przemyślałam każde słowo, które chciałam ci rzucić w twarz. Teraz kiedy już tu jestem, nie mam pojęcia, co mogłabym ci powiedzieć. Ale nie zamierzałam cię uderzyć – dodała, wyraźnie zawstydzona swoim postępkami. – To nie było... konieczne.

– Chyba też bym to zrobiła. Jeśli chcesz na mnie krzyczeć, krzycz. To też zrozumiem.

Kathy pokręciła głową.

– To nie ma sensu.

Stephanie milcząco potwierdziła.

– Dlaczego? – spytała Kathy. – Dlaczego zabrałaś mi męża? Po co to zrobiłaś?

Stephanie skupiła się na czajniku.

– Tak się stało – powiedziała delikatnie. – Po prostu się stało.

– Nic nie dzieje się po prostu – odparowała Kathy. – To ludzie sprawiają, że coś się dzieje. Ty to zrobiłaś.

– I Robert – dodała Stephanie. Kathy musiała się zgodzić.

– A ty – teraz Stephanie zaatakowała Kathy – też miałaś w tym swój udział.

Kathy zaskoczyła nienawiścią, którą usłyszała.

– Nic nie zrobiłam... – zaczęła.

– No właśnie – parsknęła Stephanie. Czowała narastającą ogromną złość. Nie miała zamiaru przyjmować na siebie całej winy. Kathy też była odpowiedzialna. I Robert. – Chcę, żebyś wiedziała, że nigdy – nigdy! – nie planowałam tego romansu. Nigdy przedtem nie byłam związana z żonatym mężczyzną. Zbliżyłam się do Roberta – pozwoliłam sobie na to – bo byłam pewna, że ty i on oddaliliście się od siebie. Emocjonalnie. Że pod tym względem był wolny. Wszyscy jesteśmy odpowiedzialni.

Kathy otworzyła usta, by zaprzeczyć, ale od razu je zamknęła. Czy taka była prawda? Czy mogło tak być? Patrzyła, jak tamta robi herbatę w sterylnej kuchni. Pamiętała Stephanie bardziej elegancką niż teraz, szczuplejszą, ładniejszą. Może to wyobraźnia płatała jej figle: ta Stephanie, na którą teraz patrzyła, była raczej zwyczajna, w dobrym tego słowa znaczeniu. Czy to dla tej kobiety Robert chciał ją zostawić? Była tylko kilka lat młodsza, dobrze, że to nie dwudziestolatka z wielkim biustem.

Kathy przyjęła herbatę z ręki Stephanie, zauważając zmaconą powierzchnię płynu. Może to jej samej trzęsły się ręce?

Wróciły obie do pokoju. Stephanie zajęła swoje ulubione miejsce, Kathy usiadła w fotelu zwykle zajmowanym przez jej męża. W ciszy popijały herbatę, nie patrząc na siebie nawzajem.

– Widziałam was wczoraj wieczorem – zaczęła Kathy, przerywając długą pauzę. – Na parkingu przy siłowni.

Byłam wtedy taka wściekła... ale tylko przez chwilę. Potem... nic już nie czułam.

Stephanie przytaknęła, nie wiedząc, co powiedzieć. Próbowwała przypomnieć sobie, co mówili i robili wczoraj wieczorem. Rozmawiali o dzieciach, a ona pocałowała Roberta. Czy Kathy to

widziała? Pewnie tak. Stephanie znów pomyślała o tym, jak by się czuła, widząc Roberta z inną kobietą.

– Co jeszcze chcesz wiedzieć? – spytała w końcu.

– Nie jestem pewna – szczerze odparła Kathy. – Kiedy tu jechałam, chciałam o niego walczyć. Chciałam cię błagać, żebyś nie zabierała go ode mnie i od dzieci. Ale nie jestem pewna, że nadal tego chcę.

– Dlaczego nie? – wyszeptwała Stephanie.

– Chcę odzyskać męża... ale nie chcę, żeby wracał do czegoś, czemu nie może się poświęcić.

Stephanie skinęła głową. Doskonale to rozumiała.

– Powiedz mi... – ciągnęła Kathy.

Patrząc na nią, Stephanie próbowała określić emocje, które budziły się w tej chwili w niej samej. Nigdy dotąd nie myślała zbyt wiele o Kathy. Sally miała rację: wszystko, co wiedziała o żonie swojego kochanka, było przefiltrowane przez niego. Stephanie umyślnie nie zastanawiała się nad tym dłużej. Może gdyby w przeszłości żywiła do niej jakieś negatywne uczucia obrzydzenia lub złości za sposób, w jaki traktowała Roberta... ale pamiętała też, że Robert bez wątplenia przekręcał prawdę, żeby przedstawić swoją wersję. Teraz zaczęło ją martwić to, że głęboko współczuje Kathy.

– Sześć lat temu, kiedy dołączyłaś do firmy – czy miałaś wtedy romans z Robertem? Proszę, powiedz mi prawdę – dodała ostrzej Kathy. – Koniec z kłamstwami.

– Zgoda, żadnych kłamstw. Nie – powiedziała otwarcie Stephanie – nie miałam. Byłam wtedy tylko pracownicą. Przysięgam, że nic się wtedy między nami nie zdarzyło.

– Kathy zajęło chwilę przetrawienie tej odpowiedzi. Czy była prawdziwa? Spojrzała na kobietę siedzącą naprzeciwko. Były sobie obce, nie miały nic wspólnego, z wyjątkiem tego mężczyzny. Jej mężczyzny. To Stephanie Burroughs odebrała jej męża. Ale to uczucie zaczęło się zmieniać. Stephanie miała rację. Nie można było winić tylko jej. Nawet jeśli zaoferowała siebie Robertowi, on ją przyjął.

– Wierzysz mi? – spytała Stephanie.

Kathy kiwnęła głową. Jej oczy wypełniły się łzami.

– Myliłam się wtedy. Bardzo się myliłam.

– O czym mówisz?

– Pomyliłam się wtedy, myśląc, że macie romans. – Tak. Do niedawna nie wiedziałam, że go wtedy oskarżyłaś. Teraz znów to zrobiłaś?

– Jeszcze nie. Tym razem chciałam najpierw porozmawiać z tobą.

– Może wtedy też powinnaś – warknęła Stephanie.

– Może.

– Kiedy się o nas dowiedziałaś?

– W czwartek wieczorem. Przypadkiem. Potrzebowałam adresów na kartki świąteczne i znalazłam twoje imię w komórce Roberta. Była przy nim mała czerwona flaga. Wysnułam

wniosek – ten sam, co sześć lat temu. Wtedy się myliłam. Tym razem odkryłam, że mam rację. Zaczęłam dalej szukać i znalazłam informacje, które nie były trudne do ujawnienia. Czasem myślę, że on chciał, żebym się dowiedziała i zaoszczędziła mu kłopotu wyznania mi prawdy.

– Ja myślę trochę inaczej. Wydaje mi się, że on robi wszystko, co w jego mocy, żeby zachować to w tajemnicy przed tobą. Nie chciał cię ranić. – Stephanie nie potrafiła ukryć nutki gorczy.

– Od kilku dni zadaję sobie pytanie, kiedy dokładnie nasze małżeństwo zaczęło się rozpadać. Chyba wiem – sześć lat temu, kiedy go niesłusznie oskarżyłam, teraz, zdaje się, za to płacę.

– Mówiłam ci, nie byliśmy wtedy razem.

– Wierzę ci – odparła szczerze Kathy.

– Przede wszystkim, dlaczego go oskarżyłaś? – Stephanie nagle poczuła chęć, żeby sięgnąć i wziąć Kathy za rękę. Wydawało jej się, że rozmawiają o czyjejś śmierci.

– Ciągle przebywał w twojej obecności, stale o tobie mówił, wyjeżdżaliście razem. Byłaś młoda, ładna, energiczna. Pewnie byłam zazdrosna. Myślałam, że to nieuniknione, że się z tobą prześpi.

– Ale tak nie było. Nie próbował mnie podrywać. Pamiętaj, pracowaliśmy nad tym wielkim projektem. Roberta nie było stać na drugiego researchera, a ty wycofałaś się z firmy, żeby wychowywać dzieci. Dlatego spędzaliśmy razem czas.

– Jednak oskarżyłam go o to... Oczywiście zaprzeczył. Nazwałam go kłamcą, zwątpiłam w niego. A wiesz, kiedy się w kogoś zwątpi, nie ma już odwrotu. To zostaje na zawsze.

Stephanie rozumiała. Od tygodni dręczyły ją wątpliwości co do czystości intencji Roberta wobec niej i chęci bycia z nią. Nawet teraz, po tym, co powiedział, ciągle niczego nie była pewna.

Piły w ciszy herbatę.

– Myślałam o tym dużo przez ostatnie dni – ciągnęła Kathy. – I były chwile, kiedy cię nienawidziłam. Pogardzałam tobą. Jak śmiesz uwodzić mojego męża? Chciałam wiedzieć, czy wzięłaś go po prostu dlatego, że mogłaś? Jak w jakiejś grze albo...

– To nie tak – wtrąciła się Stephanie.

– To jak? Kto dał ci prawo?

– Ty sama. Ty dałaś mi to prawo – odparowała Stephanie.

Kathy patrzyła na nią w osłupieniu.

– Kiedy go odepchnęłaś, wyrzuciłaś ze swojego życia.

Wtedy pozwoliłam sobie zainteresować się nim.

Kathy otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale Stephanie powstrzymała ją ruchem ręki.

– A potem się w nim zakochałam – wzięła głęboki, niespokojny oddech. – I to wszystko zmieniło.

Kathy czuła, jak żołądek się jej przewraca. Trudno było siedzieć tu i słuchać, jak ta kobieta mówi o miłości do jej jej męża.

– Maureen mówiła, że widziała was razem. I powiedziała mi, że wydawało jej się, że jesteś w nim zakochana.

Zastanawiałam się, jak to się stało.

Stephanie wzruszyła ramionami:

– Nie planowałam tego.

Kathy kontynuowała, jakby nie słyszała odpowiedzi:

– Ja też pamiętam, dlaczego się w nim zakochałam. Był taki dobry.

Stephanie przytaknęła.

– I delikatny, i taki nieszczęśliwy, i rozśmieszał mnie. I miał pasję. Fascynował się swoją pracą. Miał takie marzenia.

– Ciągłe je ma – wyszeptała Stephanie.

– Już mi o nich nie mówi.

– Dlaczego? – spytała Stephanie, naprawdę ciekawa odpowiedzi.

– Kiedy zostawiłam R&K, żeby zająć się dziećmi, Robert myślał, że już mnie nie interesuje firma. Nie widział we mnie partnera w interesach, tylko matkę i żonę. Przestał opowiadać mi o tym, co robi, pytać o radę. Wychowywałam dwoje małych dzieci. Nie miał pojęcia, jakie to męczące. Wychodził wcześniej rano i wracał późno wieczorem. Wychowywanie dzieci spadało tylko na mnie, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zanim wrócił do domu, ja chciałam już tylko spać.

Stephanie wstała i zabrała puste kubki. Wróciła do kuchni, by dolać herbaty. Ledwie wczorajszego wieczoru myślała, że chce mieć dziecko z Robertem. Jak by to wpłynęło na ich związek? Jak by ją traktował, gdyby urodziło się dziecko?

Robert właściwie nigdy nie opowiadał o stosunkach ze swoimi dziećmi, Brendanem i Theresą. Mówił o nich ogólnie, ale Stephanie nigdy nie zdawała sobie sprawy, jak wiele z ich wychowania spadło wyłącznie na Kathy. Kiedy Stephanie była z Robertem, ich związek był całkowicie egoistyczny: skupiali się wyłącznie na sobie. Nigdy tak naprawdę nie pomyślała o jego dzieciach... co by się z nimi stało, gdyby odszedł? Co by myślały, nie tylko o nich, ale i o Kathy?

Wróciła do pokoju z dwoma filiżankami świeżej herbaty.

– Widzę, że używasz typowych filiżanek, ze spodkami – zauważyła Kathy.

– Robert woli kubki – odpowiedziała Stephanie. – Ja ich nie znoszę.

– Wiem – zimno odparła Kathy. Za każdym razem, kiedy Stephanie tak osobiście mówiła o Robertcie, Kathy musiała gryźć się w język. – Byłam tu ostatnio któregoś wieczoru. Chciałam zobaczyć, gdzie mieszkasz.

– To ty byłaś tą kobietą z tajemniczym koszem świątecznym?

– Ja.

– Czego szukałaś?

– Dowodu. I jeszcze chciałam – musiałam – zobaczyć was razem.

– A kiedy zobaczyłaś...

– Przypomniałam sobie, jak my kiedyś wyglądaliśmy. Szczęśliwi. Trzymaliśmy się za ręce, całowaliśmy, cieszyliśmy się sobą, odpoczywaliśmy.

– Przykro mi z powodu tego, co się stało... – zaczęła Stephanie. Naprawdę było jej przykro.

– To nie ty zniszczyłaś nasze małżeństwo – gorzko odparła Kathy. – Po prostu oddaliśmy się od siebie. Jeśli ktoś jest winny, to my sami.

– Ale to nie ty znalazłaś sobie kochanka – powiedziała Stephanie ze złośliwym uśmiechem.

– Z dwójką dzieci przy boku – to niemożliwe. Romans kosztuje wiele czasu i zaangażowania, żeby trwał. Nie miałam dość żadnej z tych rzeczy. Już nie winię ciebie: myślę, że gdyby nie miał romansu z tobą, mógłby go mieć z kimkolwiek innym.

Stephanie mrugnęła zdziwiona i wycofała się. Przypomniała sobie własne obawy o Illonę i sposób, w jaki sekretarka patrzyła na Roberta.

– Chcesz powiedzieć...

– Chcę powiedzieć, że jeśli uciekał ode mnie, szukał pocieszenia i towarzystwa, znalazłby je w końcu u kogoś.

Nie mogła się powstrzymać i dodała:

– Byłaś akurat pod ręką. Błąd Roberta polegał na tym, że stawiał pracę przed rodziną – ja zrobiłam błąd, że mu na to pozwoliłam. Ale zawsze pojawiały się ważne powody, nigdy nie było dość pieniędzy. I nie traktuję tego jako wymówki.

– Wiem – machinalnie potwierdziła Stephanie. Czy Kathy mówiła prawdę? Czy naprawdę Robert mógłby mieć romans z każdą, która by się nawinęła?

– Kiedy odkryłam, że podsyłasz mu zlecenia, zaczęłam tłumaczyć sobie wasz związek, mówiąc, że to czysty interes. Potem znienawidziłam się za myślenie, że spał z tobą tylko po to, żeby zdobyć pracę dla firmy.

Stephanie otworzyła usta, ale nic nie powiedziała. Ta myśl – gorzka i głupia – przemknęła jej przez głowę zbyt wiele razy. Oblizła suche wargi i powiedziała spokojnym głosem:

– Cóż, to się więcej nie zdarzy. Mój szef zabronił mi zlecenia jakichkolwiek kontraktów R&K. Kathy rozważała tę wiadomość.

– Czy Robert wie? – spytała w końcu.

– Powiedziałam mu wczoraj.

– Jakie są konsekwencje tej decyzji?

– Jeśli sam się nie postara i nie zdobędzie zleceń, to firma wkrótce może pójść na dno.

– Byłoby lepiej – powiedziała Kathy, zadziwiając Stephanie swoją złością. – Może gdyby dostał normalną pracę od dziewiątej do siedemnastej, uprościłoby to pewne sprawy. Pracuje zbyt ciężko. W pewnym sensie to przyczyna wszystkich problemów.

– Wczoraj wieczorem powiedziałam mu to samo.

– Pewnie nie był zadowolony.

Stephanie potrząsnęła głową, a na ustach pojawił się cień uśmiechu.

– Wyglądał, jakby go pociąg przejechał.

– Znam tę minę – zgodziła się Kathy. – Sugerowałam nawet, że wrócę do firmy, bo dzieci są już duże.

Stephanie nie odpowiedziała. Nie chciała mówić tej kobiecie, że wczoraj wieczorem – chwilę przed tym, zanim Kathy zobaczyła ich pocałunek – rozmawiali o wspólnych dzieciach.

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy. Co można powiedzieć kochance męża albo żonie kochanka?

– Kiedy miał zamiar mi powiedzieć? – spytała w końcu Kathy.

– Po świętach – krótko odpowiedziała Stephanie. Czuli się niezręcznie w obecności Kathy. Chciała, żeby wyszła, potrzebowała czasu, żeby pomyśleć.

– Chciał się wyprowadzić? – pytała Kathy.

– Mówił, że ma zamiar spędzić ze mną Sylwestra i Nowy Rok.

– To nie to samo co przeprowadzka – Kathy wstała i stanęła przy oknie, gapiąc się na podwórko.

– Nie, to nie to samo – Stephanie także wstała i założyła ręce na piersi. – Kathy, chcę, żebyś wiedziała, że zmusiłam go do podjęcia decyzji w naszej sprawie w piątek wieczorem. Jesteśmy razem od półtora roku, a na poważnie – od sześciu miesięcy. Przynajmniej ja traktuję tę związek poważnie. Nie jestem pewna, czy Robert także. Byłam zmęczona niepewnością i brakiem bezpieczeństwa. Kazałam mu wybrać. Czulałam, że zostawiony sam sobie będzie przeciągał tę decyzję w nieskończoność.

– Zawsze miał problem z podejmowaniem trudnych decyzji. A ty masz całkowite prawo domagać się odpowiedzi.

Kathy spojrzała przez ramię z dziwnym wyrazem twarzy.

– Kochasz go, prawda?

– Kocham.

Nie mogła oprzeć się i nie spytać:

– A ty?

Kathy odwróciła się z powrotem do okna. W szybie widziała odbicie Stephanie. Długo myślała nad tym pytaniem, zadawała je sobie wiele razy, bo w końcu wszystko sprowadzało się do tego jednego prostego pytania: Czy go kocha? Po tym wszystkim, co zrobił, nawet po koszmarze ostatnich kilku dni?

– Tak.

Słowo zawisło w powietrzu.

– Czy byłabym tu, gdyby było inaczej?

W oczach obu kobiet pojawiły się łzy. Wpatrywały się w siebie z podobną intensywnością. Ta rozmowa nie miała potoczyć się w ten sposób: Kathy chciała nakrzyczeć na Stephanie, obrzucić przekleństwami i odejść. Stephanie miała widzieć, jak żona odjeżdża z poczuciem zwycięstwa. A teraz obie odczuwały to samo – strach.

Stephanie czuła, że jej serce bije coraz szybciej. W ustach zrobiło się sucho. Kathy nie mogła... przecież... Robert powiedział jej, że Kathy nie... ale w to wierzył Robert albo chciał, żeby ona w to wierzyła. Rozplotła ramiona i złapała oparcie krzesła, czując, że jeśli się czegoś nie przytrzyma, upadnie.

– Wiesz co? Ciągle go kocham. Mimo tego, co zrobił.

Jest moim mężem. Ojcem moich dzieci.

Odsunęła się od okna:

– Wierzysz mi? – wyszeptwała.

Stephanie stała nieruchomo jak słup soli, gapiąc się na Kathy, przerażona tym, co słyszała. Słuchała kochającej kobiety. Zakochanej w tym samym mężczyźnie, co ona sama.

– Zdradził mnie, zdradził moją miłość, osiemnaście lat małżeństwa, dzieci, które go uwielbiają. Nie chcę zatrzymać go ze złości, jak żona Jimmy'ego Morana. Jeśli chce odejść, jeśli naprawdę chce odejść, jeśli jest ze mną bardzo nieszczęśliwy, kocham go wystarczająco mocno, by go puścić, i będzie twój. Nie ma sensu pytać Roberta, co chce zrobić. Powie mi tylko to, co – jak myśli – chcę usłyszeć.

Stephanie kiwała głową.

– Mogę zapytać ciebie, chcesz go? Chcesz go aż tak bardzo, że mi go zabierzesz?

Stephanie czuła, że pokój wiruje wokół niej. Miało być inaczej. Wierzyła w to od samego początku, od sześciu lat: Kathy nie zależało na Robertcie. Nie kochała go.

Ale Kathy go kochała.

Stephanie także.

Kochała go całym sercem; kochała, bo był dobry, delikatny, rozśmieszał ją, dbał, pilnował, był rozważny, umiarkowany... i poprosił, żeby za niego wyszła.

Ponieważ wierzył, że żona już go nie kocha.

Czy oświadczyłby się, gdyby myślał inaczej? Czy miałby romans, gdyby wiedział, że Kathy ciągle coś do niego czuje?

Miałby?

Wolała wierzyć, że nie.

Było łatwiej – znacznie łatwiej – wierzyć, że Robert zdradził Kathy prawie przez przypadek, niż zaakceptować to, że wdał się z romans z nią, bo mogła dostarczać mu dodatkowe zlecenia.

Odetchnęła głęboko, próbując uspokoić nerwy. Jak zareagowałaby Kathy, gdyby dowiedziała się, że Robert się oświadczył? Mówi mi tylko to, co chcę usłyszeć. Czy właśnie to stało się w sobotę. Czy Robert ją okłamywał?

Tak samo jak okłamywał Kathy?

Nie, nie kłamał, nie mógłby. To był mężczyzna, którego kochała, który mówił, że ją kocha. Mężczyzna, który chciał się z nią ożenić.

Jakiś cień przemknął przez podwórko za ramieniem Kathy. Stephanie przechyliła głowę, myśląc, że to pani Moore znów węszy. Potem nagle odwróciła się i wyszła z pokoju.

– Poczekaj chwilkę.

Drzwi otworzyły się, zanim nacisnął dzwonek. Za kolorowymi prezentami świątecznymi, balonem i bukietem kwiatów stał Robert Walker. Przemknął obok Stephanie z radosnym „Wesołych Świąt!” i przecisnął się przez drzwi do pokoju.

Gdzie czekała Kathy.

Rozdział 43

Są chwile zapisane w pamięci.

Chwile namiętności, bólu, zwycięstwa i strachu. Szczególnie strachu. Kiedy wszystko inne blednie, strach pozostaje. Kiedy Robert Walker wszedł do salonu Stephanie Burroughs i zobaczył swoją żonę czekającą na niego, doświadczył jednej z tych chwil, które – jak wiedział natychmiast i podświadomie – zabierze ze sobą do grobu.

Otwierał i zamykał usta, ale nie mógł złapać tchu. Czuł się tak, jak gdyby ktoś walnął go w żołądek, a serce biło jak oszalałe, bał się, że za chwilę pęknie. W ustach czuł ohydny gorycz. Patrzył to na Kathy, to na Stephanie, próbując zrozumieć to, co widzi. W tej jednej chwili przyszło mu do głowy milion wymówek, tłumaczeń i wyjaśnień.

Ale zostało tylko jedno.

Kathy wiedziała.

I to przyniosło mu niesamowite poczucie ulgi.

Koniec ze skradaniem się, tajemnymi telefonami, ukradkowymi spotkaniami. Koniec z kłamstwami.

Kathy podeszła do niego i spoliczkowała go mocno, aż odskoczyła mu głowa i złamała się nowa licówka. Nie miała zamiaru uderzyć Stephanie, ale zawsze wiedziała, że chce uderzyć jego. Nie wątpiła w to. Ręka ją piekła i czuła wyraźnie zadane uderzenie.

Robert odsunął się od Kathy i zwrócił w stronę Stephanie w poszukiwaniu wsparcia, ale dziwny wyraz jej twarzy powstrzymał go.

– Powiedziałaś... powiedziałaś jej – odezwał się w końcu do Stephanie.

– Widzisz? – powiedziała lekko Kathy, nie patrząc na niego – on nigdy nie przyjmie odpowiedzialności. To zawsze jest wina kogoś innego.

Stephanie założyła ręce na piersi i pokiwała głową. Dostrzegła tę cechę Roberta już wcześniej. Nagle, kiedy tamtych dwoje znajdowało się w pokoju, poczuła się jak outsider.

Robert przenosił wzrok z jednej kobiety na drugą.

– Musiałaś do niej zadzwonić, przyprowadzić ją tutaj, jak inaczej...

– Jak inaczej, Robercie? – rozzłościła się Kathy. – Bo nie jestem taka głupia, jak ci się wydaje.

A ty nie jesteś taki sprytny, jak ci się wydaje.

– Chyba... chyba... – Robert rozglądał się dookoła. – Chyba powinienem pójść.

– Nie! – wykrzyknęły obie jednocześnie.

– No to nie... – Odłożył świąteczne prezenty i położył na nich kwiaty. Balon niezauważalnie poleciał pod sufit.

Kathy poprawiła się na sofie, a Stephanie prawie zapadła się w swoje ulubione miejsce. Robert stał przez chwilę, niepewny, co zrobić, potem także usiadł na sofie tak daleko od Kathy, jak to było

możliwe. Patrzył na obie kobiety i zauważył, że miały prawie identyczny wyraz twarzy.

– Jesteś nam winny wyjaśnienie – powiedziała Kathy. – Nam obu.

– Nie wiem, co powiedzieć – odparł załośnie Robert.

I rzeczywiście nie wiedział. Próbował przez ostatnie kilka dni wymyślić scenariusz, w którym mówi Kathy, że odchodzi. Chciał jej to powiedzieć delikatnie, mimo że wiedział, że nie można delikatnie powiedzieć żonie, że się ją zdradza. Teraz liczyło się wycucie i właściwy czas. A nawet to okazało się trudne; niemożliwe. Gdyby tylko nie był to okres świąt: stwarzały tyle problemów. Rozważał kolejną rozmowę ze Stephanie, chciał poprosić ją o więcej czasu, kilka tygodni, żeby poukładać sprawy, ale wiedział, że mu nie uwierzy.

– Może zaczniesz od prawdy, Robercie – odezwała się Stephanie.

– Prawdy? – patrzył na nią zdziwiony i nagle zaczął się zastanawiać, od jak dawna kobiety rozmawiały ze sobą przed jego przyjściem, jak wiele wiedziały o sobie. Szukał zdania, które nie obraziłoby Stephanie ani nie zraniło Kathy. Znowu odezwała się Stephanie.

– Zawsze myślałam, że Kathy cię nie kocha. Patrzył na nią osłupiały.

– Mówiłeś – więcej niż raz – że cię nie kocha. Niepewny, dokąd zmierza, pokiwał głową.

– To prawda. Nie kocha.

Kathy wyglądała, jakby dostała policzek:

– Nigdy tego nie powiedziałam!

Powtórzyła, tym razem zwracając się do Stephanie:

– Nigdy mu tego nie powiedziałam.

Potem wróciła do Roberta. Przesunęła się na kanapie i znowu go uderzyła, trafiając w skroń.

– Ty draniu! Właśnie *to* mówiłeś: tak usprawiedliwiałeś swój paskudny romans, mówiąc, że cię nie Kocham!

W jej oczach pojawiły się łzy, łzy gniewu:

– Kocham cię!

Roberta zaszokowało jej gniewne wystąpienie. Odsunął się. Dzwoniło mu w uszach. Kathy go nie kochała, nie mogła go kochać, już od dawna.

– Ale... ale... nigdy nie mówiłaś... więc przypuszczałem. ..

– Myliłeś się! – krzyknęła.

Robert wziął głęboki oddech:

– Nie rozmawiasz ze mną. Ignorujesz mnie. Nie interesujesz się także firmą.

– A czy ty interesowałeś się Kathy? – zastanawiała się głośno Stephanie, zaskakując ich oboje.

Kathy patrzyła na nią zszokowana. Robert gapił się tępo. Po czyjej była stronie?

– Pytałeś, jak minął jej dzień? Zastanawiałeś się kiedyś, kto prowadzi dom, podczas gdy ty prowadzisz firmę?

– Czekaj... – zaczął ze złością. – Nie będę tego wysłuchiwał od...

– Od kogo? – zapytała.

– Od ciebie – dokończył.

– Nigdy nie przestałam cię kochać – Kathy przerwała ciszę. – Kiedy odkryłam, że masz romans ze Stephanie, nienawidziłam cię, pogardzałam tobą. Ale zaczęłam oceniać osiemnaście lat małżeństwa i to pokazało mi błędy, które oboje zrobiliśmy. Możemy uratować nasz związek. Jeśli tylko chcesz. I jeszcze jedno powinieneś wiedzieć: Kocham cię wystarczająco mocno, by przyjść tu i walczyć o ciebie.

Robert spodziewał się różnych odpowiedzi, ale nie tej ostatniej. I ta odpowiedź przeraziła go. Łatwo było usprawiedliwić to, co robił, stwierdzeniem, że Kathy już go nie kocha, więc nawet jeśli się dowie, specjalnie się tym nie przejmie. Będzie kłótnia, na pewno, ale potem rozstaną się i w końcu rozwiodą. Ale ich stosunki będą niemal przyjacielskie, bo Kathy nic do niego nie czuje. Czasem nawet myślał, że wolałaby, żeby go nie było.

Ale ona go kochała.

Tak bardzo, że chciała o niego walczyć.

Stephanie patrzyła na nich, widząc strach na twarzy Roberta i determinację na twarzy Kathy. W tej chwili pomyślała, że właściwie podziwia żonę Roberta. Koszmarem każdej kobiety byłoby stanąć twarzą w twarz z kochanką, a Kathy miała odwagę, by to zrobić. Stephanie zrozumiała, że nie słuchała wcale nienawidzącej się pary.

Wiedziała, że Kathy ciągle kocha Roberta.

A Robert... czy on wciąż kochał Kathy? W końcu nigdy nie powiedział, że tak nie jest.

Patrzyła na tych dwoje, tak zagubionych. Zajęli się domem, rodziną, pracą i zapomnieli, co stworzyło te wszystkie rzeczy: ich miłość, ich związek, ich oddanie.

A z czym ona zostawała? Gdzie była obietnica Roberta?

– Kochasz mnie, Robertcie? – spytała w końcu Kathy.

Jeszcze zanim odpowiedział, Stephanie знаła prawdę.

Widziała ją w sposobie, w jaki patrzył na żonę, w jego twarzy. Wiedziała, co odpowie, choć nie było pewne, czy będzie to prawda. Przypomniała sobie, jak bardzo chciał zachować ich związek w tajemnicy przed Kathy. Najpierw myślała, że to tchórzostwo – może tak było – ale to była także miłość. Nie chciał, by żona wiedziała, bo nie chciał jej ranić. Czy to dlatego nie mówił jej, że interesy idą kiepsko? Pomylił się: powinien był jej powiedzieć. Stephanie wiedziała, że Kathy jest znacznie silniejsza, niż wydawało się Robertowi.

– Tak – powiedział po prostu. – Kocham cię.

– A Stephanie? Ją także kochasz? – spytała Kathy, zaskakując ich.

Nastąpiła chwila – kilka sekund, które wydawały się wiecznością – zanim Robert kiwnął głową i powiedział:

– Tak, ją także.

Obie kobiety popatrzyły na siebie. Miały zamęt w głowach. Kochały tego samego mężczyznę, spał z nimi obiema. Ale obie wiedziały też, że oddalił się od Kathy przez swoją ignorancję – myślał, że jest jej całkowicie obojętny. Pozwolił sobie na romans ze Stephanie z tego samego powodu, a ona z kolei zgodziła się z nim być, bo wierzyła, że emocjonalnie nie jest już związany z żoną.

– Można kochać więcej niż jedną osobę – powoli powiedział Robert.

– Wiem – odparła Kathy. – Wiemy – dodała, patrząc na potakującą Stephanie. – Ale musisz teraz dokonać wyboru, nie możesz mieć nas obu.

Mogę zakończyć to tu i teraz, pomyślała Stephanie. Mogę go mieć dla siebie.

Gdyby Kathy wiedziała, że Robert oświadczył się Stephanie, chciał się z nią ożenić, pewnie wstałaby i wyszła z pokoju. Małżeństwo może przetrwać romans, ale nie przezwycięży ostatecznej zdrady. Gdyby Kathy wyszła – co by się stało? Zostawiłaby Stephanie z Robertem. Ale Stephanie widziała właśnie kadr swojej przeszłości z Robertem, a nie tak ją sobie wyobrażała.

Jednak to była jej szansa na szczęście.

Od chwili, kiedy Robert jej się oświadczył, chodziła z głową w chmurach. Nigdy przedtem nie przypuszczała, że jedno proste zdanie tak ją uszczęśliwi. Ostatnie kilka godzin spędziła na radosnym planowaniu przyszłości, która teraz nagle okazała się zagrożona.

Kathy przysła tutaj walczyć o swojego mężczyznę.

Co powinna zrobić Stephanie? Także walczyć o niego?

Jedno zdanie: „Robert mi się oświadczył” wysłałoby Kathy do domu, zupełnie załamana, a on należałby do niej. Ale patrzyła na niego w tej chwili, jak szeroko otwartymi oczami przygląda się Kathy, i nagle zaczęła się zastanawiać, jak poczulby się, gdyby pozbyła się jego żony. Patrzyła na niego, kiedy mówił Kathy, że ją kocha – i mówił poważnie. Czy wybaczyłby jej, gdyby przegoniła tamtą?

Ale przecież ona też go kochała.

Czasem trzeba puścić wolno tych, których się kocha.

– Popełniłam błąd – nagle powiedziała Stephanie. – Koszmarny błąd.

Robert i Kathy patrzyli na nią osłupiali.

Stephanie znów chciała sięgnąć i chwycić Kathy za rękę.

– Przysięgam, że nie wiedziałam, że on ciągle cię kocha. Myślałam, że chce odejść. Myliłam się.

Wstała, a oni razem z nią. Zrobiła krok naprzód i położyła dłoń na piersi Roberta. Oczy Kathy błyszczały, ale nie poruszyła się.

– Kocham cię, Robercie, tak samo jak Kathy. Ale nie mogę cię mieć. Wracaj do żony. Jeśli ona cię chce, to koniec.

Poczuła, jak coś jej w środku pęka, a cała przyszłość obraca się w gruzy i ginie. Zostało jej tylko rozczarowanie – nie skierowane w stronę Roberta, czy Kathy, ale w stronę samej siebie. Jak mogła być tak głupia?

Bo kochała.

Kathy spojrzała na Roberta. Coś było nie tak, wiedziała, jakiś szczegół, którego nie rozumiała. W głosie Stephanie usłyszała jakby ulgę. Nagle Stephanie odwróciła się i wyszła z pokoju, zostawiając Kathy i Roberta samych.

Kathy spojrzała na męża:

– Co dalej?

– Co dalej? – głos mu się trząsł i czuł się jak zbity pies. Przez ostatnie pół godziny przepłynęły przez niego – wszystkie możliwe emocje. Odzyskał żonę i stracił Stephanie. W sobotę myślał o rozpoczęciu nowego życia, teraz miał okazję to zrobić. Wrócić do początku i zacząć od nowa, ale tym razem z Kathy.

– Przyjmę cię z powrotem, ale pod pewnymi warunkami – zaczęła. – Wszystko się zmieni. Wiesz o tym?

Pokiwał głową. Nie był pewny tego, co się właśnie stało. Przed chwilą Stephanie kochała go, a teraz twierdziła, że popełniła błąd.

– Ja też się zmienię – obiecała. – Zaczniemy od początku, pójdziemy na terapię, spróbujemy odbudować nasze małżeństwo, nasz związek. Ale musisz odpowiedzieć na pytanie: czy chcesz do mnie wrócić?

– Nigdy naprawdę nie odszedłem – zaśmiał się nerwowo.

Kathy znów wymierzyła mu policzek.

– Odszedłeś ode mnie dawno temu! Mówisz, że się oddaliłam, ale to działa w dwie strony. Odpowiedz!

Skąd to się wzięło u Kathy – ta siła, wola i determinacja? To była kobieta, którą poślubił dawno temu, kobieta, której wydawało mu się, że już nie ma. I dlaczego Stephanie go odrzuciła? Kiedy się jej oświadczył... Gdyby Kathy wiedziała...

I nagle zrozumiał.

Skinął głową.

– Tak. Chcę wrócić. Jeśli mnie przyjmiesz. Zacząć od nowa. Zacząć jeszcze raz.

– To może się nie udać i może znów pójdziemy różnymi drogami, ale myślę, że jesteśmy sobie to winni, żeby spróbować.

– Tak, jesteśmy – rozłożył ramiona. – Jeśli chodzi o... Kathy podniosła dłoń, uciszając go.

– Mówiłeś, że mnie kochasz. Mówiłeś serio?

– Tak.

– W tej chwili nie chcę wiedzieć nic więcej – popchnęła go w stronę drzwi. – Jedź do domu. Zaraz przyjdę.

Robert pozwolił się poprowadzić do holu, potem zawahał się.

– Stephanie... – zaczął, ale spojrzenie żony uciszyło go, więc wyszedł. Pomyślał, że może pojedzie dłuższą trasą i kupi po drodze prezent dla żony, a może zadzwoni do Maureen, żeby dać jej świąteczną premię.

Kathy stanęła przy schodach.

– Wychodzimy – zawołała.

Stephanie pojawiła się na górze. Miała świecące oczy, ale nie płakała. Jeszcze nie. Powoli zeszła ze schodów, wzruszyła ramionami i powiedziała:

– Myślałam, że on jest tym jedynym.

– Ja też – wyszeptła Kathy, przechodząc przez drzwi na podwórko, gdzie Robert właśnie odjeżdżał – i był nim, kiedyś. Dziękuję – powiedziała w końcu.

– Za co?

– Że nie powiedziałaś mi o tym, co ci obiecał – pochyliła się i szybko uściskała Stephanie. – Trzymaj się, ale – i nie zrozum mnie źle – nie chcę cię więcej widzieć.

– Nie zobaczysz – powiedziała Stephanie ze wzruszeniem.

Podeszły razem do drzwi. Pani Moore, obserwując podwórko, pomyślała, że są siostrami, co było dziwne, bo Stephanie przecież nie miała krewnych w Irlandii, ale może ktoś przyjechał do niej na święta. Pomachała im, a one energicznie odmachwały. Amerykanie są tacy przyjaźni.

– Co będziesz robić w święta? – spytała Kathy, wychodząc na zgaszone grudniowe słońce.

– Pojadę do domu, do rodziny – odparła Stephanie. – A ty?

– Ja też.